

ADAM MAKSYMILIAN
GRZYBOWSKI



Biskup

JEDEN MROCNY SEKRET MOŻE ZRUJNOWAĆ
NAWET NAJLEPIEJ ZAPLANOWANĄ PRZYSZŁOŚĆ

NOVAE RES

ADAM MAKSYMILIAN GRZYBOWSKI

Biskup



NOVAE RES

Radość ze sforsowania żelaznych drzwi, broniących dostępu do piwniczki biskupa, w jednej krótkiej chwili ustąpiła przerażającej świadomości, że nie jest w niej sam. W tym samym niemal momencie ostrze miecza o szerokości jego dłoni przebiło jego brzuch, wychodząc gładko na plecach, tuż obok kręgosłupa, i przytwierdzając go do kamiennej ściany piwniczki. Szybkość pchnięcia i stopień naostrzenia broni sprawiły, że nie poczuł bólu, lecz strach. Stał teraz unieruchomiony, czując w brzuchu tętnienie przeciętej poprzecznie aorty, zmagającej się z oporem tkwiącego w niej miecza. Czuł gorącą krwi spływającej po jego nogach, która już po chwili utworzyła kałużę wokół jego stóp. Czuł też chłód i drętwienie niedokrwionych nóg. Uniósł wyżej pochodnię. Rękojeść miecza była trzymana przez postać utkaną z czarnego dymu.

– Czym jesteś? – Usłyszał swój własny, przerażony głos.

Odpowiedzi nie było. Zjawa rozwiała się jak dym na wietrze. Miecz w jego brzuchu pozostał. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Zaprawa muru rozkruszyła się i runął na zimną posadzkę. Jak włamywacz znalazł jeszcze siłę, by doczołgać się do stojącego pośrodku piwniczki niskiego tureckiego stolika i poznać zawartość leżącej na nim sakiewki – tego nie sposób wytłumaczyć. Po minucie już nie żył.

Rozdział I

KARDYNAŁ DE CUNTIS

Pukanie dochodzące od sekretnych drzwi było ciche. Na tyle ciche, by w przypadku snu nie wybudzić słuchającego, a jednocześnie na tyle głośne, by było słyszalne, gdyby Ekscelencja nie spał. Kardynał de Cuntis lubił, gdy podwładni pukali w sposób wyważony. Tego między innymi wymagał od służby. Lubiał, kiedy ta pozostawała w cieniu, nie narzucała się swoją obecnością, ale jednocześnie była na najmniejsze skinienie przełożonego. Posłuszeństwo jest przecież miarą szacunku wobec urzędu, a szacunek pospólstwa wobec władzy jest miły Bogu.

Dopiero po dłuższej chwili do kardynała dotarło, co oznacza to pukanie. Powtarzający się schemat uderzeń: trzy szybkie, przerwa, cztery szybkie.

– Wszystkie won! – krzyknął, zsuwając się jednocześnie niezgrabnie z wysokiego łoża, które służyło mu do zażywania masaży.

Pokojowe czmychnęły czym prędzej przez główne drzwi do holu, zamykając je dokładnie za sobą. Olejki do masażu, gąbki, miski z wodą oraz suknie wraz z gorsetami pozostawiły nieporządnie rozrzucone wokół łoża, ale wiedziały już z doświadczenia, że w takiej chwili lepiej szybko zniknąć kardynałowi z oczu.

Choć de Cuntis płonął z ciekawości i niepokoju, jakie posłaniec przynosi wieści, to jednak przywdziewał purpurę powoli. Pukający nie może spodziewać się przecież, że taka persona jak on będzie biec na każde zawołanie. Sprawdził jeszcze,

czy jego złoty kardynalski pierścień odpowiednio prezentuje się na palcu, rozejrzał się po komnacie wypoczynkowej, by upewnić się, czy aby na pewno został sam, po czym zakluczył wyjście prowadzące do holu i dopiero wtedy podszedł do sekretnych, wzmocnionych żelazem, niewielkich drzwi skrytych w rogu pomieszczenia.

– Kto puka? – De Cuntis wiedział, że w obecnej sytuacji konieczne jest stosowanie się do wszelkich zasad bezpieczeństwa. Z sekretarzyka ustawionego obok tajnych drzwi wyciągnął małą kuszę, odsunął się na kilka kroków i czekał na odzew.

– Archanioł Michał, Ekscelencjo, ten z mieczem – padło umówione hasło. Głos, mimo że stłumiony przez masywne drzwi, był znajomy kardynałowi. De Cuntis podszedł i odsunął grubą zasuwę, a następnie oddalił się nieco, ponownie unosząc kuszę.

– Wejść! – zawołał.

Pchnięte drzwi uchyliły się, ukazując schody prowadzące w dół, w głąb wąskiego korytarza. Na stopniach stała znajoma kardynałowi, odziana na czarno postać.

– Ekscelencjo, racz opuścić tę zabawkę. Z tym drzewcem w bebechach małe mam szanse powiedzieć, z czym przychodzę – rzucił dowcipnie gość, jak to miał w swoim zwyczaju. Spokój zawsze należał do jego atrybutów. Zaleta ta nieraz uratowała go z wojennej opresji.

– Wchodź, von Kluge – zezwolił kardynał i opuścił kuszę.

Stojący w drzwiach kapitan von Kluge był chyba jedyną osobą, której de Cuntis jeszcze ufał. Kardynał przesunął nogą na bok leżące na posadzce suknie i z ciężkim sapnięciem usadowił się na łożu.

Gość wszedł do komnaty. W odróżnieniu od gospodarza był szczupły, a krok miał sprężysty, żołnierski. Czarny płaszcz okrywał czerń innych części garderoby. Do rycerskiego pasa nie była przytroczona żadna broń. Gość musiał ją pozostawić straży kardynalskiej u wrót tunelu. Von Kluge pracował dla de Cuntisa już od kilku wiosen.

A dokładniej mówiąc, oprócz swoich obowiązków wysoko postawionego oficera papieskiej Gwardii Szwajcarskiej, wykonywał również inne zleczone zadania dla kardynała. Mężczyzna wiedział, że praca dla purpurata, co do kierunku polityki, w zasadzie pokrywa się z działaniami papieża Benedictusa, więc nie czuł żadnych wyrzutów sumienia z powodu dorabiania sobie do, jego zdaniem, skromnej papieskiej pensji.

Gość wszedł i milczał, patrząc w stronę kardynała. Znał gospodarza. Wiedział, że de Cuntis oczekuje, iż on sam rozpocznie rozmowę.

– Mów – odezwał się kardynał po dłuższej chwili sprawdzania cierpliwości gościa.

– Jego Świątobliwość Benedictus XI czuje się lepiej, Ekscelencjo. Mimo swoich siedemdziesięciu czterech wiosen i licznych schorzeń, jakimi Bóg raczy go doświadczać, wciąż pełni swoje obowiązki. Medycy z całego chrześcijańskiego świata, a nawet Bizancjum, mają go w opiece. Złą krew mu puszczają, ziołami poją i okładają. Twierdzą, że wiek cały żyć będzie. – Gość, mówiąc to, uśmiechnął się szeroko.

– Nie o papieża pytałem, von Kluge, i ty dobrze o tym wiesz – zirytował się kardynał. – Benedictus nasz ledwo już dycha, wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Oby mu Pan dał jeszcze choć ze dwie wiosny. Ale nie dla słuchania twojego dowcipu cię opłacam, von Kluge. Słucham.

Żołnierz ponownie uśmiechnął się szeroko. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu, gdy wywoływał irytację u tego grubasa w purpurze, odczuwał przyjemność. Ale wiedział też, że nie może przeholować. Nie chciał stracić tej obiecanej kwoty dwudziestu dukatów w złocie. Nikt nie płacił tak dobrze jak de Cuntis. Von Kluge nie wiedział, skąd kardynał ma takie zasoby, ale też za bardzo go to nie interesowało.

– Jak tylko lody spłyną, Ojciec Święty Benedictus uda się do Perugii. – Oficer ciągnął dalej temat. – Tam najlepiej czuje się w ciepłe miesiące. Papież nie chce

słuchać ostrzeżeń obdarzonych stygmatyków. Denerwuje się też, gdy ktokolwiek w otoczeniu wspomina o przepowiedni Malachiasza.

– A co sądzi o podstępnym zwołaniu synodu biskupów w Akwizgranie? – zainteresował się tym razem kardynał. – Zamierza tam jechać, żeby osobiście poznać zdrajców? A może chce tam kogoś wysłać?

– Kazał rozesłać listy do wszystkich biskupstw – rzeczowo odpowiedział von Kluge. – Zawierały one informację, że nie zwoływał tego synodu i zagroził, że udział w nim biskupów lub jakichkolwiek ich przedstawicieli odebrany będzie przez Stolicę Apostolską jako zdrada Kościoła, próba schizmy i grozić będzie ekskomuniką. Wspomniał któregoś dnia przy śniadaniu, że wysła tam ciebie, Ekscelencjo, dla dopilnowania żywotnych interesów Kościoła.

Kardynał westchnął. Wcale się do tego nie palił. Aczkolwiek spodziewał się, że Ojciec Święty może podjąć taką decyzję. Odmówić niestety nie mógł. Chcąc zrealizować swoje cele, musiał dbać o poparcie papieża. Ten starzec już odchodził, ale to właśnie w nim, w kardynale de Cuntisie, upatrywał swojego następcy. A to oznaczało spore poparcie na przyszłym konklawe. Kardynała martwiła jednak rosnąca w siłę frakcja Rycerzy Chrystusa. W myślach nazywał ich frakcją terroru, gdyż próbowali znów skierować jego Kościół na tory eliminacji problemu pogaństwa siłą zbrojną, na wielkim obszarze centralnej i wschodniej części Cesarstwa i ościennych księstw. A przecież Kościół poszedł już tą drogą, i to całkiem niedawno. Najstarsi biskupi pamiętali jeszcze te rzezie na Wschodzie i epidemię, która nastąpiła niedługo potem. Pamiętali, jak uczestnicy krucjaty wracali zdziesiątkowani i w większości nie byli już sobą. Ale ci młodzi biskupi frakcji Rycerzy Chrystusa mogą tego nie pamiętać. Minęło prawie pięćdziesiąt lat.

Purpurat milczał, zatopiony w myślach. Nic jeszcze na przyszłym konklawe nie jest przesądzone. Ewentualny papież z frakcji Rycerzy Chrystusa zapewne zmusi cesarza do nowej krucjaty i najpewniej znów pociągnie większość rycerstwa Zachodu do walki w lasach z pogańskimi dzikusami i duchami. Kardynała nie przerażała jednak tak bardzo wizja nowej krwawej krucjaty. Jak ludzie chcą, to niech zabijają się w imię Chrystusa, czy jakiś brudnych pogańskich bożków.

Irytowała go raczej sama wizja porażki na konklawe z którymś z biskupów ze wspomnianej frakcji. Tron Stolicy Piotrowej musi być jego, a nie żadnego z tych krwawych rzeźników.

– Trwa śledztwo w związku z bezprawnym użyciem pieczęci papieskich – odezwał się von Kluge, wyrywając kardynała z zamyślenia. – Ktoś się do nich dostał i opieczętował te wszystkie fałszywe wezwania do Akwizgranu na samozwańczy synod. Podpis Jego Świątobliwości został podrobiony nieudolnie, jednak pieczęcie są oryginalne. Nie znaleziono jak dotąd tego sabotażysty. Tak naprawdę nikt nie byłby w stanie przeprowadzić takiego sabotażu.

– Jak to nikt nie byłby w stanie? – zdziwił się kardynał i czujniej spojrzał na oficera.

– Nie byłby, Ekscelencjo. – Tym razem oficer zupełnie się nie uśmiechał. – Jego Świątobliwość ma pieczęcie cały czas przy sobie, a Gwardia Szwajcarska nie opuszcza go ani na chwilę, chroniąc zarówno jego, jak i pieczęcie. Na noc są one składane do żelaznej skrzyni przytwierdzonej do posadzki obok papieskiego łóżka, przy którym czuwają bez przerwy oficer, czterech gwardzistów oraz usługujący Ojcu Świętemu sekretarz. Nie mówiąc już, że na zewnątrz pomieszczenia stoi zawsze kolejny oficer z szóstką gwardzistów. Nawet gdyby to była zmowa którejś czwórki gwardzistów i sekretarza, to i tak nie wnieśliby dokumentów do podpisu do komnaty papieskiej, bo po ostatnich zamachach na watykańskich kardynałów wszyscy w obrębie budynku są regularnie przeszukiwani. Nikt tego po prostu nie byłby w stanie zrobić, Ekscelencjo.

Zapadła cisza. Kardynałowi w związku z tuszą zaczęła doskwierać niewygodna pozycja siedząca. Położył się zatem na łóżku, nie przejmując się zupełnie pantoflami, które wciąż miał na nogach.

– A co z pergaminem? Czy użyto papieskiego pergaminu? – zapytał z nadzieją w głosie de Cuntis. – Jeśli znajdziecie złodzieja lub fałszerza pergaminu, to znajdziecie też sabotażystów.

– Pyta Ekscelencja, czy użyto pergaminu papieskiego? I tak, i nie, Ekscelencjo – powiedział von Kluge z zupełnie nietypowym dla siebie niepokojem w głosie.

Kardynał pytająco spojrział na oficera.

– Mówże, von Kluge, do stu diabłów!

Oficer westchnął ciężko.

– Pergamin z dotychczas oglądanych przez oficerów listów do biskupów był ewidentnie papieski. Jednak przeliczono zasoby sekretariatu Jego Świątobliwości i nie zginął ani jeden egzemplarz.

– Czyli ktoś poznał tajną recepturę sporządzania naszego unikalnego pergaminu i wykonał go na potrzeby tej korespondencji. – De Cuntis najwyraźniej ucieszył się ze swojego, jak sądził, błyskotliwego wniosku.

– Musiałby zacząć sporządzać ten pergamin około dwadzieścia lat temu, Ekscelencjo. Tyle trwa jego produkowanie. – Oficer zgasił zadowolenie kardynała.

– Czyli kolejna zagadka – rzekł w zamyśleniu de Cuntis, lecz po chwili zmienił temat. – Co z naszymi obserwowanymi biskupami, von Kluge?

– Biskup von Hertling kontynuuje objazd po biskupstwach pirenejskich. Moi ludzie donoszą, że agituje na rzecz poparcia dla Rycerzy Chrystusa i krucjaty. Nie zdąży wrócić na synod do Akwizgranu. Nie ma szans.

– Nie nazywaj tego synodem, von Kluge! – zirytował się kardynał. – Synod zwołuje tylko papież.

– Tak jest, Ekscelencjo! – Oficer znów uśmiechnął się dyskretnie, jak to miał w zwyczaju, gdy był zadowolony z irytacji rozmówcy.

– To jednakże oznacza, że ten skurwiel von Hertling, mój rywal do tronu Piotrowego, będzie daleko od Akwizgranu. – Kardynał niezamierzenie wypowiedział te słowa na głos. – Co tam się zatem wydarzy? Po co to wszystko?

Von Kluge uniósł nieco brwi, słysząc te słowa, lecz po chwili niezrażony mówił dalej:

– Biskup Michaelis z Koblencji agituje obecnie w Pradze, a biskup Ambrosio z Neapolu szuka poparcia dla Rycerzy Chrystusa na Sycylii. Obydwaj podobno są

bardzo skuteczni w znajdowaniu sojuszników. Informacje o synodzie... hmm... przepraszam... tym tam... spotkaniu biskupów – i tu uśmiechnął się nieco szerzej – nie dotarły jeszcze do nich i wygląda na to, że naprawdę o nim nie wiedzą, bo już nie mają szans zdążyć do Akwizgranu. To już przecież za niecały księżycowy miesiąc.

– Dobrze, von Kluge. – Kardynał zamyślił się. – O co chodzi z tym zjazdem biskupów w Akwizgranie? Kto ma w nim cel? I, do stu diabłów, jaki?!

– Nie mam pojęcia, Ekscelencjo – przyznał oficer, pozwalając sobie w tym momencie na pozycję spocznij – ale w Akwizgranie biskup Magnus von Rappard czyni cuda.

– Gówno tam, a nie cuda, von Kluge! Od cudów był Jezus. A to jest szalbierstwo jakieś! Magnus von Rappard cudotwórcą?! Trzymajcie mnie! Ten niskorosły nadreński wypierdek?! – Kardynał znów się rozsierdził, a jego twarz przybrała kolor sutanny. – Nie ma żadnych cudów, von Kluge. Miałeś racjonalnie wytłumaczyć te pseudocuda lub znaleźć wyjaśnienie tych sztuczek, zatrzymać to szaleństwo dyskretnym szantażem! Co z tym zrobiłeś, von Kluge?

– On uzdrawia chorych, Ekscelencjo. Ludzie zjeżdżają się z całej prefektury i przychodzą na msze. Miasto nie mieści już tej całej gawiedzi. Głusi zaczynają słyszeć, ślepi widzieć, niemi mówić, a przewlekle leżący wstawać. Leczy też trąd. Kilku osobom przywrócił podobno utracone kończyny, Ekscelencjo – recytował z trudnością oficer. – Mój człowiek to widział na własne oczy. Ufam mu.

– A wskrzesił już kogoś? – zapytał ze złośliwym uśmiechem de Cuntis. – Irytujesz mnie, kapitanie. Przyślij do mnie tego twojego naocznego świadka, Kluge. – Tym razem kardynał celowo pominął przedrostek „von” przed nazwiskiem oficera.

– Nie mogę, Ekscelencjo. Kapitan Emanuel Schroll zniknął. Szukamy go. Wysłałem tam nowego zaufanego człowieka. – Głos żołnierza był grobowy.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Kardynał przyswajał informację, a oficer czekał.

– Coś jeszcze, von Kluge? – zapytał po chwili purpurat.

– Śledztwa w sprawie zamordowanych biskupów frakcji umiarkowanej, Bogattiego i Lochetta, utknęły. Obaj uduszeni, ale nadal nie wiadomo przez kogo. Dla spokoju społecznego znaleziono i powieszono jakichś rzekomych sprawców, zgodnie z zaleceniami ze strony urzędników cesarskich. To wszystko, co mam, Ekscelencjo.

– Same zagadki, von Kluge. Przynieś mi w końcu jakieś efekty swojej pracy! – jęknął kardynał.

De Cuntis podniósł się ciężko z posłania, sięgnął do sekretarzyka i wyjął wcześniej przygotowaną na to spotkanie sakiewkę. Ostentacyjnie dosypał do niej garść złotych cesarskich dukatów i rzekł:

– Dla ciebie i twoich ludzi. Uważaj na siebie, von Kluge.

– Mam oczy dookoła głowy, Ekscelencjo. – Oficer zawahał się na moment. – Proszę trzymać wieloosobową straż wewnątrz i na zewnątrz pomieszczenia, bez przerwy. Pokarmy niech sprawdza pospólstwo kilka godzin przed spożyciem przez ciebie, Ekscelencjo. Nie wychodź na otwarte przestrzenie. Podwój stawki swoim ludziom i obiecaj nagrody za informacje o szpiegach.

– Zadbałem już o to wszystko, von Kluge – powiedział zamyślony kardynał. – Idź już.

Oficer obrócił się i po chwili jego czarna postać zniknęła za sekretnymi drzwiami. De Cuntis dokładnie zamknął zasuwę, a następnie zatopiony w myślach wyszedł do holu. Uważnie rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Dopiero gdy zawołał służbę, przybiegły pokojowe i straż przyboczna.

Dobrze ich wytresowałem – pomyślał z zadowoleniem i w asyście świty przeszedł do swojej biblioteki.

Na pięknie rzeźbionym biurku leżał list od Jego Świątobliwości Ojca Świętego Benedictusa XI. Zawierał on papieski nakaz, aby de Cuntis pojechał do Akwizgranu, „rozeznał sytuację” i sporządził listę obecnych tam biskupów, a następnie napisał raport dla Stolicy Apostolskiej.

Kardynał uchylił okiennicę na tyle, na ile uważał to za bezpieczne i spojrzął na ulicę. Via Sannio prowadziła prosto na plac Piazza di san Giovanni, rozciągający się przed Arcybazyliką św. Jana Chrzciciela i pałacem papieskim na Lateranie. Od czasów Konstantyna Wielkiego była to siedziba papieży. Mówiło się niekiedy o przeniesieniu tronu Piotrowego do Watykanu albo odległego Avinionu, ale nikt tak naprawdę nie wyobrażał sobie, aby centrum chrześcijaństwa było gdzieś indziej niż w wypełnionej relikwiami *Sacrosancta lateranensis ecclesia omnium urbis et orbis ecclesiarum mater et caput*[1].

De Cuntis zamyślił się. Mimo że była to szczególnie często myta część miasta, poczuł smród wielkiego Rzymu. Ulicę patrolowała właśnie Gwardia Szwajcarska. Czterech znudzonych żołnierzy niemal ciągnęło za sobą swoje halabardy. Kardynał czuł niepokój. Zdawał sobie sprawę, że ktoś może chcieć go dosięgnąć. Ale kto to jest? Kogo się obawiać? Oprócz lęku odczuwał także podniecenie. Wietrzył dla siebie szansę. Wiedział, że jest blisko celu, a Akwizgran też jest dlań okazją. Pojedzie tam na ten fałszywy synod i umieści szereg nieprzychylnych sobie osób na liście zdrajców dla Ojca Świętego. Nałożona na nich ekskomunika pozbawi go problemu nieprzychylnych osób podczas konklawe. A swoją drogą, ile ten Benedictus ma zamiar jeszcze żyć? Chociaż w sumie to mógłby jeszcze chwilę pożyć i rozprawić się choć częściowo z tą frakcją terroru.

– Lorenzo! – wezwał głośno swojego sekretarza. – Lorenzo! – powtórzył, bo wołany nie przybył natychmiast.

– Jestem, Ekscelencjo.

– Gdzie się podziewasz? – udzielił podwładnemu reprimendy, mimo że zjawił się po bardzo krótkiej chwili. – Jutro rano ruszamy do Akwizgranu. Przed nami pewnie trzy tygodnie drogi. Dopilnuj wszystkiego.

Sekretarz odwrócił się i już miał zniknąć w drzwiach, gdy został jeszcze zatrzymany ruchem ręki purpurata.

– I pamiętaj – dodał kardynał – straż podwójna. Powóz żelazny. Zbierz dodatkowe datki z diecezji i wypłać podwójną pensję całej służbie i żołnierzom.

Biskup: Czy to nie powinno być tak, Diable, że to Diabeł boi się biskupa?.

Lucyfer: Oczywiście, prochu marny, ale tylko wówczas, gdy biskup boi się własnego Boga.

Źródło: napisano pod pseudonimem Maksymilian

[1] Najświętszy kościół laterański, Matka i Głowa kościołów całego Miasta i Świata.

Rozdział 2

BISKUP VON RAPPARD

Drżący jak osika kleryk Kurt stał pod drzwiami gabinetu biskupa, zastanawiając się, co ma zrobić. Nienawidził tych momentów, gdy musiał zapukać do tych drzwi. Miał piętnaście lat. Wcześniej myślał, że złapał Jedyne Boga za jego święte nogi, gdy przełożony seminarium wybrał go na stanowisko asystenta samego biskupa Akwizgranu, najbardziej obdarzonego łaskami Boga człowieka, o jakim słyszał. Teraz już zwątpił we wszystko, w co wierzył. Nie wierzył już, że droga, którą podąża, jest dobra. Tak bardzo różniła się przecież od tego, co zawarte było w Pismach i czego uczono go w seminarium. Nie sądził, że po trzech miesiącach będzie tak zboląły fizycznie i psychicznie, i do tego jeszcze pełen wyrzutów sumienia. Nikomu nie powiedział o tym, co go tu regularnie spotykało. Nie mógł. I tak nikt by nie uwierzył. Nie spowiadał się nawet z tego. Zresztą komu? Samemu biskupowi? To on był przecież jego urzędowym spowiednikiem. Gdy o tym myślał, było mu niedobrze. Dziś rano znów miał myśli samobójcze. Spróbował się otrząsnąć i skupić się na tym, co ma przekazać. Zapukał i uchylił drzwi gabinetu.

Biskup Magnus von Rappard siedział na obitym czerwonym suknie, misternie rzeźbionym krześle urzędowym, za okrągłym stołem jadalnym, wysłanym białym, barwionym po królewsku na brzegach obrusem, sięgającym aż do zdobionej mozaiką posadzki. Głęboka, ciemna zieleń jego biskupiej sutanny mocno kontrastowała

z ciemnobrązową barwą drewnianego oparcia fotela. Biskup von Rappard siedział z tułowiem nachylnym nad stołem tak, że wiszący na jego szyi pektorał spoczywał w stojącej przed nim misie z kiściami winogron. Wyraz twarzy miał dziwny, skupiony, zadumany, zadowolony i trudny do odczytania.

– Ekscelencjo, katedra pełna, wierni czekają, dotarł namiestnik cesarski oraz książę Akwizgranu. – Kurt, wypowiadając to zdanie, wyciszał głos do szeptu.

Biskup von Rappard otworzył oczy. Zaduma na jego twarzy ustąpiła typowej irytacji.

– Wypierdalaj! – stanowczo i głośno powiedział biskup.

– Ale... – Kleryk w pierwszej chwili próbował coś dopowiedzieć, lecz zamilkł i zaczął wycofywać się tyłem do korytarza katedralnego.

– Nie ty, durniu! – powiedział von Rappard, patrząc na chłopaka.

Kurt stał zbaraniały, nie wiedząc, co ma robić. Po chwili ujrzał wysuwające się spod obrusa stopy, następnie nagie pośladki, aż w końcu całą obnażoną postać pokojowej Ingi. Dziewczyna, czerwona na twarzy, zapłakana, jedną ręką zakrywała usta, a drugą próbowała przyciskać do tułowia swoje ubrania. Umknęła szybko z komnaty, starając się ani razu nie spojrzeć w kierunku Kurta, z którym współpracowała od chwili, gdy pojawił się na włościach biskupa.

– Na co się gapisz, durniu, chcesz ją zastąpić? – Ostry głos biskupa przywołał kleryka do porządku. – Nałóż mi tę mitrę na głowę.

Von Rappard wstał od stołu, spuścił w dół brzegi sutanny i odwrócił się tyłem do kleryka. Kurt wziął w obie drżące dłonie leżącą na sekretarzyku biskupa jego uroczystą mitrę i wyćwiczonym już ruchem umieścił ją na kruczoczarnych długich włosach biskupa. Nigdy nie miał problemu z nakładaniem mu tego nakrycia głowy. Von Rappard, delikatniej mówiąc, do wysokich nie należał. Wyglądem różnił się od wszystkich innych hierarchów, których Kurt miał okazję widzieć. Von Rappard był młody, niski i kościsty. Nie miał w sobie dostojęstwa typowego dla urzędu, który piastował. Chłopak wiedział, że ma on jednak w sobie charyzmę, wielką ambicję i zaciętość. Często widział to w twarzy biskupa. Niestety często widział również

w tej twarzy złośliwą satysfakcją ze swojej dominacji nad nim. W tych chwilach, chociaż pragnął nie myśleć zupełnie o niczym, zastanawiał się, w jaki sposób taki człowiek doszedł do tego miejsca, w którym był. Ostatnio jednak zdarzało się też, że na twarzy von Rapparda na krótko pojawiały się oznaki lęku, a nawet śmiertelnego przerażenia. Pojawiały się one na mgnienie oka i w sytuacjach zupełnie niepozornych. Kurt nie znał powodu takich reakcji przełożonego, ale sam fakt istnienia takich momentów słabości biskupa sprawiał mu przyjemność.

Mitra spoczęła na głowie. Von Rappard nawet nie odwrócił się w stronę kleryka. Ponownie wygładził sutannę i pewnym krokiem ruszył do holu katedralnego i zakrystii.

– Posprzątaj pod stołem po tej kurwie – powiedział, wychodząc.

Biskup Magnus Von Rappard majestatycznym, długim krokiem podszedł do ołtarza. Katedra wcześniej wypełniona gwarem zamilkła tak bardzo, że słychać było jego kroki. Uwielbiał ten moment. Świątynia wypełniona po brzegi. Głowa przy głowie. Z pewnością drugie tyle ludzi się nie zmieściło. Napawał się świadomością, że skupia na sobie taką uwagę i nadzieję. Napawał się wyobrażeniem, jak dostojnie teraz wygląda w biskupiej ciemnej zieleni, ze złotym pektorałem i odświętną mitrą. Widział, jak pochylają przed nim głowy. Nawet ci w pierwszym rzędzie. Nawet namiestnik cesarski, książę i inni biskupi. Wszyscy są zaintrygowani jego, von Rapparda, nabożeństwami. Jego wszechmocą.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti!* – wyrzucił z siebie donośnie i słuchał, jak echo odbija w katedrze jego mocny głos. Patrzył jednocześnie, jak rozemocjonowany tłum posłusznie wielokrotnie czyni znak krzyża. Wiedział, na co wszyscy czekali. A zwłaszcza ten nieprawdopodobnie stłoczony tłum w nawach bocznych. Tłum śmierdzących biedą i chorobami szaraczków. Pozwoli im dziś znów ujrzeć swoją wspaniałość. Wszechpotęgę biskupa Magnusa von Rapparda! Niech jeszcze chwilę to pospółstwo poczeka na klęczkach...

– Niech Bóg Wszechmogący będzie pochwalony i wywyższony – znów zagrzmiął pełną mocą swojego głosu, jednocześnie rozkładając ramiona szerokim, majestatycznym gestem – a nam wszystkim da łaskawie doczekać zbawienia. Chwalmy Pana, który daje nam życie wieczne, daje nam wszystko, czego potrzebujemy. Prośmy w imię Chrystusa, a Bóg nas wysłucha.

Biskup spojrział na klęczącą tłuszcę z naw bocznych. Próbując powstrzymać odrzę i nadać twarzy wyraz majestatu, wykonał subtelny gest ręką w kierunku stłoczonego ludu. Przedstawienie czas zacząć.

– Niech podejda potrzebujący, niech podejda chorzy – zagrzmiął ponownie, ale jego ostatnie słowa utonęły już w gwarze spieszących pod ołtarz ludzi.

Biskup poczekał, aż tłum podejdzie.

– *Jesteś?* – Von Rappard wysłał myśl w przestrzeń.

– *Zawsze jestem przy tobie, doglądam inwestycji* – demoniczny, telepatyczny szept odezwał się po łacinie w jego głowie.

Biskup jak zwykle z trudem opanował lęk, słysząc ten szept. Przez chwilę głęboko oddychał.

– *Przypominam ci, że mi służysz, demonie! Znam Twoje imię!* – Von Rappard wysłał kolejną myśl. Po chwili usłyszał w głowie mrozący w żyłach chichot.

– *Tak, służę. Ale już niedługo. Ty i Twoje pomioty służyć mi będziecie przez wieczność. Klep swoje paciorki, klecho. Miejmy to już za sobą. Róbmy widowisko.*

Biskup von Rappard jeszcze wyżej uniósł ręce. Wyglądało to, jakby chciał objąć całą katedrę.

– Boże wszechmocny, ja, Twój pokorny sługa, poprzez Chrystusa, Twojego Syna – zagrzmiął na cały gmach – w imię Twoje uzdrawiam tę naszą siostrę.

Poczuł, jak przez jego ciało przechodzi fala mocy. Jego cała postać uniosła się kilka łokci nad posadzkę. Czuł, że bije od niego blask. Wtedy spojrział w dół. Na twarzy kobiety w średnim wieku, stojącej teraz u jego stóp, malował się niewysłowiony zachwyt. Patrzyła to na biskupa, to na swoją rękę, która od kilku lat, od chwili wypadku, trwała w przykurczu bez możliwości ruchu. Teraz kobieta ze

łzami w oczach samodzielnie prostowała i zginała palce. Jej szloch szczęścia niósł się po katedrze. Po chwili ucichł jednak w gwarze jęków i próśb kolejnych chorych. Tłum napierał. Biskup uniósł się jeszcze kilka łokci wyżej, widział teraz z góry przejętą twarz namiestnika, zalęknioną księcia i zapłakane, rozmodlone twarze biskupów.

Von Rappard wrócił dostojnym krokiem do swojego gabinetu, wyprosił strażników szybkim gestem dłoni i rozsiadł się wygodnie za biurkiem. Czuł się wspaniale. Po przedstawieniu w katedrze, gdzie uzdrowił kilkudziesięciu mieszczan, chłopów czy też innych biedaków, poproszono go dyskretnie, by zajął się możliwymi w przykatedralnej Pałacowej Kaplicy Karola Wielkiego. Przyjechali do niego z całej północnej Germanii i Niderlandów. Słowa z jego ust spijali i świeccy, i duchowni. Wszyscy upojeni widowiskiem podążali za jego argumentami o konieczności zmian w Kościele i poszerzeniu jego granic. Czuł, że jego czas nadchodzi. Niedługo jego władza sięgnie Lateranu i Rzymu. Von Rappard przypomniał sobie wzruszone twarze biskupów z pierwszego rzędu. Biskup Panwitz, biskup Gutsche, arcybiskup Dietze, oni są już jego. Zagłosują za nim. On, von Rappard, jest wielki! Wtedy uświadomił sobie, że ma wzwód.

– Kurt! Natychmiast do mnie! – wrzasnął. – Natychmiast, gnojku! W końcu się na coś przydasz!

Rozdział 3

BEZ TYTUŁU

- Dzień dobry, grzeczny chłopczyku.
- Dzień dobry, proszę pani.
- Czy masz na imię Magnus?
- Tak. Magnus von Rappard, proszę pani. A skąd pani wie?
- Ja wiem bardzo dużo, chłopczyku. Przecież ty wiesz, kim jestem, prawda, drogi Magnusie?
- Podejrzewam, że jest pani czarownicą, proszę pani.
- A skąd to wiesz, drogi Magnusie?
- Wiem to, bo widziałem, jak krzesa pani ogień z gołych rąk, a płomienie pani nie parzą.
- Dotknę teraz twojej czarnej czupryny, Magnusie, a ty powiedz mi, co jeszcze widziałeś, drogi chłopcze.
- Widziałem, jak ukręciła pani łepkę swojemu czarnemu krukowi i był martwy, a po chwili powiedziała pani jakieś słowo i on całkiem ożył.
- Spójrz mi w oczy, Magnusie, i powiedz mi prawdę, czy wydasz mnie Kościołowi?
- Tak, proszę pani. Oczywiście, że to zrobię.
- Dlaczego to zrobisz, Magnusie?

– By dostać nagrodę, proszę pani.

– Patrz mi cały czas w oczy, Magnusie. A czy jak ja ci obiecuję nagrodę, to mnie nie wydasz, drogi chłopcze?

– To zależy, jaką nagrodę, proszę pani. Kościół da mi pieniądze i awans, gdy panią wydam.

– Mogę dać ci potęgę czarów, drogi Magnusie. I dam ci to słowo, które wskrzesiło kruka.

– Czy będę wtedy niepokonanym panem świata, proszę pani?

– Tak, Magnusie, do chwili, gdy pojawi się jeszcze bardziej niepokonany pan świata.

– A ile będzie trwało moje władanie, proszę pani?

– Do twojej śmierci, drogie dziecko.

– Śmierć na razie mi nie grozi. Mam dziesięć lat, proszę pani. Proszę mi dać tę potęgę czarów i to słowo, które wskrzesiło kruka. Nie wydam pani. Obiecuję.

– Jesteś bardzo mądrym chłopcem, Magnusie von Rappard. Czy wiesz, że słowo *magnus* oznacza wielki?

– Wiem, proszę pani. Jestem najmniejszy w naszej szkole parafialnej. Przez to imię dodatkowo się ze mnie naśmiewają.

– Będziesz wielki, Magnusie. Odpłacisz im wszystkim za wszystko. Pamiętaj o naszej umowie. Wkrótce się zobaczymy.

Von Rappard gwałtownie zerwał się z pościeli, czym wystraszył stojących obok strażników. Znów pościel przyłgnęła do mokrej od potu skóry. Nie był też pewien, czy przypadkiem ponownie się nie zmoczył. W snach raz jeszcze przyszło do niego jedno z tych wspomnień z przeszłości.

– Wszyscy won! – krzyknął ochryple.

Strażnicy wybiegli. Został sam. Pozornie sam, bo on jednak tam był. Zawsze był obok. Chował się w zakamarkach cienia.

Rozdział 4

ROWENNA

Radosław z Nacieczy patrzył na wrzeszczącą i tłoczącą się cizbę na krakowskim rynku. Widział ich, ale jeszcze bardziej czuł. Szczególnie tę zalewającą tłum falę zwierzęcego podniecenia w oczekiwaniu na spektakl i wszechobecne pragnienie zobaczenia krwi, tortur i usłyszenia rozdzierającego krzyku bólu. Czuł też dumę tłumu wynikającą z przekonania, że czynią dobrze. Radosław szczerze nad tym bolał, że inspiracja chrześcijańskiego złego boga padała w tym wielkim mieście na tak podatny grunt.

Od wielu lat, z woli biskupa krakowskiego i w imię Chrystusa, ścigano wyznawców, kapłanów i kapłanki starej wiary. Ujętych wyznawców starej wiary przymuszano siłą do przyjęcia wiary chrześcijańskiej pod groźbą śmierci całej rodziny. Kapłani i kapłanki nie mieli tyle szczęścia. Najczęściej ginęli na miejscu, zaskoczeni podczas obrzędów w miejscach dla siebie świętych. Od czasu do czasu jednak dokonywano, tak jak to miało mieć miejsce dziś, publicznej egzekucji, ku przestrodze i ku radości gawiedzi.

– Niech powoli zdycha! – Nad krzykiem tłumu górował wrzask pijanego mieszczanina, stojącego w pierwszym rzędzie, tuż przed strażnikami biskupa.

– Między nogi jej pochodnie wsadzić, Ekscelencjo – wtórował mu jego nie mniej pijany kompan.

Jego Ekszelencja Biskup Krakowski Jan Muskata siedział na bogato rzeźbionym tronie, ustawionym na niewielkim drewnianym podeście. Pierś jego zdobił złoty łańcuch z krzyżem, wytopionym na modłę cesarską, a za jego plecami powiewały proporce Biskupstwa Krakowskiego, króla Wacława oraz Państwa Polan. Miasto Cracovia każdego lata śmierdziało nieprawdopodobnie odchodami ludzi i zwierząt. Biskup Muskata zakrywał twarz maską, próbując w ten sposób zmniejszyć drażliwość tego fetoru.

Radosław odczuwał unoszącą się w przestrzeni jego żądzę władzy i złota. Czuł głęboko zakorzenioną miłość do jego bożka, którego nazywał Chrystusem, i nienawiść do skazanej, bo jego „miłosierny” Chrystus tego od niego oczekiwał i najpewniej go za tę nienawiść nagrodi.

Mężczyzna odczuwał to wszystko swoim, jak to nazywał, „trzecim, magicznym okiem”. Od dziecka miał dar wyczuwania myśli i emocji innych ludzi, a Swarog, jego boski opiekun, przez lata jeszcze znacznie tę umiejętność wzmocnił.

W chwili, gdy swoim trzecim okiem poczuł rozchodzące się w tłumie zadowolenie, że widowisko się zaczyna, Radosław otworzył swoje zwyczajne oczy. Zobaczył jej drobną postać. Prowadziło ją dwóch zakapturzonych katów. Łachman, który miała na sobie, ledwo zakrywał jej wychudzone uda. Zasinienia na twarzy i nagich ramionach świadczyły o tym, że była bita. Mężczyzna zacisnął mocno zęby, a dłoń oplótł nerwowo na rękojeści miecza. Po chwili zmusił się jednak do pozostawienia broni w spokoju. Ktoś przecież mógł zacząć coś podejrzewać.

Radosław kilka razy spotkał tę młodą kapłankę już wcześniej, w sanktuarium Peruna. Miała na imię Rowenna. Pierwszy raz zobaczył ją, gdy była małą dziewczynką. Zawsze była uśmiechnięta i, w odróżnieniu od innych kapłanek nigdy się go nie bała. Kilkukrotnie zamienili ze sobą parę słów. Dziewczyna zawsze się wówczas uśmiechała, a Radosław swoim trzecim okiem wyczuwał w niej sympatię do swojej osoby. Teraz była już kobietą. Za chwilę najpewniej będzie martwą kobietą.

Mężczyzna wiedział, że Rowenna jest zrezygnowana. Zajrzał w jej umysł, spenetrował i nie znalazł w nim zdrady swojej wiary. Zajrzał głębiej, pod pokłady

strachu, bólu i rezygnacji. Zobaczył wiarę w słuszność tego, co robi, pomimo widma śmierci, i dalszą gotowość służby Perunowi. Radosław był dumny z tej młodej kapłanki. Silniejszy od dumy był jednak żal.

– *Miałeś słuszność, wielki Swarogu, ona jest godna.* – Rycerz wysłał myśl w przestrzeń.

– *Musi dać temu dowód. A ty musisz jej na to pozwolić, Radosławie.* – Wewnątrz głowy usłyszał głos, mówiący mocnymi starosłowiańskimi słowami.

– *Mogę ją jeszcze uratować, Swarogu...* – zaproponował kapłan, ale raczej nie miał większej nadziei na uzyskanie zgody.

– *Nie zdołasz! Zginiesz! A jesteś mi potrzebny, musisz nieść dalej moją pochodnię ognia, gdy nadejdzie czas, by podjąć walkę.* – Starosłowiańskie słowa jednego z przedwiecznych bogów, Swaroga, syna Peruna, huczały mu w głowie. – *Może to ona będzie tą, która przejdzie próbę, i tą, której od lat szukamy. Może ona będzie tą, której wszyscy oczekujemy, naszym ratunkiem, może to nasza przyszła Bezcielesna. Musisz czekać! Nie włączaj się!*

– *A jeżeli to nie ona jest wybranką, naszą oczekiwaną Bezcielesną?! To co?! Wtedy pozwolę jej zginąć na próżno!?* – spierał się rycerz.

Żadna odpowiedź już nie napłynęła. Radosław poczuł głęboki smutek. Taki, który zawsze odbierał jako cechę własnej słabości i zaniku wiary. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat próby przejścia pretendentek przez bramę śmierci zawsze kończyły się fiaskiem i ich zgonem. Raz tylko, gdy wróg był jeszcze daleko stąd, na zachód od Odry, on, Radosław, wśród plemion połabskich, znalazł tę, która przeszła próbę śmierci i bez skazy przekroczyła bramę. Tej Bezcielesnej nadano wówczas imię Łaba. Ta, którą wówczas znalazł i pokochał, zatrzymała nienawistną chrystianizację na niemal pół wieku na zachód od Odry. Jej moc jednak rozplynęła się w czasie i ludy Peruna i Walesa już od dawna z niej nie czerpały. Słudzy starej wiary potrzebowali nowej Bezcielesnej. W przeciwnym razie przywleczona mieczem i ogniem baśń o jednym bogu zniewoli osady nad Odrą, Wisłą, Pregolą i Dniestrem.

– *Nie ma innej drogi.* – Radosław niespodziewanie usłyszał w głowie odpowiedź boga. – *Musisz pozwolić jej zmierzyć się ze śmiercią. Musimy szukać Bezcielesnej, nosicielu mego ognia.*

– *Twoja wola, Swarogu, Boże Ognia* – odpowiedział posłusznie w myślach, choć duża część jego umysłu krzyczała, żeby ratować Rowennę. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że tym razem rola obserwatora będzie tak trudna.

Radosław odwrócił się, by nie widzieć egzekucji. Przeklinał swój dar trzeciego oka, który zmusi go do przeżycia śmierci wraz ze skazaną. Wiedział też, że nie potrafi ukryć przed zawsze obecnym duchem Swaroga swojego rozczarowania z faktu, że ten nie pozwala mu ratować dziewczyny.

Rowennę przy aplauzie tłumu przywiązywano pośpiesznie do pała. Obłożenie jej drobnej postaci wcześniej przygotowanym chrustem i belami drewna zajęło tylko krótką chwilę. Wrzask dzikiej radości rozniósł się daleko, gdy tylko tłum zobaczył pierwsze języki ognia. Rowenna stała jakby nieobecna. Strach odsunęła daleko. Nie wypatrywała ratunku. Odkąd została służką Peruna, gdzieś w głębi swojej głowy zawsze wiedziała, że tak to się skończy. Taki też koniec od początku akceptowała i jak na wierną starym bogom przystało, w tej chwili błagała kolejno Walesa i Marzannę, by po śmierci nie stać się niosącą zgon z wyczerpania lub obłąkanie południcą ani niosącą głupotę dzieciom mamuną, ani niosącą mężczyznom zgubę swoimi pieszczotami rusałką. To było niestety możliwe po śmierci zadanej gwałtem. Marzyła o duchowym odpoczynku w postaci ubożęcia, dzięki czemu mogłaby strzec ogniska domowego i bezpieczeństwa jakiejś żyjącej istoty. Jeżeli niedane będzie pozostać jej duszyczce na ziemi, to już tylko miała nadzieje, że zaopiekuje się nią Perun w swoim Wyraju, ten, któremu wiernie służyła, odkąd dwunasty raz zobaczyła wiosnę. Obawiała się, czy Perun nie pozostawi jej Walesowi. Pamiętała opowieści jej matki i swata jej osady o tym, jak zły Wales zamyka dusze umarłych w swoim ogrodzie nazywanym Nawie. Nie bała się jednak śmierci. Wypowiadając słowa modlitwy, odcinała swoje zmysły i wprowadzała się w świat snu. Głębiej i głębiej. Z jej świadomości zniknął zapach płonącego chrustu. Powoli wyciszał się wrzask

otoczenia. Powoli. Aż do zupełnej ciszy. Jej oczy zasnuwała senna biel. Opadała w nią zgodnie ze swoją wolą, choć wiedziała, że jest to droga w jedną stronę.

Radosław tkwił swoim trzecim okiem w głowie Rowenny. Przez jej zmysły poczuł najpierw swąd nieco wilgotnego siana, a potem ostrzejszy smród palonego drewna. Z trudem stłumił okrzyk bólu, gdy pierwsze języki ognia sięgnęły jej stóp. Po chwili poczuł, jak jego własne stopy zaczęły drętwieć. Odbiegł, utykając, od tłumy, by nie robić z siebie widowiska, ale po chwili upadł, gdyż ból był już nie do wytrzymania. Krzyczał. Wił się. Przez chwilę czuł jeszcze żal, ale za moment był już jedynie bólem.

Rowenna spokojnie odpływała ku śmierci. Modlitwą stłumiła strach. Trans przegrywał z bólem palonego ogniem ciała, ale dzięki niemu była w stanie powstrzymać się przed okazaniem cierpienia. Jej wola pozostawała niezłomna. Zakończy swe piętnastoletnie życie w sposób miły bogom. Oddawała im hołd słowami wplecionymi w ból, im wszystkim, im wielu. Ich obecność narastała. Czowała, że zbliża się Pierwotna Para. Biała mgła wokół niej ustępowała przed ich pierwotną wolą. Poczwała wodę płynącą u jej stóp. Jakby stała w rzece. Poziom jej podniósł się do wysokości jej pasa i woda przestała płynąć. Stała niczym w bezkresnym stawie. Brzegów nie widziała. Niebo było jasne, oświetlone wschodzącym, oślepiającym słońcem, które się zbliżało.

– *Witaj, dziewico słońca.*

Dziewczyna usłyszała starsłowiańskie słowa, a w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowało się słońce, pojawiła się łódź. Zadrzała, widząc stojącą w niej postać o czterech głowach. Patrzył na nią. Jej Wieczny Ojciec, Widzący Cały Świat Bóg Powietrza, Słońca i Piorunów – Perun.

– *Witaj, dziewico wody* – odezwał się w tym samym starym języku drugi głos, który wywoływał dreszcze. Dobiegał on z wody, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła w głębi pokrytą łuskami postać. Opadające z czoła wodorosty przesłaniały częściowo jej rybnie oczy. To był wzbudzający strach Wales, Pan Wszelkich Wód, Ziemi Podziemnych i Śmierci.

– *Dziewico słońca* – kontynuował Perun. – *Żadna istota mówić nie może w obecności naszej, więc słuchać będziesz, co do powiedzenia mamy. Wdzięczność naszą masz na wieczność za to, że czyn twojej ofiary spotkać się pozwolił znowu nam Pierwotnym, a długo szukaliśmy siebie. Przy pierwszym spotkaniu naszym wyłowiliśmy wspólnie cały świat z wody na słońce. Teraz spotkać się pragnęliśmy, by ratunek mu dać.*

– *Dziewico wody* – odezwał się płynący jakby z podziemi głos Walesa. – *Ty tym ratunkiem dla świata będziesz. Słowa mocy poznasz teraz, którym żadna istota świata tego oprzeć się nie zdoła. Ciało swoje utraciłaś, nowe otrzymasz, a gdy i to utracisz, przywdziejesz kolejne i kolejne. Dusza jest istotą twoją odtąd, a nie ciało. Stałaś się Bezcielesną.*

Wypowiadane słowa Peruna przenikały ją całą jak południowe gorące promienie słoneczne, a słowa Walesa powodowały drzenie całej jej istoty. Tylko w pierwszym momencie miała wrażenie, że nie zna tego pierwotnego języka, choć doskonale go rozumie. Po chwili już czuła, że zna go od zawsze i potrafi się nim posługiwać. Czuła się, jakby jednocześnie była żywa i martwa. Jakby jednocześnie była i nie była. Jakby w tej samej chwili rodziła się i była bardzo stara. Jakby była wieczna. Zdziwiło ją to uczucie, że wszystko wie, zna wszystkie odpowiedzi. Najbardziej jednak zdumiało ją poczucie potęgi. Przyjęła je z pokorą.

Ból ustał w jednej chwili. Gdy umysł Radosława powoli wygrzebywał się z odrętwienia, przez bardzo krótki moment, niemal w okamgnieniu, oślepił jego zmysły blask słońca, jakby odbity od powierzchni wody.

– *Wielki Swarogu, synu jego Swarozycu, Perunie, Walesie, Świętowidzie, Strzybogu i wszyscy wielcy pierwotni!... Dziękuję wam wszystkim, ofiarę za to ślubuję złożyć!* – Wysłał w przestrzeń głośną i radosną myśl, bo zrozumiał, że Rowenna przeszła próbę, a blask słońca, który ujrzał swoim trzecim okiem, to był sam Perun. – *Jest zatem znowu dla nas nadzieja.*

– *Czasu teraz na ofiary nie trać, w drogę ruszaj.* – usłyszał myśl swojego boskiego opiekuna. – *Znowu wielkie dni przed wami, naszymi ludźmi.*

– *Tak, Swarogu* – odpowiedział i szybko podążył w kierunku głównej bramy miasta.

Chciał ruszyć w drogę jeszcze dziś. Radosław wiedział, że Rowenna przeszła próbę, że nie jest to jej koniec, ale dopiero początek. Jak bogowie pozwolą, czeka ich długa wspólna wędrówka. Wiedział również, gdzie ją odnajdzie. Uśmiechnął się szeroko. Czuł się, jakby nie miał ponad dwustu, ale dwadzieścia lat. Pędem ruszył ku bramie.

Rozdział 5

MAREK

Marek Kunicki wrzucił jednomarkową monetę do automatu z coca-colą. Wcisnął przycisk opisany jako cola z małą ilością cukru i po chwili z głośnym łomotem puszka wypadła z podajnika do szuflady. Mężczyzna wciąż uważał, że powinien pilnować kalorii, mimo że na co dzień pracował fizycznie. Posiadał wyższe wykształcenie, jednak na razie nie był w stanie znaleźć w swoim nowym kraju żadnego zatrudnienia odpowiadającego swoim kwalifikacjom. Był jednakże daleki od narzekania. Pracując w swoim zawodzie w Polsce, nie byłby w stanie zarobić wystarczającej kwoty do zaspokojenia swoich potrzeb.

Odkąd wyjechał z Polski do Niemiec Zachodnich, minął już rok. Marek przez ten czas zmieniał pracę kilkakrotnie. Imigrantom bardzo często pozostawały posady dorywcze z umową na czas określony lub zupełnie bez jakiegokolwiek umowy. Z obecnej pracy był bardzo zadowolony. Zatrudnił się w małej firmie zajmującej się pielęgnacją ogrodów. Martwiło go jednak, że wraz z nadejściem późnej jesieni ilość pracy, a tym samym i jego zarobki zmniejszą się. Pieniądze w większości wysyłał do kraju. Część jako alimenty dla swoich córeczek bliźniaczek, a część swojej mamie, by dała radę jakoś przeżyć w ojczyźnie z jednej skromnej emerytury. Wciąż miał kłopoty z językiem, znał podstawowe słowa, ale o bardziej złożonych kwestiach z kolegami z pracy porozmawiać nie mógł. Podejrzewał zresztą, że nawet gdyby znał

język, z tymi ludźmi nie dałby rady nawiązać ciekawszej dyskusji. Był w zespole jedyną osobą z wyższym wykształceniem. Nawet jego szef nigdy niczego nie studiował; za to na zarabianiu marek znał się bardzo dobrze.

Karen, jedyna kobieta w jego firmie, na szczęście zupełnie nie przejmowała się jego słabym niemieckim. Co kilka dni umawiali się na jakąś kolację, albo u niego w wynajętym mieszkaniu, albo u niej, w jej własnym, chociaż wymagającym remontu lokum w starej kamienicy. Po kolacji najczęściej oglądali jeszcze telewizję, po czym szli do łóżka. Nie było to żadne wielkie uczucie, ale obojgu ten układ odpowiadał.

Niektóre popołudnia lub wieczory spędzał z Klausem, kolegą z pracy. Najczęściej te wieczory, podczas których na kanałach sportowych była szansa obejrzeć jakiś hit z piłkarskiej Ligi Mistrzów lub Pierwszej Bundesligi. Odgrzewali sobie wtedy zwykle w kuchence mikrofalowej hamburgery zakupione wcześniej w Lidlu. Klaus zwykle zapijał danie dużą ilością piwa. Marek, z racji świadomości kaloryczności tego napoju, preferował jednak wino wytrawne z marketowych kartoników.

Gdy nie spędzał wolnego czasu z Karen ani Klausem, lubił chodzić do miejskiej czytelnicy. Główna biblioteka i czytelnia publiczna w Aachen dysponowała pokaźnym zbiorem książek. Miał w zwyczaju wypisywać w czytelnicy rewers na dwie pozycje książkowe. Jedną książkę zwykle pożyczał dla przyjemności, i zazwyczaj jego wybór padał na anglojęzyczną fantastykę, drugą wypożyczaną pozycją zawsze był któryś z rozbudowanych podręczników fizjoterapii. Od czasu ukończenia studiów minął już dłuższy czas, ale wciąż miał nadzieję na pracę w zawodzie, a może nawet doktorat. O tym, że jest magistrem fizjoterapii, wiedziało niewiele osób, w zasadzie jedynie Karen, której któregoś wieczoru po zjedzeniu pizzy wykonał bardzo profesjonalny masaż z opisem masowanych struktur anatomicznych w języku łacińskim. O swoim wykształceniu nikomu innemu nie powiedział. Wstydził się. Nie wykształcenia oczywiście, ale tego, że obecnie dla zarobku pracuje fizycznie.

Marek otworzył z głośnym sykiem puszkę swojej świeżo zakupionej dietetycznej coli. Pociągnął głęboki łyk i ruszył wzdłuż ulicy, kierując się w stronę zabytkowej części Aachen. Nigdzie się nie spieszył. Niedzielne popołudnie, jak na

rozpoczynając się jesień, było wyjątkowo słoneczne i gorące. Czytelnia w niedzielę była zamknięta. Naprawdę miał czas wolny.

Na miejscu przeznaczonym dla inwalidów przy głównej ulicy stał zaparkowany lśniący czerwony jaguar. Właściciel auta, wysoki, ubrany na modłę hiphopową młody człowiek, z grubym złotym łańcuchem zawieszonym na szyi, już miał najwyraźniej kłopoty, gdyż tłumaczył się filigranowej strażniczce miejskiej, która trzymała w dłoni książeczkę z mandatami. Marek zbliżał się powoli do tej pary i zaczynały docierać do niego szczegóły prowadzonej – oczywiście po niemiecku – rozmowy.

– Pisz szybko swój świstek, paniusiu. Myślisz, że mam czas tu z tobą sterczeć? – Młody człowiek tak groźnie nachylał się nad funkcjonariuszką straży miejskiej, że daszkiem swojej czapki niemal dotykał jej głowy. Wyglądało na to, że hiphopowiec najwyraźniej nie przejmuje się tym, że złamał przepisy.

– Proszę się ode mnie odsunąć, proszę pana! – Słysząc było, że strażniczka stara się, by jej głos brzmiał stanowczo. – Odsunęła się krok od hiphopowca i zaczęła spisywać numer rejestracyjny.

– Bo co zrobisz, koleżanko? – Chłopak znów uczynił krok w kierunku funkcjonariuszki. – Dasz mi wyższy mandacik? Proszę bardzo, ja mam kasę. W przeciwieństwie do ciebie, bo ty już nie masz pracy. Wiem, jak się nazywasz. Przeczytałem z identyfikatora twoje nazwisko, koleżanko.

Marek był już na tyle blisko, że zauważył siedzących w aucie trzech podobnie odzianych hiphopowo młodzieniaszków. Wszyscy trzymali w rękach puszki budweisera i przysłuchując się rozmowie kolegi, uśmiechali się głupkowato.

– Proszę się ode mnie odsunąć, bo wezwę policję! – krzyknęła funkcjonariuszka straży miejskiej, a w jej słowach słysząc już było nieukrywany niepokój.

– Ojej, policję? Niech pani tego nie robi, proszę – obleśnie naigrawał się wysoki właściciel złotego łańcucha, napierając nadal ciałem na strażniczkę. – Może wsiądziesz do nas do auta, jakoś to załagodzimy. Będziesz zadowolona, paniusiu.

Tu rozległy się głośny śmiech i okrzyki aprobaty ze strony kolegów z auta.

Marek już oddalał się powolnym krokiem od uczestników tej sceny. Myślał intensywnie. Robił w myślach bilans potencjalnych zysków i strat. Włączyć się? Co zyskam? Spokojniejszy sen dzisiaj? Być może. Co stracę? Może zęby. Może zdrowie albo życie. Może stracę możliwość pobytu czy pracy w tym kraju. Z czego Agata utrzyma wtedy dziewczynki? Nie ma przecież pracy. Nie włączać się? Co stracę? Honor. Co jest ważniejsze? Dzieci czy honor?

Nie dane mu było dokończyć rozważań. Kątem oka zauważył, że funkcjonariuszka wsunęła za wycieraczkę blankiet mandatu i niemal biegiem oddaliła się od groźnych wyrostków. Towarzyszył jej chichot młodocianych.

Marek posmutniał. Miał poczucie jakiejś porażki. Ale z drugiej strony, czy do niego należało wychowywanie młodzieży w obcym kraju? Świat w ogóle staje na głowie.

– Paniczu, daj markę lub kilka, to ci powrózę. – Zachrypnięty kobiecy głos wyrwał Marka z zamyślenia.

Marek spojrział zdziwiony. Propozycja wybrzmiała bowiem po polsku.

Przy ścianie budynku z czerwonej cegły na gołej ziemi siedziała cyganka. Twarz miała stosunkowo młodą, jednak spod kolorowej chusty wysuwały się siwe, potargane włosy. Trudno było nawet w przybliżeniu określić wiek tej kobiety. Była bardzo szczupła. W oczy rzucało się przyduże rozmiarowo ubranie, sfatygowany kożuszek oraz kolorowe, pasiaste spodnie wsunięte do zupełnie niepasujących do obecnej pogody zimowych obszernych butów.

– Skąd pani wie, że znam polski? – zdziwił się Marek.

– Są mądrzejsze pytania do zadania cygance, chłopcze. – Uśmiechnęła się prosząco. – Dasz markę lub kilka?

Marek zawahał się. Przed chwilą nie zdał egzaminu na dobrego człowieka. Wyciągnął powolnym ruchem swój portfel, otworzył go i ponownie się zawahał. Ostatnie drobne wydał przed chwilą na colę, której słodycz czuł jeszcze w ustach, a w portfelu miał jedynie kilka banknotów dziesięciomarkowych. Nie bardzo miał

ochotę wspierać tę kobietę tak wysoką kwotą. Spojrzał jednak na jej szczupłą twarz oraz ubranie i ostatecznie wyjął i podał cygance jeden z banknotów.

Kobieta spojrzała na oferowany datek i szybko schowała go do jakiejś ukrytej kieszonki wewnątrz swojego przydużego zimowego obuwia. Wtedy z wdzięcznością spojrzała na Marka.

– Och, dziękuję, drogi chłopcze! – powiedziała, kłaniając się niemal do samej ziemi. – Jesteś dobrym człowiekiem. Będzie to więc uczciwa wróżba. – Podaj mi dłoń.

Dłoń cyganki była zaskakująco zimna. Kobieta zrotowała gwałtownie rękę Marka i zaczęła przyglądać się jej dłoniowej powierzchni.

– Zimy się obawiasz... – zachrypiała kobieta o młodej, szczupłej twarzy.

– To było pytanie? Myślałem, że wróżki wiedzą, a nie pytają – zirytował się lekko Marek, gdyż dotarła do niego absurdalność sytuacji. Oddał cygance kwotę odpowiadającą dwóm godzinom swojej ciężkiej pracy, za wróżbę, w której spełnienie zupełnie nie wierzył. Był człowiekiem nauki, twardo stąpającym po ziemi. Co on najlepszego zrobił?

– Dobrze zatem, paniczku... – zachrypiała ponownie, patrząc tym razem nie na dłoń Marka, ale prosto w jego twarz. – Zimy się obawiasz, paniczku... Więc na zimę wróżba będzie...

Kobieta przez dłuższą chwilę patrzyła w milczeniu na twarz Marka, co zaczęło go już trochę nużyć. W końcu jednak cyganka rzekła:

Biedny byłeś... Biedniejszy jeszcze będziesz...

Samotny byłeś... Samotniejszy jeszcze będziesz.

Nie będzie łatwo, chłopcze... Aż mi cię, chłoptasiu, szkoda...

Ale na koniec czeka cię... przygoda.

Wierszyk wypowiedziała zupełnie beznamiętnym głosem, patrząc to na twarz mężczyzny, to znów gdzieś w dal.

– To ma być dobra wróżba? – Marek miał wrażenie, że stracił nie tylko pieniądze i czas, ale też dobry nastrój.

– Nie miała być dobra, ale uczciwa – odpowiedziała kobieta, puszcżając jego dłoń.

Marek odwrócił się i oddalił bez wypowiedania już jakiegokolwiek słowa. Pomyślał, jak bardzo dziwny jest ten świat. A następnie kontynuował swój spokojny spacer ulicami Aachen. Do końca tego spaceru już nic istotnego się nie wydarzyło.

Rozdział 6

DOTYK BOGA

– Kapitanie! Kapitanie! – Strażnik Gerhard Stolbe wpadł bez pukania do komnaty kapitańskiej z impetem szarżującej ciężkiej kawalerii.

Kapitan Johann von Wiebe, obudzony hałasem, skoczył na równe nogi ze swojego siennika.

– Melduj, Stolbe! – padł od razu trzeźwy rozkaz.

Strażnik łapał oddech.

– Ktoś wtargnął do piwniczki biskupa, kapitanie. I leży tam przecięty niemal na pół.

– Jak to wtargnął? Czym przecięty? – Kapitan, nie czekając na odpowiedź, chwycił leżący obok siennika krótki miecz i już po chwili obaj zbiegali po krętych schodach wieży.

Von Wiebe poczuł charakterystyczny zapach krwi, zanim jeszcze otworzył drzwi do piwniczki. Gdy je uchylił i wysunął do przodu pochodnię, jego oczom ukazał się obraz, którego wolałby nigdy nie oglądać.

– Dobry Boże! – jęknął.

Niemal całą podłogę małego pomieszczenia pokrywała częściowo skrzepła krew. Pośrodku zaś leżał trup, z którego pleców wystawało długie i szerokie ostrze miecza. Nieboszczyk miał na sobie prosty czarny strój z szerokim skórzanym pasem,

do którego przymocowana była pochwa z długim sztyletem. Sądząc po szatach, nie był to nikt ze straży biskupiej. Trup obejmował niewielki orientalny stoliczek, na którym spoczywała szkarłatna sakiewka z biskupim zdobieniem.

– Kto to, do cholery, jest? – zapytał kapitan, stojąc w drzwiach i maksymalnie wyciągając ramię z pochodnią. – Chyba to nikt z naszych. Co tu, do cholery, robi?!

– Pojęcia nie mam, kapitanie – zameldował Stolbe.

– Ty go zabiłeś, Stolbe? – Von Wiebe podejrzliwie spojrzał na podwładnego.

– Nie, kapitanie, zastałem to wszystko przy wieczornym obchodzie tak, jak pan kapitan widzi. Niczego nie ruszałem – zapewnił strażnik niemal błagalnym głosem. – Zdziwiłem się, że nie ma mojego człowieka, który miał stać przed tymi drzwiami. Potem zobaczyłem wyrwany skobel, więc je otworzyłem. Zaraz każę moim ludziom odszukać tego strażnika. Sądzę, że on zabił tego włamywacza, bo któż by inny. Tylko czemu o tym nie zameldował i nie zaalarmował pozostałych?

– Jak nie wszczął alarmu, to pewnie też nie żyje – rzucił kapitan w zamyśleniu. – Rozejrzyjmy się, Stolbe. Co tu się, do cholery, wydarzyło?

Kapitan wszedł do piwniczki. Stąpił po skrzepniętej krwi, która okazała się być jeszcze lepka, więc odrywał podeszwy z głośnym młaśnięciem. Po kilku krokach dotarł do trupa, szarpnął go za sztywne ramię i nie bez wysiłku częściowo obrócił, na tyle, na ile pozwolił sterczący z pleców miecz, który oparł się o podłogę. Twarz martwego człowieka nie była kapitanowi znana. Wyrażała absolutne zdziwienie, a może nawet przerażenie. Von Wiebe dłuższą chwilę przyglądał się jego twarzy, zaciśniętym mocno szczęką i wybałuszonym oczom, próbując znaleźć w nich coś znajomego. Nie znalazł.

– Znacie go, Stolbe? – Podświetlił pochodnią twarz nieboszczyka.

– Nigdy go nie widziałem, kapitanie – padła odpowiedź.

Z brzucha trupa wystawała rękojeść miecza ze złotym znakiem biskupa Akwizgranu na okrągłej głowicy.

– Biskup von Rappard nie mógł go zabić, kapitanie. – Strażnik podązał za myślami przełożonego. – Nie było go dziś w naszej wieży.

Kapitan wziął do ręki leżącą na stoliku sakiewkę. Była zupełnie pusta.

Co w niej mogło być? Co w niej chował biskup? – pomyślał i zaczął przeszukiwać ubranie nieboszczyka. Robił to dokładnie, metodycznie. Przekręcał zwłoki kilkakrotnie, rozcinał nożem podszewki, obmacywał każde zgrubienie materiału. Trup nie miał przy sobie nic, żadnych kosztowności potencjalnie wykradzonych z sakiewki ani też żadnych przedmiotów mogących sugerować tożsamość. Właściwie to nie miał przy sobie niczego, poza prostym nieoznakowanym sztyletem.

Johann von Wiebe wyprostował się, zostawiając na podłodze leżącego trupa z porozcinanym odzieniem. Uniósł wyżej pochodnię. Zadziwiło go, że w piwniczce nie było nic więcej. Tylko orientalny niski stoliczek i pusta sakiewka. Zmarły leżał u jego stóp i zdawał się go obserwować. W świetle pochodni wyglądał upiornie. Patrzył teraz oczami bez wyrazu, a wcześniej zaciśnięte szczęki rozchyliły się nieznacznie. Kapitanowi wydawało się przez moment, że dostrzega coś w gardle martwego włamywacza, lecz nagle coś innego zwróciło jego uwagę. Mężczyzna uniósł pochodnię jeszcze wyżej. Puste jak dotąd pomieszczenie już takie nie było. Przeciwległa ściana piwniczki, która jeszcze przed chwilą była dokładnie widoczna, obecnie tonęła w mroku. Wyglądało to tak, jakby światło pochodni przestało do niej docierać. Jak gdyby płomień był zbyt słaby, by przeniknąć tak daleko, lub ściana cofnęła się sama w dal niedostępną światłu.

– Co, do cholery? – Von Wiebe patrzył jak urzeczony na to niecodzienne zjawisko.

Czuł, że w zasadzie to powinien się wystraszyć, ale z jakiegoś trudnego do zrozumienia dla niego powodu strach ustąpił miejsca dziwnemu odrętwieniu. Ono zaś po krótkiej chwili zamieniło się w zaciekawienie, a po kilku kolejnych minutach wpatrywania się w ten mrok stało się czystą fascynacją.

– Widzisz to, Stolbe? – zapytał kapitan, wciąż nie ruszając się z miejsca.

Odpowiedzi nie było, ale nie miało to już dla niego znaczenia. Von Wiebe próbował przebić wzrokiem zagadkowy mrok. Wydawał się on gęstnieć z minuty na

minutę. Blask pochodni kończył się niemal zaraz za płomieniem. Kapitan chwilami dostrzegał w mroku coś więcej; jakieś światło otulone ciemnością, ale jednak przebijające się i zbliżające. Zaczął mieć poczucie, że stał się świadkiem cudu. Jego serce doznawało uwielbienia, radości i tęsknoty za tym światłem. Za przesłoną mroku powoli przybierało ono kształt wysokiej, ponad dziesięciołokciowej postaci. Mężczyźnie wydawało się, że ma ona rozłożone wielkie i piękne skrzydła. I choć wypełniała niemal całą piwniczkę, nadal mrok uniemożliwiał rozpoznanie szczegółów.

Twarz kapitana wyrażała bezbrzeżny zachwyt. Czuł się wybrańcem. Kimś wielkim. Szczodrze nagrodzonym za swoją wspaniałą pracę i życie. Szczęście wypełniało mu serce, oszałamiało. Miał poczucie, że dotyka go palec boży.

– Kim jesteś? – szepnął von Wiebe.

– *Bądź pozdrowiony, łaski pełny, Pan z tobą* – odezwała się postać zza ściany mroku.

Johann zmieszał się na te słowa i w myślach rozważał, co może znaczyć to pozdrowienie.

– *Nie bój się Johannie, znalazłeś bowiem łaskę u Najwyższego* – dotarły do niego kolejne słowa. – *Oto wykonasz dla mnie zadanie...*

Kapitan słuchał w uniesieniu każdego słowa. Wykona wszystko. Otrzyma wielką nagrodę. Zasługuje na nią.

– Oto ja sługa pański, uczynię dokładnie według Twego słowa – odpowiedział von Wiebe tonem uwielbienia.

Gerhard Stolbe stał w drzwiach piwniczki i obserwował, jak von Wiebe z trudem przekręca trupa i wpatruje się w jego twarz.

– Znacie go, Stolbe? – usłyszał pytanie zwierzchnika.

– Nigdy go nie widziałem, kapitanie – odpowiedział strażnik zgodnie z prawdą.

Von Stolbe zobaczył, jak wzrok kapitana pada na miecz, wbity w brzuch trupa aż po sam jelec. Zauważył też insygnia biskupie na głowicy.

– Biskup von Rappard nie mógł go zabić, kapitanie – odpowiedział przełożonemu. – Nie było go dziś w naszej wieży.

Stolbe obserwował, jak Johann Von Wiebe wziął do ręki leżącą na stoliku sakiewkę, dokładnie ją obejrzał i nic w niej nie znalazł. Następnie przeszukał ubranie trupa, kilkakrotnie obracając ciężkie ciało zabitego. Przez moment chciał pomóc kapitanowi, ale zniechęciła go perspektywa stąpania po lepkiej, stygnącej krwi. Walczył jeszcze ze sobą przez moment, ale po chwili jego przełożony wyprostował się powoli, zostawiając trupa na podłodze. Stolbe obserwował, jak von Wiebe uniósł wyżej pochodnię, oświetlając całe puste pomieszczenie. Dziwna to była piwniczka. Jakby przeznaczona jedynie dla fikuśnego stoliczka i sakiewki. A może coś zostało wyniesione przez inne osoby?

– Pusto tu, kapitanie – strażnik podzielił się spostrzeżeniem.

Ten jednak milczał, stał w zastygającej krwi i trzymał wysoko pochodnię, wpatrując się w przeciwległą ścianę.

– Co, do cholery? – powiedział nagle von Wiebe.

– Coś pan tam widzi, kapitanie? – zdziwił się Stolbe.

Strażnik czekał dłuższą chwilę na odpowiedź, ale ona nie nadchodziła. Kapitan stał bez ruchu, gapiąc się na pustą ścianę.

– Widzisz to, Stolbe? – W końcu pojawił się jakiś odzew.

– Nic tam przecież nie ma, kapitanie, co pan tam widzi? – zaniepokoił się Stolbe.

Obserwował przełożonego. Miał wrażenie, że ten bardziej się wyprostował i zaczął szybko oddychać.

– Myśli pan, kapitanie, że coś jest za tą ścianą?

Stolbe ponownie chciał wejść do piwniczki, aby obejrzeć z bliska mur, ale znów obrzydziła go świadomość brodzenia we krwi i zrezygnował. Czuł jej mdławy zapach. Zaczynało być mu niedobrze. Wolałby już stąd iść. Czekał jednak, co rozkaże kapitan.

– Kim jesteś? – szepnął cicho Johann von Wiebe i zupełnie niespodziewanie, nie bacząc na mdłą posokę, rzucił się na kolana.

– Kapitanie, co jest?! – krzyknął podwładny i już bez chwili zastanowienia zrobił krok do przodu. Nie był to jednak zbyt szczęśliwy ruch, gdyż Stolbe poślizgnął się na zakrwawionej ceglanej posadzce i runął na nią jak długi. Co gorsza, rzucona przez kapitana na podłogę pochodnia nieco przygasła, co utrudniło strażnikowi powrót do pozycji stojącej. Wciąż rozjeżdżały mu się ręce, gdy próbował znaleźć dla nich oparcie.

– Niech to szlag! – zaklął, gdy znów rozjechały mu się dopiero co ustawione na podłodze nogi.

– Oto ja sługa pański, uczynię dokładnie według Twego słowa. – Donośny głos kapitana zabrzmiał dziwnie.

Stolbe, który właśnie złapał równowagę, sądził, że się przesłyszał.

– Słucham, kapitanie? Może pan powtórzyć? – zapytał niepewnie.

Johann von Wiebe wstał powoli z klęczek. Podniósł pochodnię. Odwrócił się do podwładnego. Jego twarz wyrażała determinację.

– Mamy ważne zadanie do wykonania, Gerhard!

Biskup: „Będę niósł sztandary Boga aż na granice świata. Diable, nie będzie dla ciebie miejsca na świecie”.

Lucyfer: „Pamiętaj, prochu marny, że im dalej sięga twa władza, Ojczyce Święty, tym dalej od razu sięga i moja”.

Źródło: napisano pod pseudonimem Maksymilian

Rozdział 7

NARADA

Czekali w gabinecie biskupa. Gospodarz spóźniał się. Trzech mężczyzn od kwadransa nie powiedziało do siebie ani słowa. Zatopieni w myślach oczekiwali. Należeli do tych, którzy nie ufali nikomu, a już zwłaszcza pozostałym siedzącym przy stole.

Hrabia Harold de Millow, zarządzający siatką szpiegowską hierarchy, domyślał się, że biskup zapewne kończy chędożyć jakąś dziewczkę albo swojego młodego sekretarza. Siedział po prawej stronie krzesła biskupa i milczał, bo doświadczenie nauczyło go, że wypowiedzanie niepotrzebnych słów może zaprowadzić człowieka na stryczek. Zawsze wolał słuchać, niż mówić. A już najbardziej lubił przesłuchiwać. I zadawać ból.

Siedzący po lewej stronie krzesła biskupa sędziwy generał Albrecht von Sturmberg, dowódca straży biskupa, nienawidził de Millowa. Uważał tamtego za przybłędę, a co więcej – za niebezpiecznego przybłędę, bo on naprawdę dużo wiedział. Za dużo wiedział, więc był niebezpieczny. Generał był żołnierzem. Potrafił walczyć, ale nie lubił wszelkich zakulisowych działań, dlatego obawiał się tego spotkania i robił wszystko, by wyglądać na spokojnego.

Trzecim uczestnikiem spotkania, siedzącym naprzeciw krzesła biskupa, był kapitan Johann von Wiebe. Uczestniczył on pierwszy raz w takiej naradzie. Przybył

tam tylko dlatego, że biskup mógł chcieć osobiście zadać mu kilka pytań na temat włamania do swojej piwniczki. Zdarzyło się to przecież na jego wachcie. Mimo że spodziewał się kłopotów, zachowywał spokój. Jego bezpośredni zwierzchnik, generał von Sturmberg, dokładnie wypytał go przed zebraniem o wszystkie szczegóły feralnego dnia, w którym doszło do włamania. I choć nalegał na udział kapitana w tym spotkaniu, teraz wyglądał na bardziej zdenerwowanego od niego.

Drzwi się otworzyły. Do pomieszczenia wszedł kleryk Kurt. Uważny obserwator, a takich przy stole nie brakowało, od razu mógł zauważyć zaczerwieniony lewy policzek młodego kleryka, zapewne po uderzeniu.

– Szanowni panowie – powiedział młodzian. – Przybył Jego Ekscelencja biskup Magnus von Rappard.

Wstali z miejsc. Hierarcha powolnym krokiem podszedł do swojego krzesła i usiadł. Widać było, że jest wzburzony. Jego zwykle blada i szczupła twarz była niepokojąco zaczerwieniona z emocji.

– Czy ktoś mi może wytłumaczyć to, co się stało? – powiedział cicho, nerwowo ściskając swoje palce na blacie stołu.

Zaległa cisza. Nikt nie kwapił się do udzielenia odpowiedzi na tak zadane pytanie.

– Do stu diabłów, von Sturmberg, ciebie pytam, głupcze!!! – Biskup stracił panowanie nad sobą. – Jak ktoś mógł ukraść najcenniejszy dla mnie przedmiot ze strzeżonego pomieszczenia?!

Jenerał starał się zachować kamienny spokój. Nie przywykł do tego, by na niego krzyczano.

– A co właściwie zginęło, Ekscelencjo? – odpowiedział von Sturmberg pytaniem na pytanie.

– Nie twój zasrany interes, durniu!!! – Von Rappard, krzyżąc, aż wstał z krzesła, a z jego ust wytrysnęły kropelki śliny.

Jenerał ciężkim wzrokiem spojrział na kapitana von Wiebe. Spojrzenie to zapowiadało definitywny koniec kariery kapitana.

Zapadła chwila grobowej ciszy, po której niespodziewanie odezwał się hrabia de Millow.

– Ale czego mam szukać, Ekscelencjo? Muszę wiedzieć, co zginęło.

Biskup Magnus von Rappard przez dłuższą chwilę walczył ze sobą. Oddychał głośno i głęboko.

– Umowę, umowę skradziono, de Millow – wydusił w końcu. – Spisaną na szczególnym pergaminie. Znajdź ją, Millow. Ale pamiętaj! Nie wolno ci jej czytać! Bo będziesz wisiał!

Mina hierarchy nie pozostawiała wątpliwości, że nie rzuca pogroźek po próżnicy.

– Rozumiem – odpowiedział de Millow z kamienną twarzą.

– *Kłamie!* – wyszeptał nagle demon w głowie biskupa. – *On już wie, że przeczyta ten pergamin, jak tylko go znajdzie!*

Biskup niespodziewanie dla wszystkich zerwał się od stołu z krzykiem. Odwrócił się od pozostałych, by nie pokazywać twarzy. Wiedział, że wyraża ona teraz strach. Siedzący przy stole spojrzeli na siebie niepewnie.

– *Wiem to i bez ciebie, demonie.* – Von Rappard wysłał myśl w przestrzeń. – *Ale chcę, żeby szukał mojej zguby, skoro ty okazujesz się nieużyteczny.*

– Dobrze, hrabio de Millow – powiedział twardo biskup. – Poszukasz tego złodzieja i przywieziesz mi moją umowę. – *A Ty go przypilnujesz.* – wysłał myśl do demona. – *Jak będzie próbował przeczytać, zabij!*

– *Oczywiście, klecho, jeszcze ci służę, ale do twojej śmierci już niedługo.*

Von Rappard usłyszał w głowie demoniczny chichot i na jego twarzy znów pojawił się lęk.

Uczestnicy spotkania uważnie przyglądali się biskupowi. Ten jednak szybko opanował emocje i ponownie usiadł wygodnie na swoim obitym czerwonym suknie krześle.

– Jak doszło do kradzieży, von Sturmberg? Co ustaliliście? – zapytał już spokojniejszym głosem.

– Kapitan von Wiebe opowie ze szczegółami. – Jenerał spojrział ponownie ciężkim wzrokiem na kapitana. – On tego dnia dowodził strażą.

Biskup przeniósł surowe spojrzenie na kapitana. Ten zaś wstał i popatrzył spokojnie w twarz hierarchy.

– Ekscelencjo – zaczął powoli – robiłem wieczorny obchód, gdy zobaczyłem, że w wieży nie ma strażnika przy drzwiach do twojej piwniczki. Skobel był wyrwany, więc wszedłem. W środku na stoliku była jedynie pusta sakiewka.

– Nie było w niej żadnego pergaminu? – upewnił się zimnym głosem biskup.

– Nie, Ekscelencjo, sakiewka na pewno była pusta.

– Czy włamywacze zostawili jakieś ślady? – dopytywał von Rappard.

– Nie, Ekscelencjo, żadnych śladów – odpowiedział pewnie von Wiebe. – Piwnica była pusta. Nie licząc stolika i sakiewki oczywiście. Psy puściliśmy tropem, ale nic nie znalazły. No i straciliśmy dwóch ludzi. Strażnicy Stolbe i Gruth zniknęli bez śladu.

– Czy mam rozumieć, że nie ujmiacie sprawców kradzieży, von Wiebe?!!! – Biskup podniósł głos i zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że aż jego czarne włosy na moment przesłoniły mu twarz. Bił od niej gniew.

– Śledztwo prowadzi obecny tu jenerał Albrecht von Sturmberg, Ekscelencjo. – Tym razem to kapitan spojrział na jenerała ciężkim jak ołów spojrzeniem.

Hierarcha zamknął oczy. Oddychał głęboko i głośno.

– *Czy von Wiebe mówi prawdę, demonie?* – Von Rappard wysłał myśl.

– *Nie mogę tego zobaczyć* – padła odpowiedź.

– *Jak to nie możesz?* – nie dowierzał biskup. – *Masz mi służyć, ty ścierwo z ciemności!*

– *Jest to przede mną zasłonięte.* – W odpowiedzi demona dało się wyczuć zdziwienie, a nawet zaniepokojenie.

Po dłuższej chwili milczenia von Rappard otworzył oczy i spojrział na kapitana.

– Możecie odejść, von Wiebe. – Dźwięk głosu biskupa był naprawdę złowrogi. – Poczekajcie w jadalni na dalsze rozkazy.

Hierarcha zamilkł i cierpliwie poczekał, aż kapitan opuści komnatę i zamknie za sobą drzwi.

– Von Sturmberg! – Biskup spojrział na jenerała. – Zaraz po naszym spotkaniu aresztujesz kapitana i zamkniesz go w lochu.

A ty... – Von Rappard skierował się w stronę hrabiego de Millowa – wyrwiesz mu najpierw wszystkie włosy, potem wszystkie paznokcie, potem połamiesz wszystkie palce, potem odetniesz mu te palce i spalisz je na jego oczach! Potem wyłupiesz mu oczy! Potem zmiażdżysz jądra i utniesz kutasa, i nakarmisz go nim!... – Tu zrobił przerwę dla wzięcia oddechu. – I wyciągniesz z niego informacje, co się działo tamtej nocy. – Biskup spojrział groźnie prosto w oczy hrabiego. – Zrozumiałeś, de Millow?

– Tak jest, Ekscelencjo! – Oczy hrabiego wyrażały dziwne zadowolenie, a nawet tęsknotę.

W tym momencie jenerał gratulował sobie pomysłu zabrania kapitana na tę naradę. Zastanawiał się, co mogłoby się wydarzyć, gdyby to on relacjonował wydarzenia z dnia włamania.

– Kolejna sprawa, panowie. – Biskup wyrwał podwładnych z zamyślenia. – Kolejna sprawa to zwołany przez nas synod w Akwizgranie. Kto się do nas wybiera, de Millow?

– Frekwencja będzie wysoka, Ekscelencjo – szybko odpowiedział hrabia. – Papież co prawda rozesłał informację o fałszerstwie wezwania i nakaz pozostania w biskupstwach pod groźbą ekskomuniki, ale one dotarły na czas jedynie do biskupów Italii. Pozostali w większości są już w drodze do Akwizgranu.

– Doskonale, de Millow. – Oczy biskupa von Rapparda zaświeciły się blaskiem żądzy władzy. – Doskonale.

– To zasługa Ekscelencji – podliział się hrabia. – Dotąd nie wiem, jak Ekscelencja stworzył te pisma. Ja tylko doradziłem ten synod i zasugerowałem datę. – De Millow przypomniał sprytnie swoje zasługi.

– A co z biskupami Italii? – zapytał von Rappard.

– Większość posłuchała papieskiego nakazu pozostania w biskupstwach, jedzie do nas z Italii jedynie kilku najwierniejszych członków bractwa Rycerzy Chrystusa i krytyków polityki papieża... – Tu zawiesił nieco głos – I jedzie do nas też kardynał de Cuntis. Dostał polecenie od samego Benedictusa XI, więc na pewno będzie nam patrzył na ręce...

– No proszę – zamyślił się biskup. – Jesteście naprawdę przydatni, de Millow. De Cuntis nie może dojechać do Akwizgranu. Może nam wszystko popsuć. Wy się nim zajmiecie, von Sturmberg. Rozwiążecie definitywnie kwestię jego kandydowania do tronu Piotrowego. Zrozumiał pan, jenerale?

– Tak jest, Ekscelencjo! – potwierdził beznamiętnym głosem jenerał. – Ani kardynał, ani nikt z jego świty nie dotrze do Akwizgranu... ani nigdzie indziej.

– Jest lepsze rozwiązanie... Ekscelencjo – powiedział hrabia z naciskiem, chytrze się uśmiechając.

– Jakie? – podejrzliwie zapytał biskup.

– Jeżeli Ekscelencja marzy o krucjacie przeciwko poganom na Wschodzie... To niech ten de Cuntis zginie gdzieś pomiędzy Łabą czy Odrą... na przykład... z powodu rytualnego poderżnięcia gardła na cześć Peruna czy jakiegoś innego demona... tfu! – Hrabia powoli dopracowywał swój pomysł. – Możemy sprawić, że zostanie odnaleziony w jakimś pogańskim sanktuarium... na dodatek ze sprofanowanym krzyżem w dupie.

– No proszę, panie hrabio. – Biskup spojrzał na niego z uznaniem. – A znasz takie miejsce?

– Znam, Ekscelencjo – odrzekł de Millow z okrucieństwem w oczach.

– Dobrze zatem, jenerale – rzekł von Rappard. – Napadniecie na orszak kardynała gdzieś z dwa dni drogi od Akwizgranu, zabijecie wszystkich poza nim, zostawicie na miejscu walki jakieś wiarygodne pogańskie ślady, a następnie przekażecie tego skurwiela de Cuntisa panu hrabiemu. On dokona odpowiedniej mistyfikacji na Wschodzie. Zrozumiano?

– Tak jest, Ekscelencjo! – potwierdził von Sturmberg. – Zrozumiałem.

– Czy u naszych obserwowanych obiektów działo się coś istotnego, de Millow?

– Von Rappard zmienił temat.

– Papież ma się nieco lepiej, leczą go najlepsi medycy – zaczął hrabia. – Wiosną udaje się do Perugii. Ludzie mówią, że jeszcze kilka lat pożyje.

– Nie pożyje! – niespodziewanie przerwał biskup i po chwili na jego twarzy zagościł wyraz lęku.

De Millow i von Sturmberg obserwowali dziwne zachowanie hierarchy w milczeniu i obaj skierowali dyskretne spojrzenie w stronę, w którą patrzył duchowny. Nie dostrzegli tam jednak nic niezwykłego.

– Masz jeszcze jakieś informacje, de Millow? – Von Rappard powoli dochodził do siebie.

– Biskupi Rycerzy Chrystusa, Michaelis, von Hertling i Ambrosio, uzyskali w kilku biskupstwach obietnicę wsparcia krucjaty, jak tylko Ojciec Święty zakończy swój ziemski czas – powiedział hrabia. – Wcześniej, przed zmianą papieża, nikt jednak krucjaty nie poprze.

– To już niedługo, panowie – powiedział mocnym głosem biskup. – Najpierw jednak czeka nas synod w Akwizgranie. Ja się zajmę moimi nabożeństwami... a wy... – tu groźnie spojrzał na hrabiego i generała – macie trzymać szpiegów z daleka!... I włamywaczy też! Zrozumiano?!

– Tak jest! – szybko potwierdzili rozmówcy.

– I jeszcze jedno, panowie. Zaszły niespodziewane, choć chyba bardzo sprzyjające nam okoliczności – rzekł biskup i wyciągnął zza pasa dość znaczny kawałek pergaminu, opatrzone pieczęcią ze zdobnym napisem „*Episcopus Dioecesanus Regni Cracoviae*”. Rozwinął pismo. – Otrzymałem list od biskupa krakowskiego Jana Muskata, panowie – ciągnął dalej z wyraźnym zadowoleniem. – Opisuje w nim, jakich bestialstw, bluźnierstw i bezwstydu dopuszczają się poganie w Królestwie Polan i prosi o interwencję w obronie naszej świętej wiary. I co najważniejsze, panowie, ten poruszający list wysłał do wszystkich bardziej znaczących biskupów, papieża, króla Polan Wacława, książąt i samej Jego

Cesarskiej Mości Cesarza Albrechta. Czytaj na głos, von Sturmberg. – Biskup podał pismo jenerałowi.

Von Sturmberg sięgnął po dokument z nie do końca dobrze ukrywaną niechęcią i zaczął czytać.

Do Jego Świątobliwej Magnificencji Biskupa Akwizgranu i Nadrenii

Magnusie, Bracie mój w Chrystusie, Panu naszym,

piszę do Ciebie, by Twojej Świątobliwej uwadze powierzyć zmartwienie wielkie, które duszę mą trapi. Wiarę naszą bowiem, którą na ziemi nad Wartą, Wisłą i południową Odrą zanieśliśmy, teraz siły zła z każdej strony atakują. Stolica moja Cracovia jest jakby wyspą Jezusowego światła, zewsząd otoczona plugawym pogaństwem, którego mimo naszych wcześniejszych zwycięstw nie udało się wyplenić. To pogaństwo diabelską mocą lud prosty omamić potrafi, który znów masowo uczestniczy w brudnych obrzędach obrażających naszego Boga.

Gdzie się tylko ze stolicy naszej Cracovii ruszyć, to strach krzyż na piersiach mieć nałożony, bo nieraz chrześcijanie mordowani w naszej okolicy byli. Nasze próby wyłapania kapłanów i, co gorsza, nawet kapłanek brudnej pogańskiej wiary efektu żadnego nie dały, tylko diabelski odwet na nas sprowadzały. Płonęły nasze ołtarze, kościoły i kaplice. Sam diabeł i demony nierzadko przez naszych dobrych braci w pogańskich miejscach kultu widziane były.

Nie sposób też opisać mojego bólu po stracie wielu naszych świątobliwych braci w wierze, którzy życie oddali, broniąc wiary w Chrystusa na tych ziemiach. Mordowani oni byli na sposoby tak okrutne, że tylko sam diabeł mógł wymyślić coś takiego. Byli topieni w gorącej

smole, rozszarpywani przez zwierzęta, nabijani na pale, rozpruwani od ust po przyrodzenie etc.

List ten napisałem i wysłać zamierzam do wszystkich znacznych i dostojnych władców z miłościwie nam panującą Jego Cesarską Mością Albrechtem Drugim na czele oraz wielkimi książętami Cesarstwa w nadziei, że serca ich moje wezwanie poruszy i do świętości dążyć postanowią poprzez walkę w obronie wiary w Chrystusa.

I do Was, Bracia Biskupi, wołanie me wysłałem, byście przez wzgląd na najwyższą świętą męczeńską ofiarę naszych wiernych nie ustawali w wysiłkach i wielką krucjatę, głoszącą ostateczne zwycięstwo Pana naszego, na wschodnich ziemiach utworzyli. Bezcenny też dar wysłałem Wam, by biskupstwa Wasze ubogacić. Fragmenty z ciała brata naszego diakona Bolesława z Bochni, który przywiązany do pala męczeńską śmierć od strzał łuczniczych pogan poniósł, nie chcąc wyrzec się jedynej wiary. Taką samą śmiercią i święty Sebastian zginął, co bracia dokładnie pamiętacie, więc wierzę, że i nasz brat Bolesław świętym wkrótce uznany zostanie.

Niechaj krwawa ofiara męczenników umysły nas wszystkich do obrony Chrystusa pobudzi.

Pozostańcie w pokoju naszego Pana.

Amen

P.S. Miłościwy i Świętobliwy Magnusie,

na przychylność Twoją liczę szczególnie. Do uszu naszych w Cracovii docierają wieści o tym, że wybrańcem Boga do ukazywania jego mocy zostałeś. Pomóż mi znaczeniem swoim do realnych działań wobec

plugawych pogan doprowadzić, a poparcie moje i innych biskupów Regni Poloniae w przyszłych swoich przedsięwzięciach otrzymasz.

Biskup Cracovae,

Jan Muskata

Jenerał skończył czytać. Odłożył list na stół i przesunął go w kierunku biskupa.

– Co myślisz, von Sturmberg? – zapytał wprost hierarcha.

Widać było, że jenerał walczy przez moment ze sobą.

– Powiem szczerze w krótkich żołnierskich słowach, Ekscelencjo. Nie chce mi się wierzyć w te rewelacje. Znam Słowian, Ekscelencjo, oni są jak niedźwiedzie. Zazwyczaj bardzo spokojni i zajęci codziennością, zdobywaniem pożywienia, cyklem życia, zwyczajami. Ustępują innym z drogi. Dopiero sprowokowani atakują, gdy ktoś spróbuje naruszyć ich mir lub mir ich potomstwa. Wówczas zmieniają się w bestie i nie mają litości. Ten lud nie morduje niesprowokowany, nie zdradza, nie knuje. Ale biada temu, kto wyrządzi im znaczną krzywdę i stanie się ich wrogiem. Myślę, że to wymysły lub intryga biskupa krakowskiego, Ekscelencjo. Ja mieszkałem wśród nich – ciągnął dalej jenerał – ale też walczyłem przeciw nim. W ten sposób można najlepiej poznać ludzi. Doświadczyłem od tych pogan wiele serca, więcej niż od niejednego chrześcijanina. Ale też walcząc z nimi, kilka razy ledwo uszedłem z życiem. – Von Sturmberg zamyślił się. Przed oczami stanęły mu sceny, których wolałby nie pamiętać. Miał wówczas wrażenie, że jego oddział walczy z całym lasem. Nie tylko z rozwścieczonymi ludźmi z toporami i drewnianymi tarczami. Dotąd nie rozumiał, jak udało mu się ująć z życiem.

– A kogo obchodzi prawda, von Sturmberg? – Von Rappard roześmiał się. – Nawet jeżeli biskup Muskata podkoloryzował prawdę... to my, jenerale, zadbamy... by te kolory nie blakły!

Rozdział 8

BEZ TYTUŁU

– Przyszedłeś sam, kleryku Magnusie?

– Tak, Rebecca.

– Masz, co trzeba?

– Wszystko, pani.

– Pamiętasz to, co trzeba pamiętać, paniczku von Rappard?

– Wszystko pamiętam, wiedźmo.

– Wejdź zatem, on na ciebie czeka.

– Czy da mi słowo, które ożywiło kruka?

– Da ci słowo, które ożywiło kruka, Magnusie, jeżeli mu zapłacisz.

– Jeżeli zapłacę, czy zostanę najbardziej niepokonanym panem świata?

– Tak, Magnusie, jeżeli zapłacisz, do dnia swojej śmierci będziesz najbardziej niepokonanym panem świata.

– Trzymam cię za słowo, wiedźmo.

Von Rappard obudził się z krzykiem, spocony i w kałuży swojego moczu.

– Won! – krzyknął do strażników, którzy spodziewali się już takiego obrotu sprawy i w mgnieniu oka zniknęli za drzwiami.

Biskup powoli łapał oddech i dochodził do siebie. Wiedział, że te wspomnienia to jego sprawka. Komnata była pusta, a jednak on tu był. Zawsze był. Chował się

w zakamarkach cienia. Gdyby żyła Rebecca, mógłby poprosić ją o radę. Ale już nie żyła. Wydał ją Kościołowi. Dla pieniędzy i awansu.

Rozdział 9

WSPOMNIENIA JENERAŁA ALBRECHTA VON STURMBERGA

Fragment pamiętnika

Dzień 12 września roku Pańskiego 1253

Tego dnia trąbka alarmu postawiła na nogi cały oddział tuż przed świtem. Z okolicznego zagajnika na nasz obóz znów spadł grad kamieni oraz kilka pojedynczych strzał łuczniczych. W obozie się zakotłowało. Ludzie byli bardzo nerwowi. Niemal każdej nocy wróg kąsał z zaskoczenia. Jak się później dowiedziałem, atak ten nie spowodował istotnych strat. Jedyne dwóch piechurów odniosło niewielkie rany. Zdecydowanie korzystniej byłoby go zignorować, jednakże jenerał Ulryk von Nassau, najpewniej wyczerpany ciągłym nękaniami ze strony wroga, niestety zdecydował inaczej.

Trąbka umilkła.

– Atak od wschodu! – rozległ się wówczas głos żołnierza pełniącego służbę na prowizorycznej wieży obserwacyjnej. – To jacyś cywile, jenerale, na oko trzydziestu chłopów – uzupełnił po chwili strażnik spokojnym głosem.

– Ja im pokażę, tym psim pogańskim synom! – Rozsierdzony von Nassau już dosiadał konia. – Konni za mną. Oczyścić las z tego ścierwa!

Rozkaz ten dotyczył także mnie. Jako wysoko urodzony, mimo że byłem rycerskim żółtodziobem, swoją wojskową służbę rozpocząłem od razu w regimencie konnym w randze kapitana. Nie miałem jeszcze żadnych ludzi pod sobą, asystowałem jedynie generałowi, ale stopień miałem już przyzwoity. Gdy więc padła komenda, porwałem miecz i pogałem do swojego konia, który stał nieopodal uwiązany razem z innymi. W półmroku bez problemu odnalazłem mojego Hektora. Był bardzo zalękniony, ale nie było ani chwili na uspokojenie zwierzęcia. Ruszyliśmy szybkim kłusem pomiędzy namiotami i piechurami, w kierunku prowizorycznej bramy w obozowym ogrodzeniu.

– Ruszać się! – ponaglał generał. – Myślicie, że te tchórzliwe pogańskie psy na was zaczekają?! – krzyczał zde gustowany, obserwując ślimacze tempo formowania się regimentu. – Szeroką tyralierą jedziemy! Przeczeszemy ten młodnik, chłopcy! – padł kolejny rozkaz, gdy tylko cały oddział znalazł się za bramą.

Ruszyliśmy kłusem, jeździec obok jeźdźca. Ponad dwie setki doborowych rycerzy oraz ja, nowicjusz. Konie przeciskały się pomiędzy młodymi sosnami. Bogate w igły gęste gałęzie drapały końskie boki i nogi jeźdźców.

Hektor szedł karnie, choć widziałem, że jest niespokojny. Znałem mojego wierzchowca. Jak większość koni niż taki gąszcz wolał otwartą przestrzeń. Zgodnie z rozkazem utrzymywaliśmy niedużą odległość pomiędzy nami, żeby nie ominąć przyczajonego wroga. Szybko przeszliśmy przez zagajnik, nie odnajdując jednak żadnego z napastników. Pomyślałem wówczas, że musieli bardzo żwawo uciekać przez ten całkiem spory teren.

Kiedy cała tyraliera wyszła już z zagajnika na słabo zaznaczoną ścieżkę, nawet niewprawne oko mogło zauważyć świeże ślady pozostawione na ścieżce przez piechurów. Generał przywołał do siebie mojego przyjaciela podoficera Otto Schmidta, pełniącego w oddziale funkcję pierwszego tropiciela, i po zamienieniu z nim kilku słów nakazał kontynuować pościg.

– Chłopcy, ruszamy żwawo! – padł wówczas rozkaz. – Ci bandyci są bardzo blisko.

Oddział ruszył cwałem w kierunku południowym. Jechałem obok jenerała. Starłem się utrzymać odpowiednie tempo tak, by go nie wyprzedzić, a jednocześnie nie zostać w tyle. Otto Schmidt, jadący po drugiej stronie dowódcy, uważnie wpatrywał się w teren przed nami, szukając jakichś śladów zastawionej zasadzki. Von Nassau najwyraźniej o tym nie myślał. Twarz miał zaciętą. Chciał dopaść napastników jak najszybciej i nie zamierzał brać jeńców.

Ślady były absolutnie świeże, jakby pozostawione dokładnie przed chwilą, ale czas mijał, a uciekinierów nadal nie było widać. Napastnicy musieli być naprawdę wytrawnymi biegaczami. Przejechaliśmy przynajmniej kilkanaście staj i nie zobaczyliśmy przeciwnika. Zaczęłam mieć wątpliwości, czy ten pościg ma sens. Naszemu tropicielowi najpewniej ta sytuacja również się nie podobała. Otto Schmidt raz po raz wykrzykiwał coś do jenerała. Słów nie słyszałem, gdyż zagłuszał je odgłos cwałujących wierzchowców. Wtedy von Nassau podniósł rękę i zatrzymał gwałtownie konia.

– Stać! – ryknął głośno. – Cisza!

– Jenerale, coś jest nie tak. Powinniśmy już dawno ich dopaść. Wracajmy – zasugerował mój przyjaciel Otto.

– Stul dziób, Schmidt! – Oczy dowódcy ciskały gromy. – Oddział, stać! I cisza, do cholery!

Konie zatrzymały się. Sapały dość głośno, ale pomimo to wszyscy wyraźnie usłyszeli odgłosy biegnącej gdzieś przed nami grupy. Słyszeliśmy sapanie, obijanie broni o tarcze, ich ciężkie kroki i pojedyncze nieznanym słowem. Dźwięki sugerowały, że uciekający są za najbliższym zakrętem ścieżki.

– Ruszamy, kurwa mać, i nie bierzemy jeńców, chłopcy! – wykrzyknął z zapalem von Nassau i popędził galopem.

Oddział ponownie ruszył żwawo po śladach, natchniony nową nadzieją na szybkie zakończenie wypadu. Spiąłem ostro Hektora i po kilku chwilach byłem znów obok mojego dowódcy. Napastników nie zobaczyliśmy jednak ani za pierwszym zakrętem, ani za kilkoma kolejnymi. Hektor był już mokry od potu.

Galop dał mu się mocno we znaki. Obejrzałem się i zobaczyłem, że oddział był bardzo rozciągnięty na długości niemal całej staj. Inne konie też już mocno odczuwały trudy pościgu. Otto jadący teraz za jenerałem miał bardzo zaniepokojony wyraz twarzy.

Von Nassau jednak nie rezygnował. Z kamienną twarzą wciąż poganiał swojego wierzchowca, który, skrajnie zmęczony, nie był już w stanie utrzymać galopu i przeszedł w cwał. Momentami wydawało mi się, że pomiędzy drzewami przed nami widzę biegnących pogan, ale po chwili obrazy te zniknęły.

Mijały kolejne minuty, a my pokonywaliśmy kolejne zakręty. Wciąż nie zdołaliśmy dopaść uciekinierów. Hektor już niemal charczał ze zmęczenia. Nie był w stanie biec po równej linii. Zataczał się. Zacząłem modlić się, by jenerał wstrzymał pościg. Bałem się, że stracę mojego ukochanego wierzchowca. Wtedy, po minięciu kolejnego zakrętu, naszym oczom ukazała się rozległa niezalesiona dolina. Na środku w jej najniższym punkcie, około jednej staj przed nami, stało kilka zaniedbanych chałup. Wyglądały na niezamieszkałe. Nad zabudowaniami górowało słońce. Ślad uciekinierów ciągnął się długą linią prosto do opuszczonych domostw.

– Niemożliwe! – wyrwało mi się wtedy.

– Co jest niemożliwe, von Sturmberg? – usłyszałem wściekły głos jenerała.

– Byli przecież tuż przed nami. Gnaliśmy na złamanie karku, a oni jeszcze zrobili całą staję przewagi, poruszając się pieszo, jenerale – wyjaśniłem. – To przecież niemożliwe.

– Nie mędrkuj, von Sturmberg! – zgasił mnie dowódca. Był wściekły. Zachowywał się, jakby nie był sobą.

Oddział gromadził się powoli na skraju doliny. Wierzchowce były na granicy wytrzymałości. Wszystkie wymagały wodopoju.

– Jenerale. – Do dowódcy podjechał jeden z podoficerów. – Po drodze została prawie trzecia część oddziału. Mijałem ich. Było ich na pewno ponad pięćdziesięciu. Konie padły. Dajmy naszym odpocząć, bo już ciągną ostatkiem sił.

– Jak to padły, sierżancie? – Von Nassau był najwyraźniej zdziwiony.

– Jenerale, przecież gnamy je od świtu! A widzi pan, jest południe. – Sierżant z trudem ukrywał irytację. – Mamy tu tylko nieco ponad połowę regimentu.

Spojrzeliliśmy na słońce. Wyraźnie górowało nad zabudowaniami.

– Niemożliwe! – wyrwał mi się ponownie nieostrożny komentarz, a dowódca spiorunował mnie wściekłym wzrokiem.

– Coś jest nie tak, jenerale! – poparł mnie wówczas Otto. – Nie wydawało się, że jedziemy tak długo, ale najwyraźniej gnaliśmy konie od świtu do południa. – W jego głosie słychać było niepokój.

– Zobaczcie! Oni tam są! Te psy tam są! – Jenerał zignorował jego słowa, jakby ich zupełnie nie słyszał. – Ślady prowadzą do tej osady i z niej już nie wychodzą. – Von Nassau chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu wówczas okrzyk jednego z żołnierzy.

– Piechur na tyłach! Jeden!

Spomiędzy drzew wybiegł, a raczej wyszedł, słaniając się na nogach, jeden z naszych żołnierzy. Mijał jeźdźców, opierając się o ich konie. Był skrajnie zmęczony. Dotarł w końcu do jenerała, uwiesił się na jego siodle i próbował złapać oddech. Von Nassau patrzył na niego jakby zdeglustowany.

– Jenerale! – wydusił wreszcie piechur, a na jego twarzy zagościło przerażenie. – Stwory!

– Zobaczcie! Oni tam są! Te psy chowają się w tych chałupach! – Jenerał zignorował jego słowa, jakby ich zupełnie nie słyszał. – Są tam, w tych psich budach! – Wciąż wpatrywał się w osadę przed nami.

– Jakie znowu stwory, żołnierzu? – odważyłem się wówczas zapytać.

– Z piekła rodem. Atakowały naszych. Atakowały naszych i dobijały konie – wydusił piechur.

Chciałem wówczas jeszcze dopytać tego żołnierza, o co mu właściwie chodzi, ale nie zdążyłem.

– Regiment za mną! – wykrzyknął generał i po chwili zostawiliśmy przerażonego piechura z tyłu.

Zjeżdżaliśmy spokojnym kłusem w dół doliny i obserwowaliśmy zabudowania. Wyglądały na puste, niemal wymarłe. Uniosłem wyżej tarczę. Tak na wszelki wypadek. Przecież nikt z nas nie zdążył o świcie przywdziać zbroi. Nasz regiment był zatem w tamtej chwili lekką jazdą.

Zabudowania tkwiły w płytkiej wodzie. Nie widzieliśmy jej wcześniej z góry. Konie weszły w wodę pomiędzy chaty i zaczęły łapczywie pić. Dno sadzawki, na szczęście, wydawało się twarde.

– Przeszukać te lepianki! Te sucze syny gdzieś tutaj są! – krzyknął generał.

Kilkunastu jeźdźców zeskoczyło z koni i ostrożnie weszło do zabudowań. To były stare rudery, pokryte rozsypującą się trzcina. Ściany ulepiono z gliny wymieszanej z jakimiś gałęziami. Chaty były zupełnie puste. Żołnierze nikogo w nich nie znaleźli.

– Szukać! Znaleźć ich! – krzyczał wściekły generał. – Znaleźć te ścierwa.

Zsiadłem z konia. Zimna jak z potoku woda sięgała mi do połowy łydki. Musiałem przytrzymać mocno za uzdę mojego Hektora, bo chciał mi się wyrwać. Mimo zmęczenia był bardzo niespokojny. Coś wyczuwał. Nie chciał nawet pić wody. Prowadziłem go pomiędzy zabudowaniami, rozglądając się uważnie na boki. Nie było tutaj żywego ducha, mimo że ślady prowadziły prosto do tej sadzawki i żadne ślady z niej nie wychodziły.

– Cywil od zachodu! – zakrzyknął któryś z żołnierzy. – Dziewka jakaś.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Na skraju lasu stała młoda, drobna kobieta w białej, lnianej prostej sukience. Zauważyłem, że była boso. Nie wykazywała żadnego strachu. Wydawało mi się, że patrzy na nas z dumą i nienawiścią, być może dlatego, że obserwowaliśmy nas z góry.

– Śliczna sikorka. Zobaczcie, jaka przyjazna. Nie boi się nas – zawołał któryś z żołnierzy. – Zabierzemy ją ze sobą, jenerale?

– Mam nadzieję, że to nie jest ta pogańska demonica – wyszeptał stojący obok mnie Otto. – Jeżeli to ona, to marny nasz los.

– Jaka znów demonica, Otto? Co ty gadasz? – zapytałem, ale nie odpowiedział. Tylko patrzył w kierunku dziewczyny.

Hektor drżał. Dziewczyna kucnęła i dotknęła dłońmi ziemi. I wtedy wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie. Las zadrżał od krzyku setek gardeł, a spomiędzy drzew do doliny weszło kilka setek pogan, uzbrojonych w topory, drewniane dzidy lub pałki. Wyglądali dziko, byli zarośnięci, odziani w skóry. Otoczyli nas ze wszystkich stron. Po chwili zaczęli się zbliżać, zacieśniając krąg.

Jenerał zaśmiał się głośno.

– Nareszcie mamy z kim walczyć, chłopcy! – zawołał. – Oni myślą, że zatrzymają konnicę. Zbieranina jedna. Formuj szereg! Czołem na północ! Jazda!

Woda zachlupotała pod kopytami koni. Spiąłem ostro piętami mojego Hektora, jednak mój wierzchowiec zamiast ruszyć z miejsca, szarpnął się dziwnie, a następnie wydał z siebie kwik przerażenia. Zaczął drżeć coraz mocniej, nie mogąc się poruszyć.

– Co, do diabła, Hektor? – Spojrzałem w dół i zamarłem. Z wody wystawały grube roślinne pędy, które spętały nogi mojego wierzchowca. Były ohydne, wiły się i dramatycznie śmierdziały bagnem. Co więcej, wysuwały się wciąż nowe i pełzły obrzydliwie w górę, powyżej końskich kolan. Pozostali jeźdźcy najwyraźniej mieli ten sam problem, gdyż końskie kwiki słychać było wszędzie. Regiment nawet nie zaczął ustawiać się w szereg, a dziki wrzask pogan dobiegał już z bliższej odległości.

– Dawaj, Hektor! – krzyknąłem przerażony i spiąłem konia jeszcze mocniej.

Koń szarpał łbem w górę, raz po raz próbując uwolnić przednie kończyny. Jego narowy przynosiły chyba jakiś efekt, bo po chwili wydawało mi się, że ma coraz większy zakres ruchu. Przy którejś kolejnej próbie wyrwał nagle kopyta z roślinnych pęt. Zrobił to jednak tak gwałtownie, że stanął na tylnych nogach, wyrzucając mnie wysoko z siodła. Zatoczyłem długi łuk w powietrzu i runąłem

w zimną wodę. Zanurzyłem się w niej cały. Gdybym wylądował na twardej ziemi, na pewno bym się szybko z niej nie podniósł, ale tafla wody zamortyzowała uderzenie. Zerwałem się szybko na równe nogi w obawie, by te obrzydliwe pędy nie uwięziły mnie pod wodą. Wyrwałem miecz. Bałem się, że bagienne rośliny wystrzelą w moim kierunku.

Pomiędzy zabudowaniami panował chaos. Hektor wciąż nie mógł uwolnić tylnych nóg. Bez przerwy panicznie wierzgał. Obok niego kilka innych wierzchowców również walczyło z tymi roślinami z podobnym skutkiem. Niektóre miały już pędy zaciśnięte na szyi i wyglądało na to, że są skazane na porażkę. Żołnierze biegali zagubieni wokół swoich zwierząt. Niektórzy próbowali rozcinać im roślinne pęta. Inni, ściskając miecze, z przerażeniem wpatrywali się w wodę, szukając w niej przeciwnika. Tymczasem tłum napastników był już naprawdę blisko.

– Dobry Boże, dopomóż mi... – zacząłem się wówczas modlić, ale to, co wydarzyło się chwilę później, nie pozwoliło mi dokończyć modlitwy.

– Śmieeeeeerć! Śmieeeeeerć! Śmieeeeeerć! – w samym środku osady rozległ się mrozący krew w żyłach okrzyk bojowy pogan. Z gliniastych ruder, które chwilę wcześniej były przeszukane, wybiegli uzbrojeni w topory poganie. Dotąd nie rozumiem, skąd oni się tam wzięli. Jak to możliwe, że wcześniej ich nie znaleźliśmy?

Widziałem, jak kilku naszych padło od zaskakujących, potężnych ciosów toporem. Zapanował totalny chaos. Wróg był wszędzie. Nie było już szans na ustawienie jakiegokolwiek formacji. Napastnicy nadbiegali z każdej strony. Walka była przegrana. Ustawiliśmy się z Otto Schmidtem plecami do siebie i czekaliśmy na przeciwnika. Wokół trwała jatka. Miecze krzyżowały się z toporami. Krew zabarwiała wodę. Obok nas generał uwolnił z pędów roślinnych swojego wierzchowca i właśnie go dosiadał. Nie zdążył jednak ruszyć. Błada jak trup naga kobieta z nadludzką szybkością wyskoczyła z wody i w mgnieniu oka ukręciła dowódcy głowę. Opadł martwy do wody. Tak zginął mój przełożony, generał von Nassau.

Patrzyłem na tę scenę i myślałem, że śnię.

– Topielica! Boże, ratuj nas! Ratuj! Boże, ratuj... – darł się bez przerwy Otto, drżąc na całym ciele.

– Kto to jest topielica? Otto, spokój! – zawołałem przerażony.

I wtedy spojrzała prosto na mnie. Spojrzała swoimi trupimi oczami. Od samego jej spojrzenia poczułem zapach bagna. Wyglądała jak rozkładający się trup. I to taki, który przeleżał kilka tygodni w wodzie. Skórę miała białą jak kreda, a członki i twarz napuchnięte. Pomimo tego, iż na jej ciele znajdowały się liczne pijawki, nie wyglądała, jakby zachowała w sobie choć jedną kroplę krwi. Uniosłem miecz i napiłem zmysły do granic możliwości. Wiedziałem, że jest potwornie szybka. Topielica wrzasnęła coś do mnie w języku, którego nie rozumiałem, obdarzyła mnie strasznym, bezzębnym uśmiechem i... nagle znikła. W tym momencie poczułem bryzgi wody na twarzy i usłyszałem, że Otto nagle przestał krzyczeć.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak ta upiorna kobieta topi mojego przyjaciela. Zrozumiałem, że tak szybko rzuciła się na mojego towarzysza, iż moje oczy nie były w stanie tego zarejestrować. Gdy to sobie uświadomiłem, byłem przerażony jak nigdy wcześniej. Z tą bestią nikt nie miał szans. Chciałem uciekać, ale z drugiej strony Otto jeszcze walczył z jej morderczym uściskiem pod wodą, czyli jeszcze żył i przynajmniej teoretycznie miałem szansę go uratować.

– Zostaw go, potworze! – wrzasnąłem, chyba tylko dla dodania sobie odwagi, i ruszyłem w jej kierunku.

Zdążyłem zrobić tylko jeden krok, gdy napotkałem jej martwy wzrok i w tym samym momencie poczułem potężny cios w klatkę piersiową. Uderzyła mnie stopą. Czuję, jak pękło mi kilka żeber. Znów znalazłem się w wodzie. Ból i zimna woda nie pozwoliły mi jednak stracić przytomności. Krztusiłem się. Obok siebie ujrzałem Hektora, zaduszonego przez upiorne pędy roślinne. Był niemal cały nimi owinięty. Jego przekrwione, wybałuszone oczy patrzyły na mnie. Tak odszedł mój serdeczny druh. Mój wierzchowiec.

Wokoło potworni, odziani w skóry barbarzyńcy dobijali już ostatnich moich towarzyszy.

– Śmieeeeeerć! – usłyszałem za sobą krzyk i odwróciłem się błyskawicznie, nastawiając miecz.

Ten odruch uratował mi życie. Brodaty napastnik z impetem nabił się na moje ostrze, a jego topór jedynie otarł się o moją głowę. Znowu leżałem w wodzie. Leżałem przygnieciony ciężkim, śmierdzącym potem, drgającym jeszcze i krwawiącym obficie ciałem brodacza. Krwawiłem z rany na głowie. Czułem się, jakbym nie miał już ucha. Obciążone ciężarem, połamane żebra bolały nie do wytrzymania.

W tamtej chwili chciałem jak najszybciej umrzeć. Nie miałem jednak zamiaru utopić się w tej zakrwawionej, bagiennej wodzie. Walczyłem o powietrze. Ten rodzaj śmierci najwyraźniej mi wówczas nie odpowiadał. Zacząłem niezgrabnie rzucać z siebie ciało poganina. Po chwili z chłupotem opadło w wodę obok mnie. Kilka metrów dalej, twarzą w dół, pływało ciało Ottona, świetnego tropiciela. Tak zginął mój przyjaciel, Otto Schmidt.

Walka nie miała już wtedy sensu. Nie utrzymałbym miecza, nawet gdybym dał radę wyciągnąć go z ciała brodacza. Wokół mnie nie widziałem już żadnego żywego towarzysza. Poganie dobijali rannych toporami. Poddanie się też nie miało zatem sensu. Dziki przeciwnik nie brał jeńców. Kilka łokci ode mnie czerniało wejście do rozsypującej się lepianki. To było jedyne miejsce, gdzie można było się schować. Podczołgałem się tam, brodząc w wodzie. Dałem radę. Pomyślałem wówczas, że skoro uciekinierom udało się tu zniknąć, to może i mnie się uda. Podpłynąłem w najciemniejszą część pomieszczenia. Woda tu była płytsza. Oparłem głowę na własnym ramieniu i straciłem przytomność.

Rozdział 10

ŁYSA GÓRA

Radosław z Niecieczy obozował samotnie. Zatrzymał się w miejscu, gdzie niezbyt wartka o tej porze roku Cedzyna tworzy niewielki zalew. Do celu swojej podróży miał już bardzo blisko. Zapewne dotarłby tam i wczoraj, gdyby spinał bardziej konia i wydłużył nieco podróż, ale wiedział, że przez Łyse Góry nocą lepiej nie podróżować. Zwłaszcza jeśli się jest mężczyzną. Był pewien, iż mieszkanki Łysej Góry od dawna wiedzą, że się zbliża. Zapewne znów będą próbowały go wybadać.

Był tutaj tylko raz, ponad pół wieku temu. Uważał, że gdyby nie rady Swaroga, sławionego przez niego boga ognia, nie dotarłby na szczyt góry. Bóg poradził mu wówczas kilkudniowy pobyt w miejscu uciech cielesnych w okolicznych Kielcach. Specjalnie nie miał na to ochoty, ale gdyby wówczas nie skorzystał z tej rady, to najpewniej padłby ofiarą czarownych, uwodzicielskich, lecz śmiertelnie niebezpiecznych dla swoich kochanków Rusalek. I nigdy nie dotarłby do celu. Do żadnego już celu w swoim życiu najpewniej by nie dotarł.

Swarog zalecał mu wówczas, aby nie zabierał żadnej tarczy ani pancerza. Miał wziąć jedynie bukłak z zimną wodą ze strumienia i lekki miecz, mimo że groziły mu starcia ze strzygami uzbrojonymi w ptasie pazury i dwa szeregi zębów, zmorami, które w ciemnościach wysysały krew, oraz topielicami, które najchętniej utopiłyby wędrowca w najmniejszej nawet kałuży. Z tymi demoniami poradził sobie jakoś

nagim mieczem, ale gdyby wówczas miał ciężką zbroję i nie miał wody do schłodzenia, to padłby łupem południcy, która pojawiła się zaraz po walce z tymi poprzednimi. Ta doprowadziłaby go do szaleństwa swoim żarem i byłoby już po nim. Aż wzdrygnął się na tę myśl.

Może tym razem na jego drodze staną inne demonice? Nigdy nie miał jeszcze do czynienia z kuzynkami rusałek – łaskotuchami, które szybko dopadały wędrowców i łaskotaniem doprowadzały ich do utraty zmysłów. Radosławowi wydawało się, że z nimi łatwiej by sobie poradził niż z rusałkami, ale może mu się tylko tak wydawało.

Mógł spotkać również wiły, kuzynki południc, które doprowadzały ludzi do obłędu z żalu lub pożądania. Z dwójga złego Radosław wolał już tę drugą możliwość.

Nastawał świt. Gwiazda Północowa całkiem już wyblakła w świetle poranka. Dadźbóg, zwany również Swarozycem, syn Swaroga, wyciągał właśnie tarczę słoneczną na niebo na wschodzie. Radosław pomodlił się chwilę swoim zwyczajem do Swarogowego syna, podziękował mu za kolejny świt i zaczął zbierać się do drogi.

Po kilku stajach przejeżdżał obok ostatniej osady nad Cedzyną, położoną już u podnóża gór. Nie znał nazwy tej małej osady. Ludzie patrzyli na samotnego jeźdźca z zaciekawieniem, a potem zdziwieniem, widząc, że przybysz obrał kierunek na Łysą Górę, zwaną również Łysicą.

Radosław przywiązał swojego konia do drzewa i dał mu długi zapas liny, by ten mógł paść się spokojnie i bronić w razie starcia z drapieżnikami. Nie spodziewał się ich za dnia i tak blisko osady, ale nie był pewien, co stanie się w nocy, gdyby przyszło mu dłużej pozostać na szczycie.

– Panie, co robisz, na litość dobrego boga Roda?! Na pewno nie taki los bóg ten dobry tobie przypisał, jak zginąć na tej górze demonów. Czy życie ci niemiłe, panie?! Nie idź tam! Do Wyraju ci śpieszno?! – Radosław usłyszał za sobą naprawdę długi słowotok.

Rycerz obejrzał się. Stał przed nim mężczyzna mający na karku jakieś trzydzieści wiosen. Odziany był w prostą chłopską lnianą suknię. Włosy na głowie miał niemiłosiernie potargane. Twarz mężczyzny była osmagana słońcem i wiatrem, gęsto zarosnięta, ale znad zarostu spoglądały na Radosława bystre oczy.

– Dzięki za troskę, dobry człowieku – odrzekł Radosław i uśmiechnął się do niego. – Muszę tam iść. Taki mój los. Niech Twój los Rodzanice lepiej uprzedzą, przyjacielu, niż mój. Jakbym nie wrócił przed nocą, to przechowajcie mojego konia.

– Tam Łysa Góra, tam demony, panie! Nie idź tam! – Chłop próbował jeszcze raz powstrzymać Radosława. – Ja wołchwem tu jestem w tej osadzie, guślarzem znaczy, we śnie cię zobaczyłem, więc od świtu tu stoję, by cię zatrzymać. Kosma mnie wołają.

– Wołchwem jesteś, dobry człowieku? – Radosław zastanowił się chwilę. – To wiedz, że Swarog mnie prowadzi. Modły wznieś dla mnie, proszę. I ofiarę złóż – rzekł, wyjął sakiewkę i wręczył wieśniakowi srebrnego denara.

– Dobrze, panie, sługo Swaroga, boga ognia. – Kosma z zadowoleniem spoglądał na monetę w swojej dłoni. – Baranka ubiję na ofiarę. A o konia się nie martw. Zaopiekuję się nim, jakbyś nie wrócił. – Uśmiechnął się przymilnie.

Radosław odwrócił się i ruszył dalej piechotą. Przed sobą widział czekającą na niego spokojnie górę.

– Mój ojciec, co też tu u nas wołchwem był – zawołał jeszcze za Radosławem Kosma – bąał mi w dzieciństwie o jednym rycerzu, co przed wieloma wiosnami też przez Swaroga był prowadzony na Łysą Górę. Rycerz ten dziewczkę młodą z góry sprowadził. Ojciec bąał, że jak ją obaczył, to później w snach przeszłość i przyszłość jasno widzieć zaczął. A od jej zejścia to kilka lat taki urodzaj był, że w mleku jałówek to nawet dzieci kąpaliśmy.

– Ja byłem tym rycerzem, guślarzu – odkrzyknął Radosław, zatrzymując się jeszcze na chwilkę.

Kosma, słysząc te słowa, aż gębę szeroko rozdziawił i oczy w słup postawił.

– Wielki Swarogu! Urodzaj znów będzie! – krzyknął i popędził jak wichur do osady.

Na ścieżce, która pięła się coraz bardziej w górę, początkowo panował spokój. Radosław wiedział, że jest to spokój pozorny. Było zupełnie bezwietrznie. Las trwał niemal w bezruchu. Co jakiś czas jednak zupełnie bez powodu drgały pojedyncze liście paproci. Radosław posuwał się ścieżką powoli. Miecz wyjął z pochwy i trzymał przed sobą w pogotowiu. Zmysły napiął do granic możliwości. Otworzył również szeroko swoje magiczne trzecie oko, przeszukując myśli okolicy. Jeszcze przez kilkadziesiąt kroków czuł radosne podniecenie wielu umysłów w osadzie nad Cedzyną, a potem, gdy już się oddalił, jego zmysły załapała cisza.

Posuwał się krok za krokiem. Na granicy jego percepcji pojawiły się szepty. Nie potrafił ich jeszcze dokładnie wyłowić. Miecz uniósł wyżej i robił kolejne kroki, obracając się wokół siebie. Poprzednim razem, wiele lat temu, najpierw zaatakowała go strzyga. Była przerażająco szybka. Teraz na to wspomnienie pot spływał mu po plecach. Szedł jednak dalej. Nie zatrzymywał się.

– *Patrzcie, siostry, ktoś idzie. Mężczyzna.*

Do Radosława dotarł pierwszy zrozumiały szept. Rycerz drgnął.

– *Zobaczcie, słyszy nas, siostry, nie dość, że przystojny, to jeszcze ma dobry słuch...*

– *Ale wzrok ma gorszy, nie widzi nas wcale...*

– *Och, silny mężczyzna, mężczyzna, siostrzyczki, jestem taka podniecona...*

– *Jaki piękny chłopiec, będzie mój...*

– *Nie twój, tylko mój, ciekawe jak walczy... Czy jest szybki?...*

– *Ale ma ostry miecz... Takiego ostrego jeszcze nie mam w mojej kolekcji w głębinach...*

Radosław powoli wspinał się na górę leśną ścieżką. Przez ułamki chwil zaczynał dostrzegać coś między drzewami. A to piękne, kasztanowe, długie włosy.

A to zgrabne boscie kobiece st6pki w6srd czerwonych poziomek. A to zachwycaj6co pi6kne radosne czarne oczy, zalotnie spogl6daj6ce spo6ród jarz6biny. Obrazy te pojawiały si6 i momentalnie znikaly, gdy chcial si6 dokladniej przyjrze6.

– Patrz w ziemi6! – Radoslaw wydał sobie polecenie, pr6buj6c zrzuci6 z siebie uroki. – To rusałka.

Rycerz poczuł zapach kobiecych wlos6w. Jakby lezał wlasnie w po6cieli i wtul6ł w nie gl6w6. Zacz6ł te¿ odczuwa6 ciepł6, jak gdyby kt6s czule przytulał si6 do jego plec6w. Mi6dzy drzewami jego wzrok wychwycił delikatne, smukł6 łydkie, jakby zalotnie przed nim uciekaj6ce. Widział, że s6 one cudownie gl6dkie w dotyku. Aksamitna sk6ra. Mi6kko66c delikatnych mi66śni. I ta mo¿liwo66c w6dr6wki dłoni6 w g6r6. Radoslaw słydzal szept kobiecego podniecenia. Wzdychanie. Widział zn6w te czarne oczy. Zamglone. T6 delikatn6 dł66n odwi6zuj6c6 rzemyk sukni, by pokaza6 mu cudowne zagł6bienie pomi6dzy piersiami, kt6re bardzo intensywnie pachniał6 konwaliami. Był to jego ulubiony zapach. Kobiece ciał6, tul6ce si6 przed chwil6 do jego plec6w, przylgn6ło do niego mocniej. Czula teraz dokladnie jej gor6ce piersi. Czula dł66n, kt6ra delikatnie spocz6ła na jego torsie. Pi6kna kobieca twarz z czarnymi oczami i niebia6sko rozchylonymi ustami w kolorze malin była tu¿ przed nim. Zbliz6ła si6 do pocałunku.

– *Zbudz si6!!!* – wyrwał go z letargu rozkaz Swaroga.

Radoslaw otrz6snał si6 szybko i ze zdziwieniem stwierdził, że zszedł ładnych kilkana6cie krok6w ze 6cie¿ki, a przed nim stoi pi6kna kobieca posta6. Co za nieostro¿no66c! Zganił siebie w my6slach i wy¿ej podni66sł miecz.

– Mam na imi6 Rozalia, m6j panie. – Rusałka spojrz6ła spod długich rz6s swoimi pi6knymi czarnymi oczami. Rozwi6zywała przy tym coraz ni¿ej rzemyki swojej sukni. – Czy chcesz mo¿e pom6c mi si6 rozebra6, rycerzu?

Jej piersi były ju¿ niemal odkryte. Były stworzone dla niego. Pełne. Idealne. Napi6te po¿6daniem.

– Precz! – Radoslaw zwalczył czar i zrobił szybki krok w tył, przygotowuj6c miecz do u¿ycia. Nie pchn6ł jednak. Nie potrafił si6 na to zdoby6.

Sądził, że wykonując taki gwałtowny ruch, spowoduje, że demonica w mgnieniu oka rozplynie się w powietrzu. Rusałka stała jednak cały czas w tym samym miejscu. Stała teraz spokojnie, z dokładnie zasznurowanym pod samą szyję dekoltem sukienki.

– *Siostrzyczki, ten mężczyzna jest wrażliwy, ten mężczyzna jest czuły, ten mężczyzna jest stanowczy, ten mężczyzna jest odważny, ten mężczyzna jest litościwy. Nie mogę go zabrać.*

Rusałka wtedy odwróciła się i zgrabnym krokiem pobiegła do lasu. Radosław, odprowadzając ją wzrokiem, dostrzegł lub wyczuł gwałtowny ruch w gęstwinie z zupełnie przeciwnej strony. W mgnieniu oka stał już obrócony w drugą stronę z wyciągniętym mieczem. Ta szybkość uratowała mu życie. Tuż przed ostrzem jego miecza zatrzymała się strzyga.

Była wysoka. Wyższa od rycerza o jakieś cztery łokcie. Na łysej czaszce nie było ani jednego włosa. Przekrwione oczy patrzyły czujnie. Miała szeroki spłaszczony nos, który wyglądał jak końskie chrapy. Długie ręce sięgały jej prawie do kolan i zakończone były silnymi dłońmi i pazurami podobnymi do szponów orła.

Strzyga uśmiechnęła się swoimi nienaturalnie szerokimi mięsistymi ustami, ukazując zewnętrzny garnitur ostrych trójkątnych białych zębów. Straszny to był uśmiech, gdyż w przerwach pomiędzy zębami pierwszego rzędu widać było kolejny rząd równie ostrych zębów i szeroką gardziel. Odór dobywający się w otwartej gardzieli przyprawiał o mdłości.

Strzyga stała bez ruchu, a ostrze miecza dotykało jej obwisłej piersi. *Jedno krótkie pchnięcie mieczem rozwiąże problem* – pomyślał Radosław. Ale nie dokonał tego pchnięcia, tylko zrobił krok wstecz. Szybkość strzygi była legendarna i wcale nie był pewien, czy demonica nie uchyliłaby się nawet przed takim pchnięciem z przyłożenia. A może to była litość wobec tego stworzenia?

– Mam na imię Czębira, mój luby – zaskrzeczała strzyga. – Jesteś niezwykle szybki jak na człowieka. Ale czy wystarczająco szybki?

W tym momencie nastąpił błyskawiczny ruch demonicy, która chciała ominąć trzymany miecz. Radosław wykonał szybki unik i niecałe mgnienie oka później oboje

stali w podobnej pozycji jak przed chwilą, tylko obróceniu o sto osiemdziesiąt stopni. Miecz mężczyzny znów dotykał piersi strzygi. Radosław ponownie rozważał wbicie miecza w kościstą klatkę piersiową stwora, ale znów tego nie zrobił.

– *Siostrzyczki, ten mężczyzna jest wrażliwy, ten mężczyzna jest odważny, ten mężczyzna jest litościwy. Nie mogę go zabrać.* – Wyrzekłszy te słowa, strzyga znikła. Tylko ruch i szelest gałęzi, który pojawił się w tej samej chwili, gdy znikła, świadczył o tym, że demonica nie rozplynęła się w powietrzu, tylko oddaliła się z tak wielką prędkością.

– Litościwy, Swarogu – odetchnął z ulgą Radosław – co za stwór!

– *Słyszemy cię, słyszemy, gołąbeczku...*

– *Śliczne ma te oczęta, a jakie ramiona...*

– *A spójrzcie na te mocne uda, on będzie mój, teraz ja...*

– *Litość ma, ale czy ma też mocną głowę... Mój będzie...*

Radosław drżał jeszcze cały po tych starciach i pot spływał mu ze skroni. Powoli i ostrożnie wrócił na ścieżkę i ponownie zaczął wspinać się na górę. Droga prowadziła coraz bardziej stromo. Ani na chwilę nie wypuszczał jednak z ręki miecza. Drzewa, które mijał, były coraz niższe i rzadsze, nie dawały więc cienia. Gdy już miał nadzieję, że zaraz dotrze do wypłaszczonego, nagiego, charakterystycznego szczytu Łysej Góry, nagle stanął w pełnym słońcu.

Nie było to zwykłe słońce, ale światło wypalające wszystko swym żarem, odbierające siły wszystkiemu, co żywe. Radosław uniósł dłoń do oczu, by zerknąć w stronę blasku. Bił on od drobnej kobiecej postaci, która unosiła się w powietrzu kilkadziesiąt łokci od niego. Przez oślepiającą jasność nie widział szczegółów. Dostrzegł jedynie jej rozłożone na boki drobne dłonie i promieniście rozchodzące się od głowy długie jasne włosy.

– Południco! Niech cię bies pogryzie! – zaklął Radosław, odczuwając ciężkie katusze. – Odejdź, bo będę musiał cię skrzywdzić!

Odpowiedź nie nadeszła, a rycerz czuł, jak uchodzi z jego ciała woda, a z nią wszelkie siły fizyczne oraz umysłowe. I to uchodzą bardzo szybko.

– Odejź! – jeszcze raz krzyknął Radosław, dając demonicy szansę. Czuł, że nie ma już dużo czasu. Albo zaraz całkiem osłabnie, albo postrada zmysły.

Odpowiedź ponownie nie nadeszła. Radosław dwoma szybkimi ruchami miecza ściał stojące przy nim skarłone drzewka, kucnął, nakrył się nimi i skorzystał z chwilowej ulgi ich cienia. Marzył o choć jednej kropelce wody, o czymkolwiek chłodnym i czuł, że zaraz będzie marzył już tylko o śmierci. Tracił zmysły.

Południca nie dawała za wygraną. Przemieszczała się w powietrzu w taki sposób, by jak najbardziej objąć swoim śmiertelnym żarem skrytą pod gałęziami postać mężczyzny. Radosław czuł, że demonica zbliżyła się, chcąc zapewne podpalić chroniące go drzewka. Będąc już na granicy obłądu, w rozpaczliwym odruchu ratowania swojego życia, odrzucił gałęzie i dużym kamieniem, namacany chwilę wcześniej, cisnął w sam środek gorącego blasku. Żar zgasł tak samo nagle, jak się pojawił. Kilka kroków od rycerza z głośnym jękiem opadła na ziemię drobna kobieca postać. Radosław z szaleństwem w oczach błyskawicznie dopadł do demonicy i pchnął ją ostrzem. Miecz jednak zatrzymał się tak gwałtownie, że mężczyzna zwichnął nadgarstek i obił mocno palce o jelec.

Ból uszkodzonej ręki przyspieszył powrót Radosława z krainy szaleństwa do rzeczywistości i pozwolił na zrozumienie sytuacji. Gdy tylko jego rozgrzana głowa była w stanie przyjąć informacje od narządów zmysłów, zobaczył strzygę Czębire kucającą obok jasnowłosej południcy i trzymającą ostrze jego miecza w dwóch palcach, pomiędzy swoim kciukiem a palcem wskazującym. Miecz niemal dotykał brzucha drobnej, patrzącej ze strachem dziewczynki.

A więc strzyga zdążyła się w porę pojawić i zatrzymać dwoma palcami jego ostrze tuż przed brzuchem południcy, uszkodzając tym samym jego dłoń. Strzyga patrzyła gniewnie na rycerza.

– Nie, nie, nie! – zachrypiała. – Bardzo nieładnie, rycerzyku!

Radosław spojrział teraz na południcę. Cierpiała, mocno trzymając się za klatkę piersiową. Po jej delikatnej, wyglądającej na kilkunastoletnią twarzy, otulonej

suchymi, potarganymi włosami blond, spływały łzy. Obok leżał całkiem spory kamień, którym rycerz cisnął w demonicę.

– Wybacz, pani – powiedział ze smutkiem Radosław i odsunął się kilka kroków.

Ucieczka nie miała sensu. Obok kucąca strzyga szybsza niż wzrok. Walka również nie miała sensu, gdyż Czębira trzymała jego miecz. Jego prawa dłoń nie nadawała się chwilowo do niczego, a skóra twarzy piekła jak po przypalaniu żywym ogniem. W dodatku wokół nich zaczęły pojawiać się inne postaci. Dostrzegł parę topielic, kilka kobiet wyglądających na wróżki lub czarownice, rusałkę Rozalię i dwie inne, równie śliczne rusałki oraz kolejną strzygę. Niezgrabnym krokiem zbliżała się do nich też niska, gruba, spocona, sapiąca naga kobieta z niewiarygodnie długimi zwisającymi piersiami i znacznym zarostem na twarzy. Była to Mamuna, boginka i opiekunka Łysej Góry. Rycerz już raz ją w tym miejscu spotkał.

– *Swarogu!* – Mężczyzna wysłał myśl w przestrzeń. – *Tu się chyba skończy moja droga.*

– Uszy twojego Swaroga tutaj nie sięgają, Radosławie – głośno powiedziała Mamuna, ciężko siadając na pieńku przyturlanym przez kolejną strzygę. – Ale zapewne widzi nas na tym łysym szczycie za dnia oczami Dadźboga, swojego syna.

– Przyszedłem po Bezcielesną, Mamuno, boginko Łysicy – rzekł Radosław i grzecznie się pokłonił. – Pozwól mi ją zabrać i wypełnić nasze zadanie.

– Oj, nie tak prędko, Radosławie – przerwała mu Mamuna. – Znasz dobrze zasady. Wydaje mi się, że można mieć wątpliwości, czy wypełniłeś swoje zadanie. Nasz sąd to szybko rozstrzygnie.

– Sąd? – Rycerz pomyślał, że się przesłyszał.

– Tak, Radosławie. Rozstrzygną to nasze Siostry ze Wschodu – powiedziała Mamuna zdecydowanym głosem.

Te trzy stare chochoły? Znowu? – Radosławowi nie udało się ukryć wystarczająco głęboko tej gwałtownej myśli.

– To było bardzo niegrzeczne i niemądre obrażać skład sędziowski przed własną rozprawą – prychnęła Mamuna, do której dotarły myśli rycerza. – To typowa męska

głupota i arogancja.

– Matko, to pewnie przez moje słońce – odezwał się cichy głosik leżącej jeszcze na ziemi południcy. – Mocno podgrzałam mu głowę, mateczko.

– Nie broń go, Swietlano – przerwała jej Mamuna. – Siostrzyczki ze Wschodu zdecydują.

– Mówcie, siostry, co sądzicie – rzuciła w przestrzeń Mamuna i Radosław dopiero teraz dostrzegł siedzące tuż obok na pieńkach trzy znajome postacie.

Mężczyzna uznał to za niemożliwe, że wcześniej nie widział siedzących tak blisko trzech znajomych staruszek. Zrozumiał, że podobnie jak podczas poprzedniego pobytu tutaj, pozostaje pod ciągłym wpływem jakichś uroków. Z ostatniej wizyty na tej górze naprawdę niewiele zapamiętał i przez kilkadziesiąt wiosen nie udało mu się nic więcej przypomnieć.

Siostry ze Wschodu były trojaczkami i to podobno z jednego jaja. Tak przynajmniej powszechnie się mówiło. Radosław nie do końca rozumiał, co to znaczy, ale one często to podkreślały. Miały już bardzo wiele wiosen. Mężczyzna nie wiedział dokładnie ile, ale mogły być nawet starsze od niego, a on dzięki Swarogowi mógł naliczyć ich sobie już ponad dwieście.

Dwie z trzech sióstr, Pierwaja i Wtoroja, rzeczywiście były identyczne. Trzecia – Trietia – wyglądała zupełnie inaczej. Dwie pierwsze były niemiłosiernie chude, przygarbione, pomarszczone i całkiem siwe. Miały wiecznie niezadowolony wyraz twarzy i były bezgranicznie złośliwe. Radosław już kiedyś doświadczył ich złośliwości i niezadowolenia. Jego niechęć do wszystkich sióstr brała się właśnie z niechęci do tych dwóch pierwszych.

Trietia nie była tak wychudzona jak pozostałe siostry. Można by powiedzieć, że była nawet korpulentna, choć i niskiego wzrostu. Włosy miała krótko obcięte przy czaszce, co nadawało jej twarzy dodatkowej krągłości, a głowę często przykrywała typową dla Rusi czerwoną chustą. Wyglądałaby jak całkiem przeciętna staruszka, gdyby nie nieschodzący z jej twarzy głupkowaty uśmiech, sugerujący głębokie upośledzenie umysłowe. Czy rzeczywiście jej umysł szwankował? Tego rycerz jak

dotąd nie rozstrzygnął. Radosław uważał jednak, że to właśnie z uwagi na wyraz twarzy Trietia nigdy nie jest brana na poważnie. Sam również postrzegał wszystkie siostry przez pryzmat tych złośliwych dwóch pierwszych.

Siostry siedziały na pieńkach tuż obok i wpatrywały się prosto w niego. Pierwaja i Wtoroja mrużyły oczy i szczyrzyły zęby, nie mogąc się doczekać wydania wyroku. Trietia zaś gapiała się na niego, ale co chwila opadały jej powieki i wówczas cicho pochrapywała.

– Co sądzisz, Pierwaja? – zapytała Mamuna.

Pierwaja zachichotała złośliwie i zatarła rękę.

– Nie dotarł na sam szczyt! Nie dotarł! Nie dotarł! – powiedziała, uśmiechając się szeroko z nieskrywaną radością. – Sturlać go z góry! Sturlać! Sturlać! – Wypowiedź zakończył niemal mechaniczny, długi chichot, trwający do chwili, aż zabrakło jej oddechu.

– A ty co sądzisz, Wtoroja? – Boginka Łysicy zapytała kolejną siostrę.

– Prawie ubił Swietlanę! Prawie ubił! Prawie ubił! – krzyknęła Wtoroja. – Sturlać go z góry! Sturlać! Sturlać! – Wypowiedź sędziny zakończył również długi chichot, trwający do chwili, aż zakrztusiła się własną śliną i zaczęła się dusić.

Stojąca obok strzyga klepnęła ją w chude plecy, aż zadudniło, i Wtoroja odzyskała oddech.

– A ty, Trietia, co sądzisz? – zapytała także i trzecią siostrę Mamuna.

Trietia ocknęła się z drzemki, słysząc swoje imię, i uśmiechnęła się jeszcze bardziej kretyńsko niż zwykle. Radosław był przekonany, że nic mądrego z jej ust nie usłyszą, a on sam już zaraz będzie turlał się z Łysej Góry na sam dół, aż do osady pod Cedzyną.

– A ja uważam – wysepleniała Trietia – że Swietlana chce i powinna nam coś powiedzieć!

Zapadła dłuższa chwila niezręcznej ciszy. Oczy wszystkich zwróciły się na drobną południcę. Pierwaja i Wtoroja spojrzały na siebie zdziwione.

– Swietlana chce i powinna coś powiedzieć, powinna, powinna! – zgodziły się obie po chwili.

– Swietlano, czy chcesz coś powiedzieć? – zapytała Mamuna, zdziwiona obrotem sprawy.

– Tak, pani Mamuno. Chcę – odrzekła południca i nabrała głęboko powietrza. – *Siostrzyczki, ten mężczyzna jest odważny* – popłynęła do wszystkich myśli Swietlany. – *Ten mężczyzna jest wrażliwy, jego wrażliwości nie zmienia cierpienie. Ten mężczyzna jest litościwy. By nie wyrządzić mi krzywdy, pozwolił doprowadzić się do obłędu. Nie mogłam go zabrać...*

– A więc kandydat wykonał zadanie. – Trietia uśmiechnęła się jeszcze szerzej i bardziej głupkowato niż zwykle, pokazując niepełne uzębienie, i zaczęła z radości klaskać w dłonie. – Pokonał trzy demonice. I to najsilniejsze ze wszystkich. Wykonał zadanie, siostrzyczki.

– Ależ duszko – Pierwaja nie zgodziła się z siostrą – jak możesz mówić, że wykonał zadanie, jeśli nie wszedł na górę. No przecież nie wyszedł na łąsy całkiem szczyt.

– Oczywiście, kwiatuszku, że mogę tak mówić – wysepleniła w swoim stylu głupkowato uśmiechnięta Trietia. – Mogę tak mówić, bo po pierwsze łąsy szczyt zaczynał się kilkadziesiąt lat temu właśnie tu, gdzie siedzimy, i dopiero kilka lat temu wyrosło tu te kilka gałęzi, a po drugie, siostrzyczki... to przecież nasze zgromadzenie złamało zasady tej próby, a nie kandydat.

Wypowiedź Trietii zakończył jej bardzo radosny, choć brzmiący głupkowato śmiech. Radosław w jednej chwili zmienił całkowicie zdanie o trzeciej siostrze. Była jednak zupełnie inna niż pozostałe. Miała w sobie jakąś niezwykłość i mimo jej wyglądu była w niej ukryta wyjątkowa mądrość i roztropność.

Jak to nie można nikogo oceniać po pozorach – pomyślał i wydawało mu się, że przez bardzo krótką chwilę wyłapał ukradkowe spojrzenie Trietii w swoim kierunku. *Czyżby usłyszała?*

– Ale jak to, duszko? – Tym razem Wtoroja bardzo grzecznie nie zgodziła się z siostrą, a jej ton zupełnie nie pasował do złośliwej fizjonomii. – W jaki sposób nasze zgromadzenie złamało zasady? Jak to możliwe, duszko?

– Ależ to oczywiste, ptaszynko – Trietia wysepleniła pieszczotliwie do siostry. – Zgromadzenie złamało zasady, bo włączyła się czwarta demonica, a powinny być tylko trzy w jednej próbie. Włączyła się przecież ponownie Czębira, siostrzyczko droga. Ona uratowała Swietlanę, ale tym samym wbrew zasadom zatrzymała marsz kandydata. Jesteście obie takie mądre. Na pewno to rozumiecie, siostrzyczki, prawda? – I znowu rozległ się pogodny śmiech i radosne klaskanie w dłonie trzeciej siostry.

Wśród obecnych ponownie nastąpiła chwila konsternacji. Wszyscy próbowali przetrwać kolejne słowa tej niepozornej sędziny o niezbyt inteligentnym wyrazie twarzy.

– Och tak, duszko. Rozumiemy, rozumiemy to oczywiście, duszko – przytaknęły gorliwie obie siostry po dłuższej chwili milczenia, a słowa wypowiedziały dokładnie jednocześnie w sposób absolutnie zsynchronizowany. – Masz rację, siostrzyczko droga. Jak mogliśmy tego nie dostrzec. To co, siostrzyczko, uznajemy, że kandydat zakończył próbę sukcesem?

– Jeszcze nie ukończył, kochane siostrzyczki! – wysepleniła Trietia, ponownie wszystkich zaskakując. – Ale żeby już nikt nie miał wątpliwości, że kandydat przeszedł tę próbę, musi już tylko o własnych siłach, nie niepokojony przez żadną z nas, dotrzeć na sam wierzchołek góry. Czyli te kilkadziesiąt kroków w tę stronę – dodała, patrząc na zbaraniałego całym zajściem Radosława, i pokazała mu właściwy kierunek. – Powinnyśmy też przeprosić kandydata za złamanie zasad – dorzuciła Trietia po chwili i przez bardzo krótki moment Radosław zamiast głupekowatego uśmiechu, zobaczył na jej twarzy poważny, szczery żal.

Po tych słowach Trietii ponownie rozległ się jej niezbyt mądry śmiech i oklaski. Mężczyzna spojrzał na Mamunę, a gdy ta z przyzwoleniem kiwnęła głową, wstał i pełen niepewności ruszył w kierunku wierzchołka. Czuł pewien niepokój, że ktoś go jeszcze zatrzyma lub zaatakuje, ale nic takiego nie nastąpiło.

Szedł po nagim szczycie w kierunku samego wierzchołka. To był szalony dzień. Walka fizyczna z górą, walka ze strachem, zmagania z Rusałką, obrona przed strzygą, przypalanie żywym ogniem południcy, a na koniec proces prowadzony przez trzy szalone wiedźmy. Sześćdziesiąt wiosen temu poszło mu łatwiej. Teraz miał spuchniętą dłoń i skórę spaloną słońcem południcy.

Do głazu spoczywającego na samym szczycie góry zostało kilkanaście kroków. Odwrócił się jeszcze za siebie, w obawie, czy nikt za nim nie podąża. Wszystkie członkinie zgromadzenia stały jednak na swoich miejscach, patrząc w jego stronę. Gdy odwrócił się znów w kierunku wierzchołka, zobaczył obok głazu dobrze mu znaną postać. Stała tam boso, w lnianej prostej sukience. Jak mógł wcześniej jej nie dostrzec?! To na pewno przez te uroki.

Ostatnich kilka kroków zrobił dużo szybciej i stanął przed Rowenną. Uśmiechała się do niego. Wyglądała tak samo jak zawsze, ale jednocześnie jakoś poważniej i dostojniej. Jakby troszkę wydorosłała. Uśmiech jednak był ten sam; zawsze obejmował też jej oczy.

– Bądź pozdrowiona, Rowenno – powiedział cicho.

Była ona jedyną osobą na świecie, przy której nigdy nie był pewien, jakich użyć słów przy powitaniu. Zawsze wydawało mu się, że są one zupełnie nienaturalne.

– Witaj, Radosławie! – Dziewczyna uśmiechnęła się do niego radośnie. – Widzę, że pięknie się dziś opaliłeś...

Uduszę ją kiedyś za to jej droczenie – pomyślał zboląły rycerz. – *Naprawdę ją uduszę!*

Piękny, szczery i radosny śmiech słyszanej jego myśli Rowenny w mgnieniu oka uleczył wszystkie cierpienia, jakich doznał tego dnia.

Rozdział II

PRZESŁUCHANIE

Hrabia Harold de Millow rozważał ucieczkę z Akwizgranu. Nie wszystko poszło po jego myśli. Na wszelki wypadek niezbędne dla siebie rzeczy spakował do niewielkiej skrzyni i ukrył ją w karczmie poza miastem. Osiodłany koń czekał na tyłach rezydencji biskupa, pilnowany przez zaufanego człowieka. Uspokajał go też chłód żelaza na plecach, bijący od przytroczonego na specjalnej uprzęży długiego sztyletu.

A może jednak biskup von Rappard wykaże zrozumienie? Może nie będzie się ostatecznie kierował gwałtownymi emocjami? Może jednak pragmatycznie podejdzie do sprawy? On, Harold de Millow, był mu przecież potrzebny. Któż inny zorganizuje taką inscenizację na Wschodzie? Tak, to go przekonuje, on jest biskupowi niezbędny. Nie będzie uciekać. A przynajmniej nie teraz, przed rozmową. Poza tym coś mówiło hrabiemu, że pomimo iż posiada niezbędne umiejętności, aby schować się przed każdym człowiekiem na ziemi, to jednak von Rappard może jakimś nadludzkim sposobem znaleźć go wszędzie.

– Świat należy do zuchwałych! – rzekł cicho hrabia de Millow i mocno zapukał do apartamentów biskupa.

Drzwi otworzyła pokojowa, zaprosiła go do poczekalni i zniknęła w bocznych drzwiach. Czy na pewno dobrze robi? Musi mimo wszystko przedstawić przebieg

zdarzeń jako swój sukces. Na szczęście ma swój spryt i elokwencję. Da sobie radę.

– Panie hrabio, Jego Ekscelencja czeka – wyrwał go z zamyślenia głos asystenta biskupa.

Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę i de Millow dostrzegł w spojrzeniu Kurta rezygnację oraz smutek. Nie miał jednak czasu dłużej zastanowić się nad zaobserwowanym faktem, gdyż drzwi do gabinetu były już otwarte, a przez ich światło hrabia widział już skupione oblicze przełożonego.

– Wyrazy uszanowania, Ekscelencjo – przymilnie powiedział de Millow, wchodząc do pomieszczenia.

– Zamknij drzwi i gadaj! – Biskup najwyraźniej nie był w nastroju na konwenanse. Nie poprosił, aby gość usiadł, więc hrabia pozostał przy drzwiach w pozycji stojącej.

– Kapitan Johann von Wiebe skłamał, Ekscelencjo. – Oficer przeszedł od razu do rzeczy. – Pochwyciliśmy go, jak Ekscelencja kazał, a następnie zająłem się nim osobiście w mojej pracowni. Przyznam, że trzymał się długo ten kurwi syn, ale moje imadełko do ściskania jąder w końcu rozwiązało mu język.

– W czym skłamał? Gadaj! – ponaglił rozmówcę biskup, patrząc na niego uważnie.

– Ekscelencjo, podczas wczorajszej narady von Wiebe stwierdził, że w piwniczce nie znalazł żadnych śladów. Otóż w wyniku hm... perswazji przyznał, że były jednak ślady i to całkiem znaczne. – Hrabia de Millow pochwalił się z zadowoleniem i zrobił pauzę dla lepszego efektu.

– Czy ja mam cię, kurwa, Millow, prosić o każde kolejne zdanie?! – Gdy biskup zaczynał pomijać przedrostki szlacheckie, zawsze oznaczało to, że jest na skraju panowania nad sobą.

– Już mówię, Ekscelencjo – pospiesznie wtrącił hrabia. – Gdy kapitan von Wiebe i strażnik Stolbe weszli do Twojej piwniczki, zobaczyli tam trupa w kałuży krwi. O tym kapitan na naradzie nawet nie raczył nam wspomnieć.

– No proszę. Trup? – zdziwił się von Rappard. – Co za trup, de Millow? Kto to był? Kto go zabił? I czemu, kurwa, Wiebe kłamał?

– Wiebe nie wiedział, kim był ten trup, Ekscelencjo. Widział tego człowieka po raz pierwszy w życiu. Twierdził, że przebito go z wielką siłą twoim dwuręcznym mieczem. Przysięgał też, że nie wie, kto to zrobił.

– Wierysz mu? – wtrącił się biskup.

– Tak, Ekscelencjo, wierzę! – zapewnił hrabia. – Gdy kapitan o tym opowiadał, nie miał już palców, miał połamane ręce i nogi, popaloną skórę pod pachami pochodnią, wydłubane oczy, ale wciąż miał jeszcze całe jądra. Tyle że ściśnięte w imadleku.

– To dobrze, de Millow – pochwalił go biskup. – To pewnie Wiebe okradł moją piwniczkę.

– Przebieg mojego przesłuchania wskazuje na to, że on nie zabił tego człowieka i cię nie okradł, Ekscelencjo. Trudno jest kłamać w mojej pracowni.

– To czemu zataił tego trupa? Czemu, do stu diabłów, de Millow? – zapytał von Rappard zimnym jak lód głosem.

De Millow westchnął. Zbliżała się najtrudniejsza część rozmowy.

– Von Wiebe zeznał, Ekscelencjo, że w piwniczce doznał objawienia anioła, który to anioł kazał mu uprzętnąć ciało i zatrzymać wszystko w tajemnicy – powiedział drżącym głosem hrabia.

Biskup uniósł brwi w wyrazie zdumienia, ale trochę też niepokoju.

– Anioła, powiadasz? Chcesz mi powiedzieć, kurwa, Millow, że uwierzyłeś aresztowanemu w bajeczkę o trupach i aniołach? – Słowa hierarchy brzmiały twardo jak żelazo. – Możesz mi, kurwa, powiedzieć, gdzie jest moja skradziona umowa?!

Hrabia de Millow głośno przełknął ślinę.

– Kapitan wyznał podczas tortur, że sakiewka była pusta, a trup nie miał przy sobie nic poza sztyletem.

– Co Wiebe zrobił z tym trupem, de Millow?

– Schował gdzieś lub pochował, Ekscelencjo. – Głos hrabiego drżał.

– Gdzie schował tego trupa, do stu diabłów, Millow?! – Von Rappard stracił cierpliwość.

– Tego jeszcze nie wiem, Ekscelencjo... – cicho odrzekł hrabia.

– Jeszcze nie wiesz?! Na pewno ten strażnik Stolbe wie! Wyciągnij to z niego, idioto!

– On nie żyje, Ekscelencjo. Kapitan przyznał się, że go zabił po uprzątnięciu twojej piwnicy i pochowaniu trupa włamywacza. Znaleźliśmy ciało strażnika Stolbego w miejscu wskazanym przez kapitana von Wiebe.

– Zabił? To, kurwa, wyciągnij to z kapitana!!! Mam cię uczyć, kretynie?! – Von Rappard pieklił się nie na żarty. – Zgnieć mu te jego jaja na miazgę w imadle, dowiedz się, gdzie jest trup, i przeszukaj go! Znajdź mi lepiej tę moją umowę, Millow. Dobrze ci radzę!

– Von Wiebe również nie żyje, Ekscelencjo. Wyzionął ducha podczas tortur przed wskazaniem miejsca ukrycia ciała. – De Millow spuścił głowę. – Wybacz mi, Ekscelencjo. Ale ciało nie może być daleko – dodał zaraz. – Wiebe miał mało czasu. Znajdę tego trupa w ciągu kilku dni.

Biskup patrzył teraz szalonym z wściekłości wzrokiem na hrabiego. Widać było, że walczył ze sobą. W pewnej jednak chwili, o dziwo, na jego twarzy zagościł strach.

– *Urwać mu łeb?* – Demoniczny szept odezwał się w głowie biskupa. – *Chętnie zobaczę, jak wygląda bez główki.*

– *Zostaw, demonie!* – Biskup wysłał myśl w przestrzeń. – *On jest mi jeszcze potrzebny. Później pozwolę ci go wypatroszyć.*

– *Nudny jesteś, klecho, nie potrafisz się bawić. Ale już niedługo będziesz mój.*
– Demon zachichotał. – *I wtedy ja nauczę cię dobrej zabawy.*

Von Rappard nadal patrzył na stojącego przy drzwiach hrabiego. Wstał powoli z siedziska, z nieodgadnionym wyrazem twarzy podszedł do podwładnego i uderzył go w twarz.

– Ostatni raz mnie zawiodłeś, Millow. Lepiej nie rób tego więcej – wysyczał biskup, kładąc nacisk na każdą sylabę. – A teraz wynoś się. Wiesz, co masz robić.

Hrabia opuścił gabinet przełożonego z uczuciem ulgi, które z każdym kolejnym krokiem ustępowało jednak miejsca poczuciu znieważenia i nienawiści.

Gdy drzwi zamknęły się za hrabią, biskup potrzebował chwili, żeby podsumować sobie w myślach to, czego się dowiedział. Jeżeli można wierzyć de Millowowi, to jakiś złodziej włamał się do piwniczki i został przez kogoś przebity mieczem. Von Wiebe ukrył gdzieś ciało, a następnie, by nie pozostawić świadków, zabił strażnika Stolbego. I ponoć namówił go do tego anioł. Same zagadki. O co tu, do diabła, chodzi?

– *Demonie, wymawiam twoje imię, Ragucl.* – Biskup wysłał myśl w przestrzeń.

– *Sssssssss, czego chcesz, durny klecho?! – zasyczał wściekle stwór i przed biskupem zaczęła materializować się wysoka postać utkana z czarnego dymu.*

– *Czy byłeś w mojej piwniczce podczas włamania, demonie?* – zapytał Magnus von Rappard, starając się opanować drżenie rąk.

– *Byłem, klecho – wyszeptał złowrogo demon i nachylił się nad głową biskupa.*

– *Czy to ty zabiłeś włamywacza, bestio?* – zapytał ponownie duchowny.

– *Jesteś taką samą bestią jak i ja, klecho, nie ma dla ciebie życia.*

Biskup usłyszał w głowie diabelski chichot.

– *Demonie, wymawiam twoje imię, Ragucl, czy to Ty zabiłeś złodzieja?*

– *Sssssssssss – zasyczał boleśnie demon. – Tak, zabiłem go, ale to nie był zwykły złodziej, to był szpieg.*

– *Czyj szpieg?* – dopytał von Rappard.

– *Innego klechy, podobnego tobie, który też popełnił wszystkie możliwe grzechy w nadziei, że nazwą go niedługo Ojcem Świętym.*

– *Demonie, wymawiam twoje imię, Ragucl.* – Biskup wysłał w przestrzeń myśl.

– *Gdzie jest cyrograf?*

– Sssssssssssss, jesteś ścierwem, klecho, już niedługo będziesz mój. – Mroczny dym niemal dotykał wątlej postaci Magnusa von Rapparda. – Nie widzę naszego cyrografu, klecho. Jest zasłonięty przede mną. Ale gdy wbijałem twój miecz w szpiega, cyrograf był jeszcze w twojej sakiewce na stoliku.

– A co potem działa się w piwniczce, demonie? – dopytywał w myślach biskup. – Gadaj, bestio, bo będziesz cierpieć!

– Potem wezwałeś mnie, bym czynił twoje cuda, klecho. Gdy wróciłem, nie było ani cyrografu, ani ścierwa tego szpiega.

– Co się stanie, bestio, gdy ktoś znajdzie cyrograf?

Odpowiedział mu chichot demona.

– Gdy znajdą księżulki, to cię spalą na stosie, klecho, i wtedy będziesz już mój na wieki. Gdy wpadnie w łapy czarownic, to będą miały nas obu w garści, klecho. Gdy ktoś go podrze, to ty umrzesz w jednej chwili, a ja zostanę odesłany do piekła, by zapewnić ci w nim atrakcje.

– Demonie, wymawiam twoje imię, Raguel. Gdzie jest ciało szpiega?

– Mówię ci jeszcze raz, śmierdzący klecho, że jest to przede mną zasłonięte. – We wściekłym i bolesnym syku demona można było wyczuć jego zdziwienie tym faktem.

– Nie igraj ze mną, bestio! Kto ci przesłania widok?

– Tego też nie widzę – wysyczał Raguel.

– Jak znaleźć tego trupa, demonie?

– Zapytać jego ducha, głupi klecho. Potrzebujesz potężnej czarownicy. Niepotrzebnie wydałeś kościołowi na śmierć Rebecę. – Biskup usłyszał w głowie demoniczny chichot.

– Znajdź mi czarownicę!

– Jest tylko jedna, która na pewno potrafi to zrobić. Przebywa w Rzymie. To czarownica opłacana przez waszego papieża. Ma piękne imię, Lilith.

– Sprowadź mi ją do Akwizgranu, demonie!

Rozdział 12

MAREK

Marek Kunicki stał w kilkusobowej kolejce przed Urzędem Pracy w Aachen. Był poniedziałek siódma pięćdziesiąt rano i do otwarcia urzędu pozostało dziesięć minut. Klaus spóźniał się, jak to miał w zwyczaju. Powinien być już od dwudziestu minut, ale Marek wiedział, że przyjdzie mu poczekać na kolegę jeszcze pewnie dobrą chwilę. Najwyżej sam sprawdzi oferty pracy.

Wczoraj cały wieczór spędzili w mieszkaniu u Klause – przeskakiwali po kanałach sportowych, pijąc spore ilości piwa. Wybór ostatecznie padł na jeden z hitów kolejki Bundesligi. To były bardzo dobre zawody. W samej końcówce spotkania odezwał się telefon Klause.

– *Scheise!* – zaklął szpetnie Klaus, powoli gramoląc się z kanapy.

Po chwili obmacywał już w pośpiechu kieszenie swojej kurtki, aby zlokalizować telefon.

– Słucham – powiedział do słuchawki, gdy w końcu udało mu się go znaleźć.

Uwagę Marka przykuwały wydarzenia na boisku. Faworyt meczu przegrywał jedną bramką na dziesięć minut przed końcem regulaminowego czasu gry. Trwał więc szturm bramki przeciwnika. Obrona jednak cały czas wywiązywała się wzorowo ze swoich obowiązków. Piłka bardzo szybko krążyła od nogi do nogi drużyny atakującej. Jednak faworyt tego dnia bił głową w mur. Z przyjemnej

kontemplacji meczu wyrwały go wypowiedziane podniesionym głosem słowa Klausa.

– Jesteś kawałem sukinsyna, Weber! – Klaus aż sapał. – I wiesz co, spierdalaj! Zawsze ci to chciałem powiedzieć.

Tu nastąpiła chwila ciszy. Najpewniej rozmówca ustosunkowywał się do słów Klausa.

– Nie jestem pijany, chciwy kutasie! – wybełkotał Klaus. – Mam gdzieś twój martwy sezon i wiosnę!

Znowu nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Przyjdziemy z Markiem w poniedziałek po zaległą kasę! Lepiej, żeby nie było znów opóźnienia w wypłacie!

Klaus zakończył połączenie i z impetem rzucił telefonem w pusty fotel. Urządzenie odbiło się od miękkiego obicia, wytracając znacznie swój pęd, i z głośnym stukotem upadło na podłogę. Marek, do którego wszystko zaczęło powoli docierać, gdy usłyszał swoje imię, spojrzał pytająco na kolegę.

– Zwolnił nas ten kutas! – bez ceregieli wybełkotał Klaus. – Tak, jak przewidziałeś, Mark. Twierdzi, że skończyła się robota. Powiedział, że jest martwy sezon i takie tam pierdoły, że wiosną znów nas zatrudni.

– Mnie też zwolnił? – dopytywał Marek, w którym zaczął budzić się typowy w takich sytuacjach niepokój o przyszłość. Wytrzeźwiał w jednej chwili.

– Eeeee... Nie wiem... W sumie to o tobie nie mówił – niepewnie odpowiedział Klaus i zabrał się za otwieranie kolejnej butelki jasnego piwa.

W głowie Marka zaświtała nadzieja. Może nie będzie tak źle. Może nie musi jednak z dnia na dzień szukać nowej pracy. Pomyślał o swoich córeczkach, Ani i Oli, które w tej chwili już pewnie smacznie spały w jednym z obskurnych mieszkań przy ulicy Oławskiej we Wrocławiu. Agata, jego była żona, nie pracowała. Utrzymywała siebie i bliźniaczki jedynie z jego alimentów oraz dodatkowej dobrowolnej sumy, którą im przekazywał. Swojej mamie też co miesiąc posyłał parę groszy, gdyż po opłaceniu czynszu i rachunków za media z jej emerytury niewiele już zostawało.

Marek podniósł się z kanapy. Komentator wykrzykiwał coś podekscytowanym głosem, ale wynik meczu zupełnie przestał go interesować. Wyjął swój telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Zadzwoń do Webera, upewnię się – powiedział do Klausa. Wybrał numer i przyciszył dźwięk telewizora.

Marek z niecierpliwością słuchał powtarzającego się dźwięku w słuchawce. Wydawało mu się, że trwa on nieskończenie długo. W końcu, po ponad minucie oczekiwania, połączenie zostało odrzucone.

– Odrzucił połączenie – rzekł do kolegi. – Nadal nic nie wiem.

– To nie tylko śmierdząca kanalia, ale też tchórz. Boi się teraz, że go zbluzgasz tak jak ja – odpowiedział Klaus i pociągnął z butelki duży łyk piwa.

Telefon Marka nagle zawibrował w jego dłoni.

– No proszę, SMS – powiedział Marek i szybko odczytał bardzo krótką wiadomość.

– *„Nie mogę rozmawiać. – Marek czytał na głos treść wiadomości. – Nie ma już zleceń. Zaczął się martwy sezon. Wrócisz do pracy wiosną. Przyjdź w poniedziałek około południa po wypłatę za październik”*.

– Mówiłem, że to chciwy kutas i tchórz – podsumował wiadomość Klaus. – Chcesz piwa?

– Musimy jutro rano iść szukać zatrudnienia – powiedział poważnie Marek. – Pamiętam jeszcze, że urząd pracy otwierają o ósmej. Musimy być tam wcześniej, Klaus.

Marek otrząsnął się ze wspomnień i wrócił do rzeczywistości. Otwierano właśnie drzwi urzędu i interesanci, głównie imigranci, od razu ruszyli do tablicy ogłoszeń.

– *Ich bin da, hallo.* – Marek usłyszał wesoły głos Klausa. – Zaspałem. Wychyliłem wczoraj jeszcze kilka piwek. Znalazłeś robotę?

– Może to? Zobacz. – Marek zastukał w szybę gabloty. – Poszukują niewykwalifikowanych pracowników fizycznych do przygotowania miejskich terenów inwestycyjnych pod budowę osiedla.

– Ile dają? – zapytał rzeczowo Klaus.

– Dwanaście marek za godzinę, najniższa stawka – czytał Marek – ale jest też do tego jakiś socjal, no i umowa na czas określony. Zawsze coś. A może wiosną wrócimy do pielęgnacji ogrodów. Ja biorę.

Kilka minut później, gdy wracał do swojego mieszkania starymi uliczkami Aachen, był już spokojny. Znów miał wrażenie, że uratował swoją przyszłość, kierując ponownie scenariusz swojego życia na bezpieczne tory. Rozmyślał. Przeszłość i przyszłość... jakie dziwne są między nimi powiązania. Przeszłość zdaje się być tylko jedna, natomiast potencjalnych przyszłości dla każdego momentu na linii czasu wydaje się być nieskończenie wiele. Czyli teoretycznie wszystko zależy od wyborów człowieka. Od niego zależy, czy pójdzie w prawą, czy lewą stronę, o której wstanie z łóżka, czy wykona telefon do kogoś innego, czy nie i ile czasu będzie czekał na podniesienie słuchawki przez tę osobę. Ale co w sytuacji, gdy na przykład w ziemię ma jutro uderzyć kometa lub w twojej trzustce rozwinął się już nieuleczalny rak? Liczba potencjalnych przyszłości gwałtownie się redukuje... tak naprawdę do tej jednej, fatalnej. Czyli może to jednak przeznaczenie decyduje o scenariuszu przyszłości, a nie wybory człowieka.

Marek często wpadał w podobną melancholię, idąc starymi uliczkami Aachen. Może to miasto tak na niego wpływa? Ono miało duszę. I niekoniecznie była to dobra dusza. Kiedyś to miasto nazywało się inaczej. Nosiło nazwę Akwizgran.

Rozdział 13

DOTYK BOGA

Proboszcz Manfred Werner miał dziś spokojny dzień. Poniedziałki zwykle były spokojne. Zadbął o to, by w te dni tygodnia nawet kancelaria parafii była zamknięta. Po wysiłku niedzielnym w postaci odprawionych kilku mszy świętych, w poniedziałki zwykle nie musiał robić nic poza podliczeniem niedzielnej tacy. To był jego dzień wypoczynku. Datki przeliczył w godzinach przedpołudniowych, a teraz wracał właśnie spacerowym krokiem z gospody, gdzie mile spędził czas na pogawędce z karczmarzem przy butelce wybornego pitnego miodu. Karczmarz był idealnym rozmówcą, bo zawsze zgadzał się z opinią duchownego, nawet jeżeli opinie wygłaszane po spożyciu mocnego miodu na temat śmierdzącego chłopstwa czy skąpego mieszczaństwa nie licowały z dostojeństwem kapłańskim. Nie ma to jak dzień wolny.

Droga powrotna z gospody do parafii nie była na szczęście długa, dlatego pomimo chwiejnego chodu oraz znacznej otyłości proboszcz dał sobie z nią radę. Werner minął już dokładnie zamykaną w poniedziałki główną furkę, strzegącą dostępu na teren parafii. Pozostał już tylko ostatni fragment drogi, najbardziej lubiany przez duchownego, a mianowicie główna aleja otoczona młodymi dębami, prowadząca prosto do wrót kościoła. Manfred Werner był tu proboszczem od wielu już lat.

Proboszcz szedł powoli, krok za krokiem, ciesząc się widokiem ceglanej fasady swojej świątyni i pięknym wielkim krzyżem z drewnianą figurą Chrystusa stojącym u jego wrót. Krzyż wznosił kilka lat temu dzięki dodatkowym datkom parafian. Proboszcz był już na tyle blisko kościoła, że mógł odczytać napis nad jego wrotami, który brzmiał: „*Herz Jesu Kirche, Stolberg*”.

Wernerowi zakręciło się trochę w głowie, czknął i zatrzymał się zasapany, aby chwilę odpocząć. Pomędzy młodymi dębami w dość sporych odstępach widoczne były kamienne płyty nagrobne. Proboszcz bardzo rzadko wyrażał zgodę na pochówek tak blisko kościoła. Pozwalał na to tylko, gdy parafianin całym swoim życiem pokazał, że jest przykładowym chrześcijaninem. Z jakiegoś bliżej niezrozumiałego powodu było to dla niego ważne. Spowiadając regularnie swoich parafian, dokładnie znał ich serca. Jeżeli ktokolwiek budził jego wątpliwości, nie miał szans na pochówek na terenie cmentarza przykościelnego. Taki ktoś spoczywał wówczas na głównym cmentarzu miasteczka Stolberg, kilkaset metrów dalej. Pomysł taki wpadł proboszczowi do głowy niemal już trzydzieści wiosen temu, gdy tylko objął tę parafię. Manfred uważał, że w ten sposób uświęca teren wokół kościoła i jednocześnie buduje wyjątkową nekropolię. Razem z pierwszymi grobami pojawiły się tutaj dęby. Kilka drzew zasadził sam, a potem już samoistnie zaczęły pojawiać się kolejne. Teraz z przyjemnością patrzył na swoje święte dzieło życia.

Proboszcz doczłapał już do krzyża, z trudem przyklęknął przed nim i ruszył w lewo, w kierunku plebanii. Dużym kluczem otworzył ciężkie, okute metalem drzwi i wszedł do środka.

– Helga! – zawołał, ale odpowiedziała mu cisza.

Gospodyni gdzieś wyszła. Zdjął wierzchnie okrycie, obuwie zamienił na domowe chodaki i skierował się do swojej kancelarii. Tam ciężko opadł na swoje stojące za biurkiem wygodne obite suknem krzesło i zamknął oczy. Świat trochę mu wirował od nadmiaru mocnego miodu.

– Co za czort!?! – wykrzyknął, gdy tylko otworzył oczy.

Zaskoczyła go ciemność w komnacie, a przecież chyba tylko na krótki moment zamknął oczy. A może jednak nie? Może jednak zasnął? Czuł się, jakby się wcale nie przebudzał, tylko jakby właśnie wpadał w sen. Pomyślał, że chyba porządnie się upił. Uświadomił sobie, że ciemność w komnacie nie rozkłada się równomiernie jak w nocy, tylko bardziej lokalizuje się na przeciwległej ścianie i powoli zbliża do jego biurka. Przez krótki moment poczuł niepokój, pomyślał, że coś chyba niedobrze z jego zdrowiem, ale już po chwili zjawisko to zaczęło go zaciekawiać, a nawet fascynować. Ciemność zgęstniała na tyle, że już nie widział drzwi, które powinny być dokładnie naprzeciw biurka. Odczuł nagle wielką radość z jej obecności. Wiedział, że jest świadkiem jakiegoś cudu, czegoś szczególnego. Poczuł się wybrańcem, kimś bardzo ważnym dla Boga. Poczuł jego dotyk w sercu. Siedział na krześle i płakał ze wzruszenia, ze szczęścia. Gdy zobaczył światło migoczące gdzieś za zasłoną ciemności, osunął się na kolana. Uniesienie religijne, jakiego doświadczał, kazało mu głośno wyć i wychwalać Najwyższego. Jakby jednak zapomniał słów. Trwał w dziwnym odrętwieniu. Światło przesłonięte mrokiem nabrało kształtów postaci. Istota była wysoka, najpewniej skrzydlata, piękna, ale szczegółów postaci proboszcz nie był w stanie uchwycić przez osłaniającą ją ciemność.

– Kim jesteś? – szepnął Werner z zachwytem.

– *Bądź pozdrowiony, łaski pełny, Pan z tobą* – odezwała się jasna postać zza ściany mroku.

Proboszcz zmieszał się na te słowa i w myślach rozważał, co może znaczyć to pozdrowienie.

– *Nie bój się, Manfredzie, znalazłeś bowiem łaskę u Najwyższego* – do Wenera dotarły kolejne słowa. – *Oto wykonasz dla mnie zadanie, Manfredzie.* – Słowa anioła wbijały się w umysł proboszcza. – *Mam wielki plan wobec ciebie i twojej parafii, synu mój, ale zanim plan się wypełni, musisz... usunąć ciała niegodnych spoczywających na twoim przykościelnym cmentarzu. Ta nekropolia musi być doskonale święta. Czy to rozumiesz, Manfredzie?*

– Oto ja sługa Pański, uczynię dokładnie według Twego słowa – odpowiedział proboszcz, a w każdym wypowiedzianym słowie słychać było prawdziwy zachwyty.

– *Jutro o świcie przed kościół swój wyjdiesz i każdego jednego grobu dłonią dotkniesz* – kontynuowała świetlista postać. – *Te groby, które cię jak ogniem parzyć będą, musisz usunąć. Nie same kamienie, Manfredzie... Ale ciała pod nimi spoczywające. W całości. Nie może zostać ani kawałek niegodnego na tym cmentarzu. Pamiętaj.* – Świetlista postać zaczęła powoli oddalać się w mrok. – *Musisz zdążyć do końca jesieni, Manfredzie, nie zawieź mnie.*

Ostatnie zdanie dotarło do niego już niemal z samej ciemności.

– Nie zawiodę, Panie! – wykrzyknął wzruszony proboszcz.

Manfred Werner klęczał zapłakany przy biurku i powoli dochodził do siebie. Łkając, dziękował Najwyższemu za to doświadczenie. Zamierzał dokonać tego dzieła z Bogiem. Chciał być jego ręką, jego narzędziem. Czuł wielką radość i wiedział, że na pewno da z siebie wszystko.

Rozdział 14

PODRÓŻ DO AKWIZGRANU

Żelazny wóz kardynała de Cuntisa toczył się niemiłosiernie wolno. Droga z Rzymu do Akwizgranu na większości odcinków była solidnie utwardzona, ale bardzo ciężkie koła raz po raz wbijały się pomiędzy kamienie lub nawet je kruszyły. Kapitan von Kluge już na pierwszym postoju zarządził przeniesienie prawie wszystkich bagaży kardynała do innych wozów, by odciążyć ten żelazny. Wóz, nie licząc samej osoby duchownego, był w zasadzie pusty. Cztery pary silnych koni pociągowych ledwo jednak dawały radę. Trzeba je było często zmieniać. Już po drugim postoju von Kluge zdał sobie sprawę, że chcąc na pewno zdążyć na czas do Akwizgranu, powinni jechać szybciej. Zarządził więc, iż wóz będzie dodatkowo pchany przez dziesięciu piechurów, którzy będą pracować rotacyjnie. Ludzi miał pod dostatkiem. Kardynał już o to zadbał. Ostatecznie zaangażowanie żołnierzy pozwoliło nieco przyspieszyć tempo podróży, a von Kluge mógł w końcu skupić się w całości nad zasadniczą kwestią, czyli zapewnieniem ochrony purpuratowi.

Kardynalska karawana liczyła dziewięć wozów. Oprócz żelaznego, należącego do de Cuntisa, jechało też osiem przeznaczonych dla świty. Na postojach wozy ustawiano w regulaminowym okręgu i spinano łańcuchami na wypadek ataku jazdy. Ten kardynała zawsze wówczas znajdował się w środku.

Kapitan von Kluge był zadowolony ze znacznej liczebności żołnierzy. Straż karawany kardynalskiej stanowiło bowiem trzydziestu jezdnych, z którymi których połowę można było uznać za ciężkozbrojną, oraz pięćdziesięciu piechurów, osłoniętych dużymi tarczami, uzbrojonych w piki oraz krótkie miecze. Uzupełnienie stanowiło dziesięciu kuszników z bronią o naciągu wystarczająco mocnym, by przebić zbroję szarżującego przeciwnika.

Zadowolenie kapitana wynikało też z faktu, że ci żołnierze nie byli ludźmi z przypadku. Przed wyjazdem zebrał ich wszystkich na placu i przećwiczył z nimi kilka strategicznych komend. Von Kluge wiedział, że w razie ataku ci ludzie sobie poradzą. Nawet po cichu życzył sobie, żeby coś się wydarzyło. Miał dla atakujących w zanadrzu kilka niespodzianek.

Von Kluge miał poczucie dobrze spełnianego obowiązku i wiedział też, że zostanie za tę podróż sowicie wynagrodzony. Żelazny wóz kardynała przypominał mu nawet wielką skarbonkę. Siedział prosto w siodle, uśmiechnięty, ubrany w swoją tradycyjną czerń. Trzymał się cały czas w pobliżu pojazdu hierarchy, pilnując, by ten nie uchylał zbyt szeroko okienka, co mogłoby stworzyć okazję dla ukrytego łucznika. Wszystko wydawało się być pod kontrolą.

W tym samym czasie kardynał de Cuntis był w zupełnie innym nastroju. Był wściekły. Nie przywykł do podróżowania w ten sposób, sam w takiej zimnej, ciemnej klatce, na twardej, przykrytej jedynie skórą ławeczce. Boleśnie odczuwał każdy kamień, na który wtaczały się koła wozu. Nie był w stanie zebrać myśli. W tych warunkach nawet chędożenie dziewczek, których kilka w tym celu ze sobą zabrał, nie sprawiało przyjemności. Nie wolno mu było nawet uchylić szerzej wewnętrznej okiennicy w małym zakratowanym okienku w żelaznych drzwiach wozu. Już pierwszego dnia podróży von Kluge, pod groźbą rezygnacji z ochrony jego osoby, zabronił mu tego robić. Policzy się z nim jeszcze za to publiczne łajanie. Niech tylko wrócą do Lateranu!

Do kardynała docierał jednak jeden bardzo istotny argument przemawiający za tym, żeby cierpliwie znosić to upokorzenie i cierpienie. Była nim perspektywa zdobycia tronu Piotrowego, noszenia na skroni papieskiej diamentowej tiary oraz

posiadania kluczy do bram pałacu papieskiego w Lateranie. Kardynał de Cuntis czuł, jakby każdy dzień przybliżał go do upragnionego celu. Być może Bóg zsyła mu te niewygodny, aby poddać go ostatniej próbie. Gdy jednak osiągnie już to, do czego dążył, wtedy policzy się ze wszystkimi.

Rozdział 15

WRÓŻBA

Radosław z Niecieczy ocknął się z letargu. Potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć, gdzie się znajduje. Rozejrzał się po nagim szczycie góry. Uczestniczki zgromadzenia najwyraźniej do czegoś się szykowały. Budowały kilka dużych szałasów. Strzygi turlały wielkie kamienie i układały je w krąg, obejmujący sam wierzchołek góry. Topielice usypywały sterty nieznanym mu gałęzi, roślin lądowych i jakichś wodorostów. Coś się zatem szykowało.

Słońce chyliło się powoli ku zachodowi, a więc przespał mniej więcej pół dnia. Przypomniawszy sobie, że dostał od Mamuny jakieś ziółka, po których miał „poczuć się lepiej”, ale potem już nic nie pamiętał. Mężczyzna rzeczywiście czuł się teraz dużo lepiej. Nie był jednak pewien, czy jest to wynik działania ziółek, jego własnych możliwości szybkiej regeneracji czy też obecności Rowenny.

Myśl o dziewczynie sprawiła, że Radosław uważniej rozejrzał się po łysym szczycie, ale nigdzie nie dostrzegł Bezcielesnej. Wstał z ziemi i wolnym krokiem ruszył przed siebie. Każda z uczestniczek zgromadzenia, których naliczył wokół siebie trzy tuziny, była czymś zajęta. Zatrzymał się przy staruszce, wyglądającej tak wiekowo, jakby już za chwilę miała zakończyć żywot i udać się do Nawie, czyli ogrodu Walesa. Była bardzo chuda. Kości staruszki były obciążone dosłownie samą skórą, która była blada, krucha, niemal pergaminowa i niedomyta. Staruszka

kucała na ziemi, krojąc zajadłe na mniejsze kawałki dorodne korzenie mandragory, a jej połączone w strąki długie i siwe włosy dotykały ziemi. Gwałtownym ruchem obróciła głowę w kierunku Radosława, uważnie nań spoglądając. Radosław nie był pewien, czy ta kobieta cokolwiek widzi, bo jedno oko pokryte było bielmem, a drugie, równie dziwne, czarne z maksymalnie rozszerzoną źrenicą. Najpewniej staruszka uraczyła się już wcześniej kawałeczkiem korzenia mandragory.

– Chcesz kawałek, chłopczyku? – Kobięcina jakby przeczytała jego myśli i uśmiechnęła się, ukazując całkowicie bezzębną jamę ustną. – Weź, chłopczyku, mandragorkę, zjedz, chłopczyku, polatamy.

Wzrok rycerza padł na wielką brodawkę, którą starucha wyhodowała na wychudzonej brodzie.

– Nie podobam ci się, chłopczyku? – Starucha uśmiechnęła się gołymi dziąsłami jeszcze szerzej. – Jestem Jaga. Mieszkam w lesie. Jedyna chata na kurzej łapce w lesie, chłopczyku. Zjedz mandragorkę, chłopczyku, polatamy.

Radosław podziękował grzecznie za propozycję i odszedł pospiesznie kilka kroków. Już wiedział, kim ona jest. Pierwszy raz spotkał Leśną Babę, choć wielokrotnie już o niej słyszał. Była boginką podobnie jak Mamuna, jednak nie posiadała takiej świątyni, takiego chramu jak ona na Łysej Górze. Mówiono, że niedoceniana odeszła do lasu, zaszyła się tam i zgorzkniała. Opowiadano, że porywała i zjadała dzieci. Ile było prawdy w tych bajaniach, Radosław nie wiedział. Nie miał jednak szczególnej ochoty na mandragorę z rąk tej staruchy.

– Czy do twarzy mi w tych koralach z jarzębiny, mój panie? – Do rycerza podbiegła z zalotnym uśmiechem rusałka Rozalia i wyeksponowała czerwone kulki koralu na swoim pięknym dekolcie.

Zanim mężczyzna otworzył usta, jak spod ziemi wyrosła przed nimi Rowenna.

– Tak, tak, Rozalio droga, nieźle wyglądają – odpowiedziała dziewczyna z chłodnym wyrazem oczu.

– Eeeee... dziękuję – wydusiła Rozalia i czmychnęła na drugą stronę szczytu.

Bezielesna odwróciła się do Radosława z niewinnym uśmiechem na twarzy. Miała na sobie swoją prostą lnianą sukienkę i jak zwykle była boso. Radosław lubił na nią patrzeć.

– Ale z ciebie śpioch – powiedziała. – Myślałam, że będziesz już spać do rana.

– Och, witaj, Rowenno – odpowiedział zdziwiony całym zajściem Radosław.

– Jak Twoja ręka? Pokaż! Zdejmę opatrunek – zdecydowała dziewczyna i zaczęła od razu odwijać lnianą opaskę, której Radosław w ogóle wcześniej nie zauważył.

Rycerz dziwnie czuł się na szczycie Łysej Góry. Miał wrażenie, że nie widział tam wszystkiego, jak gdyby niektóre obrazy były przed nim ukryte. Pewne osoby czy rzeczy dostrzegał zbyt późno. Pojawiały się przy nim zbyt nagle. Tak było na przykład w przypadku tego opatrunku.

Kiedy Rowenna odwinęła lniany materiał, mężczyzna zobaczył liście babki, kilka liści innych roślin i jakieś zaschnięte mazidło. Owca

– Poruszaj ręką, Radosławie – poprosiła Rowenna.

Rycerz wykonał prośbę i z zadowoleniem stwierdził, że nie ma żadnej, nawet najmniejszej bolesności. Ręka nie była już opuchnięta, a jej siła wróciła do stanu przed urazem.

– Dziękuję, Rowenno – powiedział zadowolony.

– Nie moja to zasługa, Radosławie. – Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. – Twoją ręką zajęła się Jaga, Leśna Baba, to tamta, co nie rozstaje się ze swoim czarnym kotem.

– Jakim znowu kotem? – zapytał głupio Radosław, bo nie widział wcześniej przy Jadze żadnego zwierzęcia. Obejrzał się i zobaczył, że naprzeciw krojącej wciąż korzenie mandragory staruchy, dwa łokcie przed nią, siedzi czarny kot i nieustannie się w nią wpatruje.

– Czy na mnie rzucono jakiś urok, Rowenno? – zapytał rycerz zaniepokojony swoimi zaburzeniami postrzegania.

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie. Wzrok na moment jej się zmienił i patrzyła jakby daleko w przestrzeń, poza jego sylwetkę. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy.

– Pozostajesz pod wieloma wpływami, Radosławie – powiedziała, spoglądając na niego uważnie. – Pod wpływem Swaroga, pod wpływem... hmm moim... Ale tych wpływów nie musisz się obawiać. – Tu Rowenna uśmiechnęła się zalotnie. – Pozostajesz też pod wpływem doli, którą uprzedły dla ciebie Rodzanice, gdy się rodziłeś – kontynuowała dziewczyna. – Żadnych uroków nie masz na sobie, rycerzu. Z czarami rusałek doskonale sobie poradziłeś. – Wypowiadając te słowa, Rowenna ponownie się uśmiechnęła. – Możesz czuć na sobie pewne oddziaływanie, Radosławie, gdyż to miejsce jest szczególne – ciągnęła dalej Bezcielesna. – To chram bogini Mokosz, pani natury. Całe zgromadzenie pełni tu rolę jej żerców, kapłanów.

– Widzisz moją dolę, Rowenno? – zdziwił się Radosław. – Widzisz moje przeznaczenie?

– Widzę, Radosławie. – Dziewczyna wyraźnie posmutniała, odpowiadając na to pytanie, co obserwujący ją rycerz od razu zauważył.

– Dlaczego posmutniałaś, Rowenno? – zaniepokoił się.

– Bo każdą jedną dolę człowieka zawsze kończy śmierć – odpowiedziała.

– Są gorsze rzeczy niż moja śmierć – odrzekł Radosław, patrząc jej w oczy.

Rozmowę przerwał im dźwięk bębna. Mamuna siedziała dokładnie na wierzchołku góry i rytmicznie uderzała w skórę bębna. Dźwięk był przenikliwy, oddziaływał na umysł i ciało. Nie można było go ignorować.

– Zaczyna się! – wykrzyknęła radośnie Rowenna. – Chodź, Radosławie.

– Co się zaczyna? – Mężczyzna przeklinał siebie za tę niepamięć wydarzeń sprzed ponad półwiecza.

– Jak to co, Radosławie? Ile lat żyjesz na tym świecie? – zdziwiła się dziewczyna. – Właśnie zaczyna się Mokosza! Święto bogini Mokosz. Zaraz będziemy śpiewać i tańczyć!

Rowenna zapiszczała radośnie, chwyciła Radosława za rękę i ruszyła biegiem, ciągnąc rycerza w kierunku kamiennego kręgu. Ta dziewczyna nie przestawała go zadziwiać. Było w niej wszystko. Była w niej i powaga, i niepomamowana radość życia. Nie rozumiał też, skąd, u licha, będąc kapłanką Peruna, wiedziała o święcie Mokoszy.

Usiedli na ziemi, opierając się o jeden z wielkich kamieni kręgu, wbitych głęboko w ziemię przez którąś ze strzyg.

– Czy wiesz, że Mokosz i Perun byli kochankami? – zapytała niewinnie Rowenna.

Oczywiście, że wiedział. O tym wiedzieli chyba wszyscy na wschód od Łaby. Przynajmniej tak było jeszcze pół wieku temu.

Mamuna przyspieszyła rytm bębna. Wykrzyknęła jakieś słowa, których nie zrozumiał. Otoczenie, dotychczas jeszcze jasne od czerwieni zachodniego nieba, nagle pociemniało. Na nieboskłonie pojawiły się gwiazdy, ale i one przyblakły po kolejnych wykrzyczanych słowach Mamuny. Krąg kamienny został jakby oddzielony od świata zewnętrznego niewidzialną barierą, obejmującą również sklepienie. Radosław domyślił się tego, słysząc teraz inaczej dźwięk bębnów. Rozchodził się on teraz jak w przestronnej, głębokiej piwnicy.

– Rozpalcie ogień, siostry! – rozległ się donośny rozkaz Mamuny i wewnątrz kręgu zapłonęły stosy przygotowanych wcześniej gałęzi i ziół.

Radosław poczuł, jak intensywnie pachnący jakimiś ziołami dym uderza w jego wrażliwe nozdrza. Pod utworzoną kopułą w kilka chwil zrobiło się od niego aż gęsto. Wyraźne jak dotąd dźwięki bębna zaczęły się rycerzowi rozpląwać i stały się nieokreślonym dudnieniem.

– Nie wychodź, Radosławie, poza kamienny krąg! Choćbyś nie wiem jak się wystraszył, nie wychodź! – ostrzegła go Rowenna – bo będę musiała Cię szukać w miejscach, w których wolałabym się nie pokazywać. – I roześmiała się uroczo, a jej czarne oczy błyszczwały jak dwie gwiazdy.

Radosławowi zaczęło kręcić się w głowie. Miał wrażenie, że świat gwałtownie drgnął i zaczął się obracać. Dudnienie przybierało na sile, a ruch obrotowy na prędkości. Dotychczas wydawało mu się, że spoczywa w miejscu, siedząc na ziemi, ale po chwili stwierdził, że nie siedzi, ale stoi i do tego jeszcze porusza się w rytm bębnienia. To nie był już chyba jeden bęben, tylko z tuzin. Dudnienie i dym gęstniały. Po chwili już stał w gęstym kręgu różnych istot. Trzymali się za ręce. Usłyszał pierwsze głośnie piski wydawane przez dziewczyny z kręgu. I wtedy krąg ruszył.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Jakaś topielica trzyma go za jedną rękę. Za drugą zaś straszna starucha. Krąg kręci się powoli w prawo. Wszędzie ogień i dym. A rytm przyspiesza.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Nogi niosą go same. Ma chyba halucynacje. Widzi dookoła latające czarne koty. Widzi latające staruchy dosiadające mioteł. Nie martwi się wcale tym, co widzi. Zaczyna się krztusić ze śmiechu. Z rozbawienia ciekną mu łzy.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Za rękę już nie trzyma go topielica, ale jakaś śliczna rusałka. Nie zarejestrował chwili, gdy doszło do zamiany. To pewnie przez te wciąż płynące ze śmiechu łzy. Już nie jest w stanie stwierdzić, w którą stronę kręci się krąg. W prawo? W lewo? Ma to gdzieś.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Wszędzie wokół słyszy piski. Krzyki. Wrzaski. Śpiew. Zawodzenie. On też krzyczy. Wrzeszczy na całe gardło. Nie wie, co krzyczy. Czuje euforię. Co za zabawa!

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Nie widzi już, kto jest obok niego. Postacie się zlewają. Nogi wciąż biegają. Ileż można przyspieszać? Nagle stwierdza, że nie biegnie. Leci na miotle. I że chyba jest kobietą. A może strzygą?

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Słońce gna po nieboskłonie wstecz. Widzi swojego ojca, jak uczy go strzelać z łuku. Mały Radosław jest tuż po postrzyżynach. Matka płacze z dumy.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Słońce gna po nieboskłonie wstecz. Widzi ludzi rzucających kamieniami w wielkiego tygrysa. Tygrys ma górne kły długie jak szable. Dziwi się, skąd wie, że to szable. To chyba nie jego epoka.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Słońce gna po nieboskłonie wstecz. Widzi potężne czworonożne zwierzę górujące nad drzewami. Ma długą szyję i masywny ogon. Stwór odgryza całe kawałki koron drzew. Kiedyś nazwą go brontozaurusem. Nie ma pojęcia, skąd to wie.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

I nagle świat ucichł.

Korowód tańczących gdzieś zniknął. Ustąpił duszący aromatyczny dym. Ucichły wszelkie hałasy. Zmysły zalała wszechobecna cisza i spokój.

Radosław widzi teraz zieloną polanę, za którą płynie szeroka rzeka. Widok urzeka pierwotnym pięknem i spokojem. Słyszy szum wody. Czuje, że zaraz wydarzy się tu coś ważnego. I rzeczywiście rzeka wzburza się przy brzegu. Z toni powoli wyłania się głowa, a następnie cała postać pięknej kobiety. Jest niewyobrażalnie piękna – prawdziwy ideał. Boskość wyrażona w urodzie. Nie jest naga, jednak roztacza aurę naturalnej nagości. Pełne piersi. Idealny kształt bioder i nóg. Ciało okryte częściowo zielenią wiosny, częściowo kolorami jesieni i częściowo przyodziane w letnią opaloną nagość. Zapach i spojrzenie tak nie ludzko zniewalające, że żaden człowiek oprzeć się nie zdoła. Do Radosława dociera świadomość, kogo widzi. Jej nie oparł się nawet Perun i Wales. Mężczyzna widzi Mokosz, boginię natury.

Mokosz wypowiada słowo i wyrastają nowe rośliny. Wypowiada słowo i w powietrzu pojawiają się ptaki. Radosław rozumie ten język, ale nie potrafi w tym języku mówić. Podziwia więc linię szyi bogini. Idealny zarys jej piersi. W myślach wtula w nie głowę. I nagle czuje solidne uderzenie łokciem w bok.

– Przynajmniej gęby tak nie otwieraj! – mówi z dezaprobatą Rowenna, która pojawia się przy nim nie wiadomo skąd.

Radosław nie jest w stanie wydać w tym miejscu żadnego dźwięku. Jest tam obecny jedynie duchem. Rowenna jednak jest na tej polanie i teraz podchodzi do bogini. Jest bardzo drobna w porównaniu z pełną sylwetką Mokoszy.

– *Witaj, dziewico natury* – padają pełne spokoju i ciepła słowa bogini wypowiedziane w starosłowiańskim języku. – *Twoja ofiara pozwoliła mężom moim Pierwotnym spotkać się znów na skraju ich królestw i ratunek dać światu. Ty świat ratować będziesz, Rowenno. Słowa mocy natury ode mnie również otrzymujesz. W duchu i słowie moc Twoja, ciało raz zabite zmieniać możesz mocą słów naszych. Duch Twój pokonany być nie może...*

Bogini nadal wypowiadała słowa do Bezcielesnej, jednak Radosław przestał je słyszeć. Pozostała ich treść została przed nim zasłonięta. Zamiast słów Mokoszy Radosław usłyszał w głowie słowa Rowenny.

– Patrz, Radosławie, to będzie nasze zadanie. Patrz teraz!

Rycerz otworzył szerzej swoje trzecie oko i ujrzał dziwną sekwencję krótkich obrazów.

Odziany w czerń, zamaskowany mężczyzna włamuje się do jakiegoś piwnicznego pomieszczenia.

Ten sam mężczyzna klęczy na posadzce w kałuży krwi, przeбитy długim dwuręcznym mieczem. Na gasnącej twarzy widać strach.

Orientalny stolik z leżącą na nim sakiewką.

Mężczyzna czołga się w kierunku stolika, obficie krwawi.

Mężczyzna opróżnia zawartość sakiewki.

Mężczyzna w czerni leży martwy na posadzce we własnej krwi. Radosław widzi jego twarz z coraz bliższej odległości. Widzi stężałą już twarz. Puste oczy. Otwarte usta. Ta twarz wciąż się zbliża. W uchylonych ustach trupa głęboko w gardle coś tkwi. Radosław wie, że to coś ważnego. Mężczyzna nie zdążył tego połknąć. Śmierć nadeszła zbyt szybko.

Obrazy nagle się kończą. Cisza także. Radosław nie zdążył jeszcze przemyśleć ukazanych scen, gdy wracają do niego dźwięki tańca.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Radosław znów porusza się w korowodzie, w kłębach dymu, w tłumie istot. Słońce gna po nieboskłonie. Tym razem ze wschodu na zachód. Raz za razem. Świat rozświetla się i ściemnia na przemian. Światło... Ciemność... Światło... Ciemność...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Świat wiruje i nabiera prędkości. W jego dłoń ktoś coś wkłada. Próbuje to gryźć. Poznaje smak. Korzeń mandragory.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Słońce gna po nieboskłonie. Serce wali mu jak młotem. Zaczyna widzieć przez dym wyraźniej. Jakieś postacie stoją przy głazie na wierzchołku.

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Rytm!... Krok!... Ruch!... Dym!...

Bębny nagle cichną. Krąg zatrzymuje się. Tarcza słońca góruje w zenicie. Jest bardzo duża i jasna. Przy głazie na szczycie góry stoją trzy siostry ze Wschodu. Oczy wszystkich zwracają się ku nim. Wiedźmy opierają się dłońmi o głaz z trzech stron, symetrycznie. Wyglądają na kompletnie pijane, jakby to jedynie głaz zapewniał im utrzymanie równowagi. Cisza wokół aż świdruje uszy. Dym gdzieś zniknął.

Pierwsza z sióstr, Pierwaja, zaczyna zawodzić, początkowo zupełnie niewyraźnie, ale po chwili do uszu wszystkich dobiegają już wyraźne słowa wróżby.

W tarczę słońca patrz...

Najpierw ujrzysz blask...

Potem w blasku tym...

Obraz przyszłych dni...

Obraz jasny jest...

Nie przesłania nic...

Blask pokaże Ci...

Obraz przyszłych dni...

Gdy kapłanka ta...

Co ciało wiele ma...

W drogę ruszy, a...

Za nią bogów moc...

*Wielkie siły zła...
Czekać będą i...
Trudno sprostać im...
Chmura skrywa to...
Patrzaj, siostró ma...
Wojna wielka trwa...
Po Rowennie ślad...
Zniknął całkiem tak...
Patrzaj, siostró ma...
Wojna wielka trwa...
Po Rowennie ślad...
Zniknął całkiem tak...*

Ostatnia zwrotka została powtórzona przez dwie z sióstr. Pierwaja i Wtoroja mówiły idealnie synchronicznie. W rytm tych słów wpasował się cichy rytm bębnowy, który po chwili ucichł.

Złowrogą ciszę, spowodowaną niepomyślną wróżbą, przerwał gwałtownie donośny sepleniący głos Trietiej.

*W tarczę słońca patrz...
Najpierw ujrysz blask...
Potem w blasku tym...
Obraz przyszłych dni...
Obraz jasny jest...
Nie przesłania nic...
Blask pokaże ci...
Obraz przyszłych dni...
Patrzcie, siostry me...*

*Dalej spojrzeć trza...
Gdzie kapłanka ta...
Dalej przyszłość ma...
Czy widzicie to?...
Ach, siostrzyczki me...
Spójrzcie poza mgłę...
Spójrzcie obydwie...*

Wśród słuchających wróżby nastąpiło poruszenie. Trietia widziała coś więcej. Coś, co zupełnie zmieniało treść wróżby. Pozostałe siostry ze Wschodu wyglądały na skonsternowane. Pierwaja i Wtoroja nadal opierały się ciężko o głaz. Spojrzały na siebie i zaczęły ponownie synchronicznie recytować.

*Ach, siostrzyczko ma...
Gdzie jest przyszłość ta?...
Ach, siostrzyczko ma...
Gdzie jest przyszłość ta?...
Nie widzimy jej...
Patrząc poza mgłę...
Nie oszukuj nas...
Nie jest na to czas...
Patrzaj, siostrzo ma...
Wojna wielka trwa...
Po Rowennie ślad...
Zniknął całkiem tak...*

Teraz ponownie przebudziła się Trietia i zagłuszając słowa sióstr, zaczęła krzyczeć.

Patrzcie, siostry me...

Dalej spojrzeć trza...

Gdzie kapłanka ta...

Dalej przyszłość ma...

Czy widzicie to?...

Ach, siostrzyczki me...

Spójrzcie poza mgłę...

Spójrzcie obydwie...

Siostry jeszcze przez chwilę przekrzykiwały się, wykrzykując jednocześnie swoje wróżby, a potem wróżby ustały jakby ucięte nożem. Wszystkie trzy siostry leżały zemdlone wokół głazu na szczycie.

Rozdział 16

ATAK

Kolumna wozów posuwała się swoim codziennym tempem. Słońce górowało za ich plecami, dobrze oświetlając zarówno rozległą łąkę, którą przecinała ich droga, jak i ścianę lasu, do której się zbliżali. Kapitan von Kluge liczył, że wystarczą w drodze jeszcze dwa postoje, a trzeci nocleg spędzą już w komnatach gościnnych biskupstwa Akwizgranu. Podróż jak dotąd przebiegała bez zakłóceń, o ile nie liczyć dwóch fałszywych alarmów, gdy zwiadowcy napotkali większe grupy zbrojnych. Jednak w obu przypadkach okazali się oni być oddziałem cesarskiej armii patrolującym gościńce w celu zwalczania rozbójnictwa.

Przedwczoraj von Kluge sam zorganizował ćwiczebny alarm. Dostrzegł bowiem pierwsze oznaki rozprężenia i braku stosownej gotowości w oddziale. Droga prowadziła przez młodnik sosnowy. Sierżant zagrał ustalony sygnał: „Alarm! Atak od czoła!”, von Kluge wykrzyknął stosowny w tej sytuacji rozkaz do przegrupowania się i z zadowoleniem obserwował, jak w ciągu kilku chwil powstała formacja obronna. Kardynał de Cuntis nie omieszkał oczywiście wyrazić swojego niezadowolenia z tych ćwiczeń, gdyż gwałtowne ruchy wozu sprawiły, że wylał na siebie spożywaną właśnie zupę. Był czerwony z wściekłości. Wykrzykiwał głośno niewybredne epitety: „głupi kutas”, „wypierdek” oraz „pieprzony w dupę bękart”, które kapitan przyjął z typowym dla siebie spokojem i uśmiechem satysfakcji.

Kapitana jadącego na czele kolumny z przyjemnego zamyślenia wyrwał widok konnego zwiadowcy, który zatrzymał się pół staj przed ścianą lasu i obserwując go, uniósł ramię. Sygnał oznaczał, że z lasu przed nimi nie wrócił wysłany tam zwiadowca. Należało więc dla bezpieczeństwa zatrzymać wozy w bezpiecznej odległości.

Von Kluge rozejrzał się. Wokół rozciągała się łąka o twardym podłożu. Las był oddalony o jedną staję. Dobra kawaleria, która wypadłaby na nich z tego gąszczu, zdobyłaby ich wozy w trzy zdrowaśki.

– Zatrzymać! – ryknął na cały głos kapitan. – To nie są ćwiczenia! – dodał po chwili, żeby wszyscy potraktowali rozkaz poważnie.

Karawana stanęła. Pchający wóz piechurzy sięgnęli dla pewności po broń. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy.

– Co jest, kurwa?! Co ty znowu wymyślasz, Kluge?! – ciszę przerwał wściekły głos kardynała i dźwięk otwieranego okienka wozu. – Otwieraj te pieprzone drzwi! Nie zgadzam się na jakieś chędożone w dupę ćwiczenia!

Kapitan nie raczył jednak odpowiedzieć duchownemu. Z napięciem obserwował zarówno swojego konnego zwiadowcę, jak i ścianę lasu. Mężczyzna, który dotychczas dłuższy czas stał bez ruchu z ręką uniesioną w górę, nagle zerwał konia wstecz i ruszył galopem w stronę karawany. Teraz von Kluge również dostrzegł to, co chwilę wcześniej musiał zobaczyć zwiadowca. Pomiedzy drzewami zaczęły pojawiać się pierwsze konne postacie.

– Krąg! Formować krąg w lewo! – ryknął kapitan z całej siły. – Ruszać się, kurwa!

Kardynalska karawana z mozołem ruszyła do przodu, by po kilkudziesięciu łokciach skrócić w lewo, formując okrąg. Do uszu kapitana dotarł jeszcze trzask zamykanego od wewnątrz okienka wozu de Cuntisa.

– Ciaśniej, kurwa! Ciaśniej! – ryczał dalej kapitan, obserwując ruch wozów. – Żelazny do środka!

Von Kluge jednocześnie nie tracił z oczu przeciwnika, który wyłonił się już całkiem z lasu i zdążył ustawić tyralierę. Jeźdźców było grubo ponad setka. Takiej przewagi kapitan się nie spodziewał. Nie nosili typowego umundurowania. Spod kolczug, pancerzy i hełmów wystawały futrzane kurtki i czapy. W pierwszej chwili von Kluge pomyślał, że to rozbójnicy, ale szybko odrzucił tę myśl. Zbyt dokładnie i szybko ustawili tyralierę. Co więcej, pomimo futznanego odzienia, broń, którą dysponował przeciwnik, nie była wcale prostą bronią rozbójniczą. Bardzo zmartwił też kapitana fakt, że pomiędzy drzewami pojawiły się też pierwsze postacie piechurów.

– Ruszać się, kurwa! – zaryczał do swoich żołnierzy. – Mamy dwie zdrowaśki czasu!

Kątem oka kapitan widział, że przeciwnik już ruszył. Konie zaczynały wchodzić w galop. *Zdążymy? Nie zdążymy? Boże wszechmogący!* – myślał kapitan i nie wyglądał już na spokojnego.

Krąg wozów już prawie się zamykał.

– Spinać, kurwa! Spinać! – darł się na całe gardło von Kluge. Widział, że galopująca tyraliera wydłużyła się, ustawiając na czole najcięższych rycerzy.

Zabrzęczały grube łańcuchy, które sprawnie połączyły po obwodzie ustawione wozy na wysokości końskich szyi.

– Tarczownicy na przeguby! Za łańcuchy! Piki w ziemię! – padały kolejne komendy kapitana i były one niemal natychmiast wykonywane. – Kusznicy za tarczami na czole! Kusznicy, czekać na rozkaz! Nie strzelać!

Kapitan spojrzał na atakujących. Miał wrażenie, że zaraz będzie w stanie rozpoznać ich twarze. Całe szczęście, że zdążyli przygotować formację. To dawało im jakąś nikłą szansę. Von Kluge wiedział jednak, że aby ją zwiększyć, musi zaryzykować.

– Jazda, odwrót! Jazda, odwrót i wracać po łuku, rozjechać piechurów! Jazda, odwrót, ruszać się, kurwa! Po łuku na piechotę! – zaryczał na całe gardło von Kluge.

Sierżant Albrecht Dumas dowodzący oddziałem konnicy zrozumiał rozkaz i konnica kardynalska ruszyła najszybciej, jak się dało, pozostawiając wozy karawany na pastwę zbliżającej się z drugiej strony jazdy wroga. Sierżant walczył już kiedyś pod kapitanem von Kluge. Ufał mu. I chociaż przed wyjazdem ani razu nie ćwiczyli takiego manewru, nie zawahał się ani chwili.

Von Kluge czuł już drzenie ziemi pod stopami. Wiedział, że teraz wydarzenia zaczną rozgrywać się niezwykle szybko.

– Kuszniczy, konie na cel! Konie na cel! Czekać! – ryknął, a w momencie, gdy był już w stanie rozpoznać płęć koni, wykrzyknął kolejny rozkaz: – Strzelać! Teraz, kurwa, strzelać!

Zajęczały cięciwy. Kilka koni z pierwszej linii runęło na ziemię. Dosiadający ich ciężkozbrojni jeźdźcy, przelatując w powietrzu kilkanaście sążni z prędkością galopującego konia, zderzyli się z ziemią, zrywając z niej darń na długości kilkunastu łokci i obsypując nią tarcze obrońców. Przewrócone konie z czoła nacierającej jazdy zmniejszyły nieco impet ataku, gdyż musiały być ominięte lub przeskakiwane przez kolejnych konnych, ale nie trwało to długo, bo zaraz po tym rozpętało się piekło.

Brzęk łańcuchów, rozzierający kwik koni nadzianych na piki, krzyk ludzi, trzask łamanych w drzazgi tarcz i szcęk żelaza o żelazo rozległy się jednocześnie. Łańcuchy wytrzymały i nad głowami tarczowników przeleciało kilku jeźdźców przeciwnika. Zostali momentalnie dobici krótkimi mieczami, choć po upadku nie stanowili już zagrożenia. Jeden z wozów pociągnięty przez łańcuchy zachwiał się i gdyby nie został szybko podparty przez piechurów, najpewniej przewróciłby się do środka, otwierając drogę atakującym. Jazda przeciwnika, która wytraciła impet uderzenia i była oddzielona od obrońców pierścieniem z wozów i łańcuchów, nie stanowiła już dla piechurów tak śmiertelnego zagrożenia jak rozpędzona jazda na otwartym terenie. Długie piki piechurów i celne strzały kuszników raz po raz eliminowały kolejnego napastnika.

– Porąbać te wozy, panienki! – Przez zgiełk bitewny do uszu kapitana dotarła komenda wydana przez dowódcę przeciwnika.

Był to barczysty, brodaty mężczyzna z niedźwiedzim futrem narzuconym luźno na gęstą kolczugę. Znał skądś tę twarz. Spotkał tego oficera podczas ostatniej wojny. Był tego pewien. Ich spojrzenia spotkały się i już wiedział, kim jest ów człowiek. Nie pamiętał jego nazwiska, ale wiedział, że ma stopień jenerała.

Kapitan, nie namyślając się długo, wyrwał kuszę z rąk stojącego obok żołnierza i nie tracąc czasu na dokładne mierzenie, zwolnił cięciwę. Trafił. Bełt utkwił w brzuchu brodacza. Zdziwioną minę napastnika von Kluge widział jeszcze tylko przez chwilę, bo ten zaraz runął z konia na ziemię.

Rzeczywistość bitewna nie dała kapitanowi czasu na choćby chwilę satysfakcji. Przeciwnik rąbał mieczami koła wozów. Stały już pochylone. Do jednego z nich przyczepiono już metalowym hakiem linę i ciągnięto go konno, usiłując rozerwać krąg. Kapitan ruszył w tamtą stronę, jednak nie zdążył. Puściły zaczepy łańcucha i wóz pokoziołkował na zewnątrz, pozostawiając szeroki dostęp do żelaznego pojazdu kardynała.

– Wszyscy do środka! Do środka, kurwa! – ryknął najgłośniejszym głosem.

– Do środka! – powtarzali dalej rozkaz żołnierze.

Zbrojni błyskawicznie wycofali się z pozycji na obwodzie kręgu pod sam żelazny wóz. Byli doświadczeni. Wiedzieli, że kto zostanie, nie ma szans. Kapitan też biegł już do środka, wykrzykując kolejne rozkazy.

– Formować koło przy wozie! Ciasne koło przy wozie! – wrzeszczał w biegu kapitan. – Kuszniczy na wóz! Piki w ziemię! Kurwa, piki w ziemię!

Kapitan zdziwił się, że udało im się tak szybko przegrupować bez gromady jeźdźców na plecach. Rozejrzał się i dostrzegł u przeciwników jakiś moment zawahania. W pierwszej chwili pomyślał, że to utrata dowódcy spowodowała tę zwłokę i utratę możliwości szybkiego rozstrzygnięcia starcia na swoją korzyść. Przeciwnicy oglądali się za siebie i popatrywali na siebie niepewni, co robić. Widząc to, kapitan von Kluge uświadomił sobie, że jego sierżant Albrecht Dumas wykonał swoje zadanie i pozbawił przeciwnika wsparcia piechoty, którą konnica napastników pozostawiła daleko za sobą na otwartym polu.

– A więc nadal jest jakaś mała szansa. Boże, dopomóż... – wyszeptał cicho.

Krąg tarcz i pik wokół wozu kardynała trwał już w pełnej gotowości, głowa przy głowie. Byli niemal oparci plecami o metalowe ściany wozu. Kusznicy rozlokowali się na dachu, siedzeniu woźnicy oraz kołach i właśnie naciągali cięciwy.

Przeciwnik jednak też nie próżnował: odciągnął dwa kolejne wozy i szykował się do szarży od strony zachodniej. Obrońcy obserwowali, jak wróg ustawiał się do szarży poza zasięgiem kusz.

– Oddajmy im tego księżulka – zaproponował drżącym głosem jeden z tarczowników. – Puszczą nas.

– Nie pierdol, Hans – odpowiedział mu stojący obok niego pikinier. – Gdyby chcieli negocjować, to już dawno by zaczęli. Oni nie chcą tu zostawić nikogo żywego.

– To może rozbiegnijmy się we wszystkie strony – kontynuował Hans. – Ktoś pewnie da radę dobiec do lasu.

– Nie pierdol, Hans. – Tym razem to kapitan usadził Hansa. – Myślisz, że wygrasz wyścig z jeźdźcem na odległość jednej stai? Tylko tu, oparci o wóz, mamy szanse przeżyć.

– Co tam się dzieje, kapitanie von Kluge?! Na miłość boską, słyszę cię tam. Gadaj! – odezwał się z wnętrza metalowej kabiny stłumiony i zdenerwowany głos kardynała.

– Kardynale, siedź tam cicho i nikomu nie otwieraj! – rozkazał von Kluge. – Otwórz tylko wtedy, gdy usłyszysz nasze hasło i odzew. I módl się do Boga o życie nas wszystkich. Mamy tu wszyscy nadzieję, że on czuje do ciebie sympatię.

– Rozumiem, von Kluge – posłusznie odpowiedział de Cuntis.

– Aha i jeszcze jedno, Ekscelencjo – dodał kapitan. – Przekazałem moim ludziom informację od ciebie, że zapłata za tę podróż będzie dziesięciokrotnie większa od ustalonej i rodziny poległych też otrzymają należność.

Kapitan wiedział, że znaczna część jego najemników przelicza sobie teraz w głowie, jaka to będzie kwota, i perspektywa uzyskania tej sumy znacznie

podniesie morale.

– Oczywiście – dobiegł wszystkich zduszony głos kardynała.

Kapitan von Kluge stał niemal oparty o ścianę kabiny wozu kardynała. Obserwował przeciwnika. Konnica właśnie ruszyła i powoli nabierała prędkości. Nikt nawet nie próbował negocjować.

– Kusznicy gotowi?! – zawołał kapitan.

– Tak, kapitanie – odpowiedziało kilka głosów.

– Mierzyć w konie! Strzelać na mój rozkaz! – padły komendy. – Jak wpadnie na nas jazda, dobywać mieczy i skakać z wozu!

– Tak jest!

Obrońcy patrzyli, jak nieubłagane szybko galopuje w ich kierunku kawaleria.

– Stoimy! – pewnym głosem przypomniał kapitan.

Trzysta sążni... Dwieście sążni...

– Stoimy. – Głos kapitana naprawdę brzmiał spokojnie.

– Sto sążni... pięćdziesiąt... trzydzieści...

– Strzelać! – ryknął kapitan.

Cięciwy jęknęły i pierwsza linia koni i jeźdźców z czoła runęła na ziemię. Przez chwilę wśród atakujących zapanował chaos, bo kolejne konie przewróciły się o leżące zwierzęta. Jednak to, co było nieuchronne, i tak nastąpiło. Kawaleria runęła na stłoczoną, najeżoną pikami grupę obrońców.

Po raz kolejny rozpętało się piekło, które dla kapitana trwało tylko chwilę. Taranowany szereg obrońców odrzucił von Kluge w tył. Uderzenie głową i plecami o żelazny wóz natychmiast odebrało mu oddech. Kapitan osunął się pod wóz i przestał cokolwiek słyszeć.

Kapitan von Kluge miał wrażenie, że zawisł gdzieś pomiędzy światami. Docierał do niego zgiełk trwającej bitwy. Nie mógł się jednak poruszyć. Chyba również nie oddychał. Jedyne widział i słyszał, ale do końca nie był pewien, czy to, co do niego dociera, dzieje się naprawdę. Powoli odpływał.

Najpierw zobaczył postacie walczących.

Potem widział nachylającego się nad nim sierżanta Albrecht Dumasa. Ten mówił, że wskoczył na plecy jeździe przeciwnika. Płakał. Żegnał się z nim i mówił, że był najlepszym dowódcą, pod którym służył.

Następnie zobaczył, jak sierżant ginie.

Później zobaczył postać z czarnej mgły stojącą przy wozie. Powiedziała mu, że zawiódł i że piekło już na niego czeka.

Potem postać przesączyła się jak mgła do wnętrza wozu przez otwór w okienku. Słyszał przeraźliwy wrzask kardynała, który po chwili nagle umilkł.

A wreszcie usłyszał głośne mlaśnięcie i wóz uniósł się z błota do góry i powoli przesuwał się w powietrzu w kierunku wschodnim.

Wizja, którą zobaczył na końcu, przekonała ostatecznie kapitana von Kluge, że to, co widział, to urojenia. Zamknął oczy. Skonał.

Rozdział 17

MAREK

Marek Kunicki, wyglądając przez okno pociągu, obserwował, jak konduktor machnął ręką i wskoczył szybko na stopień wagonu. Poczł szarpnięcie i ciężka maszyna zaczęła niemal bezgłśnie nabierać szybkości. Zamknął okno i rozejrzał się po pustym sześciuosobowym przedziale. Wykupił miejsce przy oknie, przodem do kierunku jazdy, ale brak podróżnych dawał mu jakby pięć dodatkowych opcji spędzenia tej podróży z Wrocławia do Berlina. To jakby pięć różnych opcji wyboru potencjalnej przyszłości. O swojej przyszłości myślał teraz zupełnie inaczej. Kilka dni temu pochował swoją matkę.

Rozważał, jak zmienia się perspektywa człowieka, gdy traci swojego ostatniego rodzica. Nagle stał się najstarszy w rodzinie, został seniorem rodu. Pozostał tylko on i jego potomstwo. Jego najbliższa rodzina to już nie trzy, ale jedynie dwa pokolenia. Już nie ma kogo zapytać o przeszłość. Nie stworzy już drzewa genealogicznego swojej rodziny, które miał w planach, bo osoby, która pamiętała najwięcej, już nie ma. Nie zdążył. Nagle poczuł, że chciał zapytać jeszcze o tyle rzeczy. Zabrakło czasu.

Matka umarła w domu. Znalaziono ją po kilku dniach na podłodze w przedpokoju. W dłoni ścisłała telefon. Kilka dni nie mógł się do niej dodzwonić, więc zaalarmował sąsiadów.

Sprzątając jej mieszkanie po pogrzebie, znalazł mnóstwo pamiątek ze swojej młodości. Zdjęcia, laurki, wycinanki. Nie sposób opisać, co poczuł.

Mieszkania sprzedawać nie chciał. Klucze oddał pośrednikowi najmu. Ktoś tam będzie mieszkał, a dodatkowe pieniądze przydadzą się jego córkom. Kiedyś to mieszkanie sprzeda. Ale teraz zupełnie nie jest na to gotowy.

Pociąg szybko połykał przestrzeń. Zawsze lubił to, że wsłuchując się w dźwięk wydawany przez koła pociągu, podskakujące na łączeniach szyn, można z zamkniętymi oczami oszacować prędkość maszyny. W tej chwili stukot układał się w nieustanny galop, w którym z trudem można było wyłapać pauzy w uderzeniach. Gnał więc szybko, ku nieznannej przyszłości.

Na pogrzebie matki nie było dużo osób. Tylko Agata z dziewczynkami, jakaś dalsza rodzina, sąsiedzi matki i kilka zupełnie nieznanym mu osób. Jego córeczki płakały i miał nadzieję, że był to płacz oczyszczający z całego tego smutku. Oprawa muzyczna uroczystości była naprawdę dobra. Już kiedyś, uczestnicząc w innych pogrzebach, zdał sobie sprawę, że jakość pogrzebowej oprawy muzycznej można mierzyć odsetkiem płaczących żałobników.

Mszę odprawiał stary proboszcz, który wyglądał tak, jakby już sam stał nad grobem. Słabiutkim głosem odczytał sztapowe kazanie pogrzebowe o zmartwychwstaniu wierzących, które zapewne w zamyśle miało pocieszyć słuchaczy, ale raczej odbierało im wszelką nadzieję.

Podczas kazania proboszcz obiecywał jego matce zmartwychwstanie i Marek zastanawiał się, czy jego matka zmartwychwstanie jako osiemdziesięcioletnia staruszka czy może jako na przykład dwudziestojednoletnia młoda kobieta. Może wszyscy wierzący zmartwychwstaną w młodych ciałach, a wtedy na przykład jego świętej pamięci ojciec będzie wyglądał, jakby był jego bratem bliźniakiem. A jak po zmartwychwstaniu wyglądać będą ludzie zmarli w wieku dziecięcym? Jak dzieci? Marek pomyślał, że to wszystko nie trzyma się kupy.

Moment zasypywania żwirem trumny był dla niego szczególnie trudny. Myślał, ile wytrzyma w ziemi ta trumna. Ile czasu minie, zanim pozostałości ciała zetkną się

z wilgotną ziemią i tymi wszystkimi organizmami, które w niej mieszkają. Wyobrażał sobie tłuste dżdżownice wędrujące przez oczodół jego matki...

Na drugi dzień po pogrzebie napisał list i włożył go do koperty, którą następnie zakleił. Na wierzchu napisał: „Otworzyć zaraz po mojej śmierci. Marek Kunicki”. Potem przez dłuższą chwilę zastanawiał się, komu ten list wręczyć. Swojej byłej żonie, która chyba nigdy go nie kochała, czy którejś z dziesięcioletnich córek. List wręczył w końcu byłej żonie. Nawet nie była szczególnie zaskoczona. Zapytała tylko, czy to testament. Odpowiedział, że coś w tym rodzaju. W napisanym liście nie było jednak żadnych jego życzeń w zakresie podziału spadku. Były jedynie trzy krótkie zdania: *„Po śmierci chcę być skremowany. Żadnej muzyki na moim pogrzebie. Żadnego księdza”*.

Rozdział 18

SYNOD

Tej niedzieli wewnątrz katedry w Akwizgranie wyglądało zupełnie inaczej niż zwykle. Ociekało złotem i kosztownościami. Dominowała ciemna zieleń, kolor biskupi. Do katedry nie wpuszczono wiernych, którzy kłębili się tłumnie na zewnątrz. W środku było gwarnie, ale tym razem był to gwar bogaty i pachnący. Biskupi prowadzili głośne rozmowy, nie przejmując się powagą miejsca, w którym się znajdują. Dyskutowano o planach, zmianach, bogactwie, zagrożeniach, ale jak dotąd ani słowa nie wypowiedziano o Bogu. Szczelnie zamknięte drzwi katedry nie wpuszczały do środka odoru plebsu. Biskupi czuli się swobodnie. Nie musieli udawać. Korzystając ze spotkania, załatwiali swoje interesy.

Magnus von Rappard obserwował hierarchów z zakrystii przez lekko uchylone drzwi. Czekał na odpowiedni moment. Przybyli licznie. Jeżeli ich sobie zjedna, to podczas konklawe będzie na pewno dysponował wymaganą większością dwóch trzecich. Próbował liczyć głowy, ale dwukrotnie się pomylił.

– *Sześćdziesięciu dwóch, klecho...* – Biskup drgnął, słysząc w głowie niespodziewany szept demona. – *Ruszaj, nie stercz tak, zaczynajmy przedstawienie.*

– *Dziś postaraj się szczególnie, demonie* – odpowiedział w myślach von Rappard.

– *Klep te swoje paciorki, durny klecho, a resztę zostaw mnie. Twoja dusza już niedługo będzie moja.*

Magnus von Rappard skinął głową i kleryk Kurt potrząsnął dzwonkiem ołtarzowym. Biskup wyszedł wolnym krokiem z zakrystii i stanął przy mównicy. Rozejrzał się, łagodnie się uśmiechając, uniósł dłonie i poczekał dłuższą chwilę w tej pozycji, aż ucichł gwar rozmów.

– Witajcie, moi bracia w Panu naszym Jezusie Chrystusie – zawołał donośnym głosem. – Mam dziś wielki zaszczyt i traktuję to jak dar Najwyższego, że mogę powitać tak znamienitych świętych mężów w skromnych progach mojej katedry. Czytając list naszego Ojca Świętego Benedictusa, zwołujący synod w moim mieście, nie mogłem uwierzyć, że Pan Bóg i jego wysłannik na ziemi – Ojciec Święty, wyróżniają aż tak bardzo moją skromną diecezję. Daj, Panie, dużo zdrowia naszemu kochanemu papieżowi.

Po tych słowach przerwał na chwilę i głęboko się skłonił w kierunku obecnych.

– Na dzień dzisiejszy wyznaczono początek synodu – ciągnął dalej von Rappard. – Czekamy jeszcze na Ojca Świętego lub jego wysłannika z listami synodalnymi. Myślę jednak, że czas oczekiwania powinniśmy wypełnić modlitwą. Powstańmy zatem, bracia. Pozwólcie mi odprawić Najświętszą Ofiarę.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti!* – wyrzucił z siebie donośnie i słuchał z przyjemnością, jak echo odbija jego mocny głos.

Na twarze zebranych powoli napływała powaga. Odgłos pierwszych słów mszy jeszcze odbijał się w krużgankach katedry. Von Rappard czekał. Teraz miała nastąpić jego wielka chwila. Wszystko było przygotowane.

– *Domine...!* – wyśpiewał donośnie po dłuższej chwili von Rappard, lecz jego dalsze słowa przerwało głośnie łomotanie we wrota katedry.

Strażnicy poruszyli się niespokojnie. Łomotanie nie ustawało. Było coraz głośniejsze i coraz bardziej natrętne. Uniemożliwiało prowadzenie nabożeństwa. Biskup widział, jak Kurt zgodnie z ustaleniami zbliża się do wrót, przekręca klucz i rozwiera je. Drzwi świątyni otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

Do katedry weszło kilkunastu mężczyzn, niosących na białym kawałku sukna zawinięte w całun ciało. Za nimi szła powoli grupa szlochających i głośno zawodzących kobiet. Cała grupa przeszła powoli główną nawą w kierunku ołtarza, wzbudzając zdziwienie biskupów. Za wchodzącymi, ponownie z głośnym skrzypieniem, zamknięto wrota. Von Rappard wyszedł zza ołtarza naprzeciw grupy.

– Dobrzy ludzie, co się stało? Czemu przerywacie Najświętszą Ofiarę? – zawołał głośno, aby wszyscy słyszeli.

– Chcemy, byś uzdrowił naszego dobrego ojca Zygryda, kapłana tego miasta, człowieka, który oddał swoje serce wszystkim potrzebującym – odezwał się głośno starszy mężczyzna, który szedł na czele konduktu.

– Dobry człowieku, dlaczego chory jest w całunie? Odwińcie go – zawołał głośno von Rappard.

Starszy mężczyzna skinął na młodszych. Ci położyli ciało na posadzce i sprawnie odwinęli całun.

– Chryste Panie! Czarna śmierć! – krzyknął któryś z biskupów i liczne postacie w ciemnej zieleni zaczęły odsuwać się jak najdalej od leżącego.

Był on ewidentnie martwy. Nagie ciało w wielu miejscach pokryte było typową dla morowej zarazy czarną zgorzelą. W pachwinach i na szyi uwagę zwracały nabrzmiałe guzy, z których przez przetoki wydobyła się cuchnąca biaława treść. Oczy leżącego były otwarte i pokryte bielmem śmierci. W wielu miejscach widoczne już były typowe dla osoby zmarłej plamy opadowe.

– Dobry człowieku, tu już za późno na leczenie. Nasz brat jest u Pana – zawołał głośno von Rappard.

– Uzdrów go, biskupie, ciebie Bóg wysłucha, niech odda nam Zygryda, błagamy cię! – powiedział starszy mężczyzna i dał znak swoim towarzyszom, aby wszyscy uklękli przed hierarchą.

Von Rappard stał dumnie wyprostowany. Przez dłuższą chwilę był zatopiony w myślach.

– Dobrze – zawołał w końcu głośno i uniósł w górę dłonie. – Zawińcie go w całun z powrotem.

Mężczyźni wykonali polecenie i bojaźliwie się odsunęli.

– Panie!... Dobry mój Boże!... Pozwól mi w imię twoje przywołać tego człowieka! – Głos von Rapparda poniósł się po całej katedrze.

Słuchający go mieli wrażenie, że echo tego głosu nie cichnie, tylko wciąż z tą samą mocą odbija się od filarów katedry. W świątyni zrobiło się nagle ciemniej, jakby na zewnątrz zapadła noc i światło przestało wpadać przez wypełnione witrażami okna. Pochodnie również przygasły. Biskupi spoglądali na siebie ze zdziwieniem. I wtedy wewnątrz katedry gwałtownie powiał wiatr. Większość duchownych potraciła swoje nakrycia głowy. Mitry jak jesienne liście sfrunęły w kierunku wrót katedry. Nastąpiła chwila chaosu. Chwila ta trwała jednak krótko, gdyż została przerwana niewyobrażalnym wręcz wrzaskiem, potęgowanym przez echa katedry. Część osób w pierwszych rzędach zasłaniała dłońmi uszy, poszukując lekliwie źródła wrzasku. Był to krzyk bólu, lęku i szaleństwa. Wrzeszczała postać okryta całunem. Szarpała się teraz, jak w więzach, próbując wyplątać się z materiału. Stojący wokół mężczyźni jak sparaliżowani patrzyli na szamoczącą się postać, której w końcu udało się wydostać z całunu. Zygfyrd z szaleństwem w oczach wrzeszczał nadal i nie czekając, ruszył biegiem w kierunku wrót. Pomimo półmroku widać było doskonale, że naga postać Zygfyryda nie miała już cuchnących guzów, zmian zgorzelinowych ani plam opadowych. Była ewidentnie żywa i zdrowa na ciele. Świadkowie tej sceny usłyszeli po chwili głośne skrzypnięcie wrót i nagi Zygfyrd z wrzaskiem opuścił katedrę. Nastąpiła cisza.

– Dziękuję Ci, Boże, Ojczy, Chrystusie i Duchu Święty, że w imię Twoje pozwoliłeś mi przywołać naszego brata – przerwał ciszę podniosłym głosem von Rappard. – Wam również dziękuję, drodzy bracia biskupi, że wspieraliście mnie w tym swoją bezcenną modlitwą.

Magnus von Rappard spojrział teraz na swoją widownię, oceniając efekt, jaki wywarły jego słowa i całe zajście. Z zadowoleniem stwierdził, że był on piorunujący. Większość świadków cudu albo zalewała się łzami, albo klęczała, albo

wzniosła dłonie do góry i odprawiała modły. Niektórzy stali jeszcze odrętwieni i widać było, że wydarzenia dopiero powoli do nich docierają.

– Bracia moi, wróćmy do Najświętszej Ofiary – zawołał donośnie von Rappard.

– Niech będzie to ofiara dziękczynna za cud, który pozwolił mi Bóg uczynić dla tego człowieka.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti* – zabrzmiało znowu w katedrze.

– Amen – odpowiedzieli chórem biskupi, patrząc z zachwytem na Magnusa von Rapparda.

Biskup czuł się wspaniale, wracając z katedry do swojego gabinetu. Z każdym kolejnym krokiem rozpamiętywał spojrzenia poszczególnych duchownych, gratulacje, zapewnienia o sympatii, o poparciu, pełne szacunku pytania, w jaki sposób on, von Rappard, czyni te cuda. Delektował się tymi chwilami, gdy po mszy hierarchowie nie mogli się do niego dopchać, a każdy chciał zaistnieć w życzliwej pamięci tak ważnego biskupa jak on. Gdy wszedł do swojego gabinetu, skonstatował, że jego cud obejrzało sześćdziesięciu dwóch biskupów. I wszyscy bez wyjątku docenili jego wyjątkowość. Zrobił dziś milowy krok, aby zostać papieżem. Gdy to sobie uświadomił, poczuł znajome przyjemne rozpieranie pod sutanną.

– Inga! Kurt! Natychmiast do mnie! – wydarł się na cały głos.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i wywołane dwie postacie w milczeniu weszły do gabinetu.

– Zamknąć drzwi i rozbierać się! – powiedział pieszczotliwym głosem biskup, podciągając w górę sutannę i rozsiadając się na obitym czerwonym suknie krzesła.

– No jazda, suczki! Wiecie, co macie robić!

Wieczorem tego samego dnia w obszernym wnętrzu katedry rozstawiono stoły i nakryto je z wielkim smakiem i przepychem. Gospodarz nie szczędził też gościom

dobrego wina. Rozmowy oczywiście koncentrowały się wokół cudu wskrzeszenia oraz osoby gospodarza, biskupa Magnusa von Rapparda. Duchowni dziwili się również nieobecnością Ojca Świętego na synodzie, który sam zwołał. Tłumaczyli to stanem jego zdrowia. Nie potrafili jednak wyjaśnić faktu nieobecności wysłannika papieskiego, który w przypadku nieobecności papieża powinien dotrzeć z listami synodalnymi. Pojawiła się wśród biskupów wieść, że wysłannikiem tym ma być kardynał de Cuntis, prawa ręka Benedictusa XI. Krążyła również plotka, jakoby papież odwołał synod.

Biskup von Rappard przechadzał się z godnością, kolejno zaszczycając swoją obecnością wszystkie stoły. Jego rozmówcy wstawali i zwykle pochyłali się, aby nie wyróżniać się wzrostem przy filigranowej posturze gospodarza. Biskupowi bardzo się to podobało. Był już nawet nieco zmęczony tymi zapewnieniami o życzliwości i poparciu.

Von Rappard zadbał o to, by rozeszła się wieść o jego możliwym kandydowaniu na tron Stolicy Piotrowej i wielu hierarchów bezpośrednio go o to pytało. Gospodarz lubił, gdy ten temat był poruszany. Najbardziej irytowały go natomiast dziesiątki próśb biskupów, aby w wolnej chwili uleczył ich z setek różnych dolegliwości. Musiał wówczas zapewniać, że na pewno zajmie się tym w najbliższym czasie, jeszcze przed zakończeniem synodu.

W pewnej chwili hierarcha wyłowił wzrokiem hrabiego de Millow, stojącego w niewielkim kruzganku. Hrabia spojrział w stronę przełożonego i uniósł dłoń z kciukiem do góry. A więc wszystko gotowe. Von Rappard skinął głową i de Millow szybko się oddalił. Zaraz się zaczęło. Wziął głęboki wdech.

Od strony ołtarza odezwały się głośnie dzwonki ołtarzowe, które przerwały rozmowy przy stołach. Od strony ołtarza środkową nawą wszedł hrabia de Millow, prowadząc za sobą nieznanego biskupowi człowieka, który chodził w taki sposób, w jaki często chodzą żołnierze. Przybysze stanęli przed von Rappardem.

– Ekscelencjo! Wybacz, że zakłócam tak ważne spotkanie! – De Millow niemal wykrzykiwał słowa tak, by wszyscy go słyszeli. – Przybył kapitan Schultz z gwardii cesarskiej. Ma straszne wieści.

– Słuchamy, kapitanie – gospodarz głośno zwrócił się do oficera.

– Znaleźliśmy ciało kardynała de Cuntisa, Ekscelencjo. A przy nim listy od Ojca Świętego – rzeczowo odpowiedział oficer i podał biskupowi dokumenty.

– Co takiego się stało? Gdzie został znaleziony, kapitanie? – pytał głośno von Rappard.

– Ciało zostało odnalezione w Gros Raden, Ekscelencjo, było przywiązane do pogańskiego słupa ofiarnego, przebite setką pogańskich strzał.

We wnętrzu katedry zrobił się wielki harmider. Biskupi byli zbulwersowani. Niemal wszyscy znali kardynała osobiście.

– Kapitanie Schulz! – przekrzyczał harmider von Rappard. – Doszły nas wieści, że kardynał jedzie do Akwizgranu z Rzymu. Jak się znalazł cztery dni drogi na wschód od Akwizgranu?

– Jego konwój został napadnięty niedaleko stąd, Ekscelencjo, pod Gemund. Stoczono tam krwawą bitwę. W polu zostało ponad dwie setki trupów. Oddział kardynała bronił się dzielnie, ale ostatecznie chyba wszyscy obrońcy zginęli, a wóz kardynała uprowadzono. Znaleźliśmy go na rozstajach pod Gros Raden, a potem jego samego zmasakrowanego i sprofanowanego.

– Sprofanowanego? – dopytał von Rappard zimnym jak lód głosem.

– Tak, Ekscelencjo – odpowiedział o ton ciszej kapitan. – Kardynała wysmarowano ekskrementami, a jego złoty krzyż wsadzono mu głęboko do... hmm... Domyśla się Ekscelencja, gdzie.

Po tych słowach wśród biskupów powstała wrzawa. Von Rappard wsłuchiwał się z lubością w wyrazy niedowierzania i wściekłości hierarchów. Powoli odwrócił się i ruszył w kierunku mównicy. Wszedł na nią i spojrzał na całą katedrę dyskutujących między sobą biskupów.

– Proszę o chwilę ciszy, bracia moi w Jezusie Chrystusie! – Głos von Rapparda zabrzmiał nienaturalnie głośno i przejmująco.

Rozmowy umilkły w ciągu krótkiej chwili. Jego głos odbijał się od ścian i filarów katedry, nie cichnąc jeszcze przez dłuższą chwilę i potęgując wrażenie

niesamowitości.

– Bracia moi, Pan nasz każe mi teraz przemówić do was, więc to czynię. – Głos von Rapparda rozniósł się ponownie po całej świątyni, a główny dzwon katedry zaczął bić raz za razem jak oszalały. Przez huk przebijał się tylko głos von Rapparda. Nie tylko się przebijał, ale w niewytłumaczalny sposób chował się w krużgankach, by wrócić jeszcze bardziej spotęgowany. Biskupi słuchali wystraszeni.

– Bracia moi, kardynała de Cuntisa mamy uznać za świętego, a szczątki jego za świętą relikwię i czcić je mamy we wszystkich parafiach Chrystusowych. – Von Rappard uniósł ręce i głowę wysoko, jakby wsłuchując się w głos niebios. – Bracia moi – ciągnął po chwili dalej niesamowitym głosem, którego nikt nie spodziewałby się w ustach człowieka – Pan nasz żąda, by plugastwo pogańskie raz na zawsze wypłenić i dobre ziarno nauki Chrystusowej na całej ziemi zasiać. I mnie Pan czyni odpowiedzialnym za to, by odpowiednie zastępy rycerstwa Chrystusowego zebrać z pomocą waszą, bracia moi w Chrystusie.

Dzwon bił jak oszalały jeszcze przez dłuższą chwilę. Potem jednak zaczął cichnąć. W katedrze zapadła zupełna cisza, której nikt nie miał odwagi przerwać.

– Bracia moi – odezwał się głośno Magnus von Rappard, ale już swoim normalnym głosem. – Mam nadzieję, że będziecie mnie wspierać. To nasze wspólne wielkie dzieło dla samego Boga.

Biskupi potwierdzali, gorliwie kiwając głowami. Nadal nikt nie miał odwagi się odezwać.

Biskup Magnus von Rappard wrócił z katedry do swojego gabinetu. Dziś zrobił wielki krok na drodze do osiągnięcia celu. Był z siebie bardzo zadowolony. Nie zdążył jednak jeszcze nacieszyć się myślami o swoim dzisiejszym sukcesie, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał zirytowany.

– Hrabia de Millow do Ekscelencji – zaraportował strażnik.

– Niech wejdzie.

Oficer wszedł i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Ekscelencjo, znaleźliśmy ciało Kurta w izbie jadalnej. Powiesił się.

– To zabieraj go stąd, de Millow. Tylko po cichu. Zrozumiałeś? Żeby mi ten kmiotek wszystkiego nie zepsuł.

Hrabia nie zdążył odpowiedzieć, gdy do gabinetu wpadła zapłakana Inga.

– Ekscelencjo! Panie! Błagam! Zwróć mi go! Wskrześ Kurta, błagam! – Zanosząc się płaczem, dziewczyna rzuciła się do nóg biskupa. – Błagam! Zrobię dla ciebie wszystko, tylko mi go oddaj żywego, Panie! Wiem, że potrafisz, Ekscelencjo!

Biskup von Rappard zaśmiał się złośliwie, jakby z dobrego dowcipu, spojrzął na łzy dziewczyny moczące jego sutannę.

– Zabieraj mi ją stąd, de Millow – rzekł zimnym głosem. – Zabieraj mi tę kurwę. Zabierz ją dokładnie tam, gdzie zakopiesz jej chłoptasia.

Inga spojrzała w twarz biskupa i chciała dosięgnąć jej paznokciami, ale czujny hrabia odrzucił ją kopniakiem i zemdlałą wywłókł z gabinetu.

Biskup odetchnął z zadowoleniem. Wszystko szło w dobrym kierunku. Miał już tylko jedno zmartwienie. Nadal nie wiedział, gdzie jest cyrograf.

– *Demonie, znam twoje imię, twoje imię to Raguel.* – Magnus von Rappard wysłał myśl w przestrzeń. – *Już czas wykonać kolejne zadanie.*

– *Jak ja cię nienawidzę, klecho!* – zasyczał boleśnie demon. – *Wiedz jednak, że twoja śmierć już się zbliża i będziesz mi służył po wsze czasy.*

– *Zamknij się, brudny demonie! Zamknij się, Raguelu! Czas wykonać mój rozkaz, ten, o którym już rozmawialiśmy!* – Biskup starał się nie brzmieć na zalęknionego. – *Już czas, aby hierarcha w bieli odszedł z tego świata. Ma to wyglądać naturalnie.*

– *Jak ja cię nienawidzę, klecho!*

Rozdział 19

BEZ TYTUŁU

- Czy jest tu kto? Halo. Jest tu kto?
- *Siadaj, młody kleryku Magnusie von Rappard. Mów mi: Cień.*
- To jest twoje imię?
- *Moje imię poznasz, jak krwią dokument podpiszesz i duszę oddasz. To imię moc ci da i władzę nade mną do czasu twojej śmierci.*
- Jaką moc mi dasz?
- *Wszelką.*
- Czy nikt nie będzie potężniejszy ode mnie?
- *Tylko ten będzie potężniejszy od ciebie, kto jest potężniejszy ode mnie.*
- A jest ktoś taki?
- *Niewielu.*
- Co będzie po mojej śmierci, Cieniu?
- *Ja po duszę twoją przyjdę, a potem po dusze wszystkich twoich potomków. Będziecie mi służyć po wsze czasy.*
- Kiedy nastąpi moja śmierć?
- *Dzień twojej śmierci jest w twojej gestii, Magnusie. Ja jej nie przyspieszę ani jej nie opóźnię.*
- Gdzie mam podpisać, demonie?

- *Krwi z nadgarstka utocz i podpis krwawy piórem złóż, Magnusie.*
- Skąd ten mrok, demonie? Co ukrywasz?
- *Postać moją ukrywam przed tobą w mroku, abyś nie oszalał.*
- Nie widzę, co podpisuję w tej ciemności, demonie.
- *Podpisujesz cyrograf, Magnusie... Otrzymasz moc za duszę.*
- Czym ty podpiszesz dokument? Krwią?
- *Nie mam krwi, Magnusie. Mam tylko mrok. Podpiszę diabelskim węglem.*
- *Złożyłem podpis, demonie. W tym mroku widzę twoją biel. Teraz twój podpis.*

I podaj mi swoje imię.

- *Złożyłem mój podpis, człowieku marny, moje imię Raguël, jesteś już mój.*

Biskup von Rappard zerwał się z łóżka, wydając z siebie przeciągły skowyt, przechodzący w niepohamowany wrzask, który po chwili ścichł i zakończył się szlochem. Strażnicy już nie czekali na następujący w takiej chwili stanowczy rozkaz opuszczenia pomieszczenia, tylko sami z przerażeniem na twarzach wybiegli z komnaty sypialnej. Zlany potem i zalany łzami von Rappard uniósł w górę twarz.

– *Ty skurwielu* – wysłał myśl w przestrzeń. – *Wiem, że tu jesteś, zawsze jesteś w zakamarkach cienia.*

Odpowiedział mu jedynie chichot i dwa słowa:

- *Jesteś mój.*

Rozdział 20

PODRÓŻ

Już od kilku wschodów słońca byli z Rowenną w drodze. Podążali wciąż na zachód. Wydarzenia z Łysej Góry zaczęły się już powoli Radosławowi zamazywać i gdyby nie jego towarzyska podróży, uznałby je za sen. Zgodnie z życzeniem Bezcielesnej jechali tylko we dwoje. Mężczyzna próbował spierać się z nią, że należy zabrać choć ze dwa tuziny wiernych zbrojnych z okolicznych osad, ale Rowenna zdecydowanie stwierdziła, że będą tylko zawadzać i wprowadzać niepotrzebny hałas. Uważała, że gdy będą podróżować sami, nikt ich nie zobaczy. I rzeczywiście, wybierała takie ścieżki, które okazywały się puste. Nie mniej jednak trzecie magiczne oko Radosława było wciąż czujne.

– O czym tak wciąż myślisz, Radosławie? – zapytała Rowenna, uśmiechając się.
– Wciąż masz taką skupioną twarz.

– Przeglądam okolicę – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Nie czuję ludzi nigdzie wokoło. Natomiast przed nami podąża cały czas kilka wilków.

Mężczyzna wskazał na świeże tropy paru dużych osobników.

– One idą z nami. Są przed nami i za nami. Nie martw się nimi. Są naszymi oczami, uszami i nozdrzami. – Rowenna zaśmiała się swobodnie.

– Czy naprawdę musimy jechać tak daleko na zachód? Bez eskorty? Sami? Możemy znaleźć się w potrzasku – wyraził swoje wątpliwości rycerz. – A co, jeżeli

ta wizja była fałszywa? Co, jeżeli jedziemy prosto w pułapkę?

– Musimy zdobyć ten artefakt, Radosławie – odpowiedziała spokojnie Rowenna.

– Musimy go odczytać. Możliwe, że to ty będziesz musiał go odczytać, jeżeli będzie napisany w języku, którego nie znam.

– Wierzysz, że znajdziemy tego trupa i to, co spoczywa w jego gardle?

– Tak, Radku, tego jestem pewna. No... prawie. I czuję, że to może zmienić obraz naszego świata. Mam nadzieję, że na lepsze.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Ich konie powoli szły stępa.

– Coś jeszcze cię trapi, Radosławie. Prawda? – zapytała dziewczyna. – Widzę to wyraźnie na twojej twarzy. Ona jest jak otwarta książka.

– Masz rację, Rowenno – przyznał rycerz. – Zastanawiam się nad sensem tego wszystkiego.

– Nad sensem wszystkiego? – Dziewczyna uśmiechnęła się pogodnie. – Zawsze myślałam, że jesteś rycerzem, a nie filozofem.

– Och, znów się ze mną droczyysz! – Jego twarz wypogodziła się. – Zastanawiam się nad sensem tej ciągłej, niekończącej się walki, Rowenno.

– Myślisz, że nie ma w niej sensu, Radosławie? Dlaczego tak sądzisz? – zapytała, tym razem poważniej.

– Wiele lat temu również odnalazłem Bezcielesną. Również byłem jej towarzyszem. Chroniłem ją. I na nic się to zdało. Ponieśliśmy porażkę. Teraz siły wroga wydają się być jeszcze większe, a Bezcielesna wydaje się być jeszcze bardziej delikatna – wyrzucił z siebie Radosław.

– Dobrze, Radosławie, że wypowiedziałeś na głos te obawy. – Rowenna rzuciła mu uważne spojrzenie i zamyśliła się.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Radosław czekał na kolejne słowa dziewczyny.

– Czy wiesz, Radosławie, czym różnią się te dwie religie? Religia chrześcijańska i nasze odwieczne wierzenia? Chrześcijaństwo głosi potrzebę miłości pomiędzy ludźmi, jednak począwszy od najwyższych kapłanów, nikt tej

zasady nie przestrzega. Jest w nich więcej nienawiści, samolubstwa i skąpstwa niż miłości, altruizmu oraz hojności. Dlatego ich bóg jest całkiem uśpiony, bo tak naprawdę nikt nie wyznaje go czynem. Natomiast potęgą jest Zły, ich demon, który omamił kapłanów, choć oni wcale tego nie widzą. On dąży do powiększenia przemocą swojej potęgi, choć na sztandarach rycerstwa powiewają flagi boga. W interesie Złego jest postęp takiego chrześcijaństwa, które pod pretekstem miłości wiedzie ludzi do nienawiści, wojen, grabieży i wszystkiego, co ohydne.

A czymże są nasze wierzenia, Radosławie? One nie nakazują miłować wszystkich wokoło, choć miłość też w nich jest obecna i często jest warunkiem zaistnienia cudu narodzin. Nasze wierzenia zachęcają, by postępować zgodne z naturą. Jest w nich miejsce na rywalizację, zabijanie, aby zdobyć pożywienie, zabijanie, aby przeżyć. Natura jest czasem okrutna, ale jest równowagą, Radosławie. A równowaga gwarantuje przeżycie i dalsze istnienie. Miłość tego nie gwarantuje. Natura wykazuje więc wyższość nad miłością wobec wszystkiego.

Bo czyż wilk może miłować sarnę i przeżyć? – argumentowała Rowenna. – Czyż ryba może miłować mewę i przeżyć? Czyż takie miłowanie nie doprowadziłoby do wymarcia wilków i ryb z głodu? A czyż w następnej kolejności nie wymarłyby sarny i mewy? Zmagania i walka są istotą natury. Zmagania, które sprzyjają równowadze i doskonaleniu gatunków.

Nasze bóstwa nie dążą do ekspansji ponad wszelką miarę, jak bóg chrześcijan. Nasze bóstwa są zwykle parzyste i zantagonizowane, co sprzyja tej naturalnej równowadze. Perun od początków rywalizuje z Walesem, ale żaden nie zwycięży drugiego na nie swoim terenie. Nasi bogowie opiekują się światem i naturą: Swaróg ogniem, Dadźbóg słońcem, Chors księżycem, Mokosz przyrodą, Marzanna zimą. Nawet nasze małe demony i demonice, pozornie okrutne, mają swój sens istnienia i przynoszą korzyść naturze. Dzięki obawom przed utopcami ludzie są nad wodą ostrożniejsi i dzięki temu mniej się ich topi. Dzięki obawom przed południcami unikają niezdrowego południowego słońca. W każdym stworzeniu naszej starej wiary znaleźć można jakieś dobro i sens, choć nie ma w nich czystej miłości, jak

w utopijnych zasadach chrześcijaństwa. Miłość bezwarunkowa szybko wykończyłaby naturę i cały świat, Radosławie.

Wąską ścieżkę, po której podążali, otaczały krzaki poziomek. Owoce były dorodne, a ich intensywny zapach unosił się po całym lesie. Byli chyba daleko od jakichkolwiek ludzkich osad, bo w przeciwnym wypadku tak dorodne owoce byłyby na pewno zebrane.

– Nasz panteon bóstw koncentruje się na utrzymaniu równowagi, Radosławie – kontynuowała po chwili zastanowienia Bezcielesna. – Chrześcijaństwo zagraża równowadze. Chrześcijańskie miłowanie jest jak topór przyłożony do... – tu dziewczyna zastanowiła się chwilę – jednej z nóg trójnożnego stołu. Odrąbanie jej zniszczy bezpowrotnie i wywróci mebel. Chrześcijańskie miłowanie jest jak szczeniak kęsający nogę jednego z dwóch zmagających się w uścisku olbrzymów.

Radosław słuchał wywodu Rowenny z wielką uwagą. Trudno byłoby mu podważyć choćby jedno zdanie z jej wypowiedzi. Uśmiechał się do siebie w duchu, bo miał świadomość, że ponad dwustuletni kapłan wysłuchuje właśnie wykładu teologicznego piętnastolatki. Rozmowa była jednak bardzo ciekawa, a konie powoli szły stępą przez krzaki poziomek.

– Nasi bogowie, Radosławie, nie mogą oddać się w całości walce z chrześcijaństwem – kontynuowała swój monolog dziewczyna – gdyż ucierpiałyby na tym równowaga natury i nie wygrałoby tego starcia ani chrześcijaństwo, ani stara wiara. Wygrałby wówczas Zły, demon chrześcijaństwa, bo doprowadziłby świat do upadku.

– Dlatego bogowie oddają część swoich mocy Bezcielesnej. Aby pomogła w obronie starej wiary – wtrącił Radosław – a sami mogą robić swoje, czyli dbać o równowagę.

– Dokładnie tak – odpowiedziała Rowenna. – Oddają część mocy, a sami wciąż dbają o równowagę, która jest warunkiem utrzymania życia na ziemi.

Radosław rozejrzył się swoim trzecim okiem po okolicy. Nie było w jego zasięgu żadnych ludzkich istot. To go uspokoiło.

– A dlaczego Bezcielesna zawsze jest kobietą? – zapytał przewrotnie rycerz. – Czy to nie mężczyzna powinien walczyć w imieniu bogów, być wodzem, posiadać moc?

Odpowiedział mu szczery śmiech dziewczyny.

– Zabawny jesteś, Radosławie – powiedziała, ciągle szeroko się uśmiechając, Rowenna. – Mężczyzna przecież na pewno by tej walki nie wygrał.

– Ale jak to? – dopytywał zbity z tropu rycerz. – Mężczyzna na pewno lepiej by sobie poradził w walce niż białogłowa, Rowenno. Nie obraż się, ale każdy wie, że tak jest.

– Bogowie jednak myślą inaczej, mój męski rycerzu. W Twojej głowie, Radku mój drogi, wojna jest starciem mężów, ale czy nasi mężczyźni lasu, choćby najdzielniejsi, są w stanie wygrać z zakutą w żelazo zachodnią cywilizacją wojny? Nie, Radosławie. Tu walczyć musi Natura. Natura kobieca, bo Natura jest kobietą. Ona musi walczyć. Czy znasz potężniejszy żywioł niż natura kobieca? Znasz li ty wściekłość zranionej kobiety?

W tym momencie twarz Rowenny przybrała wyraz bezgranicznej nienawiści. Radosława przeszedł dreszcz i poczuł na plecach spływającą kropelkę potu.

– Nie znam... chyba... – odpowiedział rycerz nienaturalnie cicho.

– A znasz li ty podstępność kobiecej natury? – kontynuowała z pasją Bezcielesna. – Cóż uczynią żelazni ciężkozbrojni w podstępnej mgle? Poszarżują na drzewa?

W tym momencie Radosław usłyszał wydany przez dziewczynę złośliwy chichot tak straszny, że zdrętwiała mu twarz i nie mógł odpowiedzieć na pytanie. Omal nie spadł z konia.

– Przepraszam, Radku, że cię wystraszyłam. Chciałam ci tylko wyjaśnić istotę Natury. – Dziewczyna roześmiała się tak słodko, jak nie potrafi nawet żadna rusałka, a wystraszone zmysły Radosława niemal natychmiast doznały ukojenia.

– Ale nie martw się, Radku mój drogi, dla ciebie też znajdzie się miejsce na tej wojnie. Mógłbyś na przykład wieczorem przynieść więcej drewna, by nie było mi

tak zimno jak wczoraj – rzuciła i znów uśmiechnęła się zalotnie.

– Czasem to miałbym ochotę dać klapsa tej małej – wyszeptał Radosław, tak by dziewczyna go nie usłyszała.

Rowenna roześmiała się głośno.

A jednak usłyszała – pomyślał Radosław i zaczerwienił ze wstydu.

– Kontynuując temat płci i wojny, Radosławie – Rowenna mrugnęła do niego wesoło – wiedz, że bogom męskim często wydaje się, że to w ich rękach jest potęga. Kobięce boginie są świadome, że wiara mężczyzn w swoją siłę jest dla nich ważna, więc nie wyprowadzają ich z błędu, tylko sprytnie wykorzystują zwiększoną przez ich samozadowolenie męską siłę.

Radosław nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie zdążył zaprotestować, gdyż dziewczyna zaczęła kontynuować swój wywód.

– No i czemu patrzysz z takim niedowierzaniem, drogi przyjacielu? Perun i Wales, czyli pierwsi, pierwotni, najwięksi bogowie, już o tym wiedzą. Już się o tym przekonali na własnej skórze. Pomyśl tylko, Radosławie. Znasz dobrze historię naszych bogów. Perun i jego wodne odbicie – Wales – byli pierwsi. I zaraz po nich na stworzonym świecie pojawiła się Mokosz, wielka bogini Natury. To nie Wielcy Pierwsi ją stworzyli, ona powstała sama. Współżyjąc z Perunem, Mokosz zrodziła Strzyboga, boga wiatru. Współżyjąc z Walesem, zrodziła Roda, boga ludzkich losów i opiekuna rodzin. Potem przetrwała gniew wielkiego Peruna, który dowiedział się o zdradzie. Przetrwała, bo miała umiejętności wykraczające poza brutalną siłę. Miała w sobie piękno, urok, czar, kobiecy spryt i żelazną determinację. Ona jest nieśmiertelnym pięknem tego świata, Radosławie. Płodnością tego świata. Wszystko, co żywe, jest jej dziełem. Ty też jesteś jej dziełem, mój drogi.

Radosław chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo Rowenna znów była szybsza.

– Tak jak spalony las powraca, tak samo powraca Natura – tłumaczyła dalej dziewczyna. – Regeneruje się zawsze, choć powoli. Zwykle trwa to ponad pół wieku. Dlatego co pół wieku bogowie mogą spłodzić ducha Bezcielesnej.

– Tego nie wiedziałem, Rowenno – zdziwił się Radosław. – Szukałem kandydatki na Bezcielesną całe pięćdziesiąt lat. Wygląda na to, że przez pierwsze czterdzieści dziewięć szukałem jej bez sensu.

– Na pewno był w tym sens, Radku, choć w tej chwili tego nie widzisz – odparła dziewczyna. – Dzięki temu, że szukałeś, poznaliśmy się już trzy lata temu. – Rowenna zalotnie uśmiechnęła się do rycerza, a Radosław kiwnął głową, przyznając jej rację. – Kobieca natura pozbawiona jest typowo męskich wad – ciągnęła dalej Bezcielesna. – Nieposkromionej ambicji i bezgranicznego okrucieństwa. Kobieca natura nie będzie dążyć do całkowitej i definitywnej eliminacji przeciwnika, ale do równowagi. Moim celem w tej wojnie nie jest zabicie wszystkich przeciwników, ale zabicie tylko tylu, ilu będzie konieczne.

– *Oj, bo się wzruszę.* – Radosław usłyszał w głowie kąśliwy komentarz Swaroga, swojego boskiego opiekuna.

– *Pamiętaj, Swarogu, że ja też cię słyszę* – rzuciła w przestrzeń myśl Rowenna, uśmiechając się szeroko.

– *Och, wybacz, pani* – zawstydził się bóg i zamilkł.

Radosław długo nie potrafił otrząsnąć się ze zdziwienia. Jego wielki bóg ognia skarcony przez dziewczynkę?! Nie może to być!

Słońce już dawno schowało się za horyzontem. Rycerz zarządził postój. Uwiązał konie i bardzo sprawnie rozbił obóz. Zgodnie z sugestią Rowenny uzbierał tego wieczora więcej drewna i chrustu. Zdrożeni zasnęli, owinięci szczelnie każde w swoją grubą niedźwiedzią skórę. To był ich ósmy nocleg od momentu opuszczenia Łysej Góry.

O brzasku Radosław poruszył się niespokojnie. Jego niezawodne ucho myśliwego wyłowiło z kniei szelest. Starając się nie wydać żadnego dźwięku ani nie poruszyć zbyt zamasyście, sięgnął po miecz.

– Rowenno, nie ruszaj się! – szepnął. – Ktoś jest na zachód od obozu! Słyszysz mnie?

– To tylko niedźwiedź, Radku – wesoło i głośno odpowiedziała dziewczyna. – On tu nas dziś strzeże.

– A jeżeli to ludzie?! – nie dowierzał Radosław, choć jego trzecie oko nie wykrywało ludzkich myśli.

Rowenna zachichotała, wstała i wyciągnęła dłoń w kierunku, z którego dotarł dźwięk. Po chwili szelest pojawił się ponownie, szybko zamienił się w głośne trzaski połamanych gałęzi i tętent ciężkich łap na miękkiej ściółce lasu.

Wielka włochata bestia wypadła spośród drzew, cwałując w kierunku drobnej postaci Rowenny. Radosław skoczył na równe nogi, zrobił dwa szybkie kroki w stronę Bezcielesnej i uniósł miecz.

– To przyjaciel, Radosławie! – zakrzyknęła szybko dziewczyna. – Opuść miecz.

Radosław w pierwszej chwili nie uwierzył swojej towarzyszce, ale niedźwiedź wyhamował swój cwał, spuścił pokornie głowę, zapiszczał tęsknie, ominął rycerza, nawet na niego nie spoglądając, i pieszczotliwie włożył swój wielki łeb pod pachę Rowenny.

– Ożeż, niech mnie piorun jasny strzeli! – wypowiedział powoli Radosław, patrząc, jak dziewczyna targa wielki futrzany łeb zwierzęcia.

– Nie przeklinaj, Radosławie. To nieładnie – upomniała go z uśmiechem.

– Dobrze, dobrze... – odpowiedział i opadł na ziemię rozemocjonowany nagłym zdarzeniem.

– Zobacz, jaki on przyjazny. – Teraz dziewczyna ciągnęła bestię za uszy, a wielki niedźwiedź wydawał się być zachwycony tym faktem. – On ma na imię... I tu z ust Rowenny popłynął głośny ryk niedźwiedzi.

Zachwycona bestia wydała identyczny przeciągły ryk, aż Radosławowi ze zdziwienia wypadł z ręki miecz.

Rozdział 21

AISHA

Wóz podskakiwał na wybojach, ale biskup krakowski Jan Muskata dzielnie znosił te niewygody. Ulice Cracovii w większości nie były wybrukowane i po jesiennych deszczach zwykle zamieniały się w rwące potoki. Aż dziwne, że tak wygląda stolica tak rozległego kraju. Dziurawe ulice stanowiły kolejny powód, dla którego biskup nie lubił tego miasta. Pierwszą i zasadniczą przyczyną jego niechęci do Cracovii był wszechobecny smród i brud na ulicach. Drugą – nie mniej ważną – brud moralny. Ta stęchlizna starych wierzeń zakorzeniona głęboko w umysłach tubylców. Obejmując urząd, nie miał świadomości, na jak mało żyzną glebę padać będzie w kraju Polan rzucane przez niego ziarno nowej wiary. Przybywając tu z okolic Gniezna, spodziewał się większych sukcesów misyjnych. Nie był w stanie zrozumieć oporu miejscowego ludu przed wspaniałością miłosierdzia Chrystusa i miał zamiar ten opór zdławić. Niestety mieczem musi nauczyć ich miłować Chrystusa. W kwestii owego siłowego rozwiązania problemu pogaństwa w tej części Europy, bardzo liczył na pomoc świętej pamięci Ojca Świętego Benedictusa XI. Zawiódł się jednak na nim. Przez cały pontyfikat tego papieża czekał, aż ten porwie chrześcijańskie rycerstwo Cesarstwa, by krzewić wiarę w Chrystusa wśród niewiernych, jednak się nie doczekał. Lecz teraz, gdy choroba pokonała Benedictusa, być może jego następcą spełni oczekiwania.

Biskup cierpliwie znosił niewygodę jazdy po nierównościach. Rozmyślał. Zastanawiał się, co może oznaczać to pilne, niespodziewane zaproszenie do wojewody Ernesta Gerssiusa i to przekazane w tak nieregularny sposób – ustnie, przez umyślnego, zaufanego człowieka wojewody, bez zachowania formalnego pisemnego trybu. Gerssius był osobą w zasadzie władającą tym miastem. Król Wacław bardzo często przebywał gdzieś indziej i najczęściej uwikłany był w czeskie sprawy swojej dynastii.

Wojewoda wielokrotnie już zapraszał biskupa do zamku, ale zawsze odbywało się to według wszelkich procedur i bez zbędnego pośpiechu. Wcześniejsze zaproszenia zawsze miały związek z pochwyconymi przez wojsko kapłanami pogańskimi. Biskup miał zdecydować o ich dalszym losie. Najczęściej, po kilku dniach zastanowienia, nakazywał zakończenie losów takiego kapłana, chyba że tamten mógł być w jakiś sposób użyteczny. Dzisiejszy tryb zaproszenia sugerował, że sprawa jest pilna i najwyższej wagi. Może miało to związek z jego jutrzejszym wyjazdem do Rzymu.

Wóz wjechał przez bramę na dziedziniec zamkowy i powoli się zatrzymał. Służba podbiegła szybko i podstawiła schodki pod drzwiczki wozu. Biskup wstał, sprężysto zszedł po stopniach i stanął na dobrze oczyszczonym bruku. Spodziewał się służby, która zaprowadzi go do gabinetów wojewody, a tymczasem zobaczył jego samego, wychodzącego mu na spotkanie.

– Wybacz, Ekscelencjo, drogi Janie, że w tak niecywilizowany sposób cię zaprosiłem, ale jak sam zobaczysz, sprawa jest niecierpiąca najmniejszej nawet zwłoki i bałem się, że będę musiał cię zawracać jutro z drogi do Stolicy Apostolskiej. – Wojewoda Gerssius, będący jednocześnie przyjacielem biskupa, tradycyjnie od razu przechodził do sedna sprawy.

– Jesteś jak zwykle znakomicie poinformowany, drogi Erneście. – Biskup uśmiechnął się. – Skąd wiedziałeś, że wyruszam jutro?

– Och, drogi Janie, wydaje mi się, że aby na pewno zdążyć na konklawe, powinieneś wyruszyć już dwa dni temu, więc nietrudno się domyślić, że skoro jesteś

jeszcze w Cracovii, to ruszasz jutro. – Wojewoda jak zwykle miał dobrą odpowiedź na każde zadane pytanie.

– Sądysz, że dwa tygodnie nie wystarczą? – zaniepokoił się biskup.

– Jeżeli chcesz korzystać z powozu, to przy obecnym stanie dróg będzie to bardzo trudne, Janie – rzekł przyjaźnie wojewoda. – Ale mam dla ciebie coś, co – jak sądzę – sprawi, że będzie ci się bardzo spieszyć do rzymskiego Lateranu.

Biskup Jan Muskata spojrział na wojewodę z niepokojem. Ernest Gerssius był zawsze człowiekiem poważnym. Teraz hierarcha też czuł, że wojewoda nie żartuje.

– Co masz dla mnie, wojewodo?

– Chodź, Ekscelencjo, zapraszam. Moja niespodzianka czeka w gabinecie.

Ruszyli korytarzem, mijając licznych strażników, aż w końcu zatrzymali się pod jednymi z wielu drzwi. Wojewoda otworzył je i weszli do środka. Gabinet był bardzo przestronny. Biskup ze zdziwieniem zauważył, że pomieszczenie było wypełnione żołnierzami, którzy zwartym kołem otaczali jakąś siedzącą na środku osobę.

Dopiero gdy szpaler żołnierzy rozsunał się karnie, biskup zobaczył, że na środku pomieszczenia, na rzeźbionym fotelu wojewody, siedzi około pięćdziesięcioletnia kobieta o kruczoczarnych włosach. Była czysta, zadbana i mimo że nie wyglądała na niewiastę z wyższych sfer, miała na sobie piękną zdobioną suknię. Tę suknię biskup od razu skojarzył. To jedna z sukien świętej pamięci Anny, małżonki wojewody. Biskup spojrział w dół. Lewą kostkę kobiety obejmowała żelazna obręcz, do której przyczepiony był gruby łańcuch, prowadzący do dużej ołowianej kuli.

– Ta kobieta nie wygląda zupełnie na pogańską kapłankę, Erneście – stwierdził biskup.

– Masz rację, Janie, ona nie jest poganką.

– Kim zatem jest, u licha, że ubrałeś ją w suknię swojej świętej pamięci Anny, a jednocześnie zakłułeś w kajdany?

– To czarownica, Janie.

– Czarownica? Zaprosiłeś mnie tutaj, bo ująłeś czarownicę, Erneście? Nie żadną kapłankę, tylko zwykłą czarownicę? I podarowałeś jej tę suknię? – Biskup nie dowierzał w to, co usłyszał.

– Dokładnie tak, Ekscelencjo Janie, mój przyjacielu – odpowiedział wojewoda. – Na początku wcale nie miałem zamiaru zawracać ci nią głowy. Choć, co prawda, ująłem ją na terenie jednego z pogańskich sanktuariów, ale od razu było widać, że żadna z niej kapłanka; tylko ją udawała. A podczas tortur okazało się, że doskonale zna łacinę i germański...

– Nie wygląda na torturowaną, Erneście, chyba wychodzisz z wprawy – zażartował biskup Muskata.

– Szybko przerwałem tortury, Janie, gdy po germańsku, a potem po łacinie powiedziała, że ma dla mnie ważne informacje – rzekł z powagą gospodarz. – A rany, które zdążył zadać jej kat, zagoiły się niewiarygodnie szybko.

– A to ciekawe... – zainteresował się biskup. – Skąd zna te języki?

– Mieszkałyśmy wiele lat w Akwizgranie, Ekscelencjo – powiedziała kobieta płynnym germańskim. – Potem musiałyśmy uciekać przed biskupem Magnusem von Rappardem.

– Cóż w tym dziwnego, że biskup ścigał czarownicę – powiedział Jan Muskata, uważnie patrząc na młodą jak na swój wiek twarz więźniarki.

– Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nas ścigał za czary. – Wzrok czarownicy spoczął dokładnie na oczach biskupa. – Ale motywy Magnusa były inne, Ekscelencjo.

– Nas? – dopytał biskup.

– Nas, Ekscelencjo. Mnie i moją siostrę Rebecę, która duchem cały czas jest ze mną.

– A jakież były jego motywy, czarownico? – W głosie biskupa słychać było nieufność.

– Chciał nas uciszyć, Ekscelencjo, za dużo o nim wiemy. – Czarownica ani na chwilę nie przerwała kontaktu wzrokowego z biskupem.

– Och, drogi Erneście – Muskata zwrócił się do wojewody, nadal patrząc na kobietę. – Obawiam się, że dałeś się zwieść tej spryculi.

– Też na początku myślałem, że ta kobieta mnie zwodzi, ale pokazała mi pamiętnik swojej siostry bliźniaczki. – Wojewoda podał biskupowi oprawiony w skórę gruby notatnik.

Hierarcha dłuższą chwilę ważył księgę w dłoni, jakby wahając się, czy warto ją otwierać. Biskup wiedział, że są księgi, których otwierać nie należy. W końcu jednak przekręcił okładkę, spojrzął na pierwszą stronę i zaczął czytać pierwsze zapisane, pięknie wykaligrafowane łaciną zdania:

Trzecia noc po nastaniu pierwszej pełni roku 1293, licząc od narodzin Chrystusa.

Akwizgran

Rebecca Linde

Ostrzeżona przez duchy o czekającej mnie zdradzie, tej nocy zaczynam spisywać relacje dni moich minionych oraz wydarzeń teraźniejszych. Zanim czwartą pełnię rok obecny zobaczy, zostanę zdradzona przez diabła w ludzkiej skórze, Magnusa von Rapparda, obecnie biskupa tego miasta. Relację tę spiszę możliwie wiernie i siostrze mojej bliźniaczce Aishy Linde w ręce oddam, by na wschód z nią uchodziła i by w czas odpowiedni treść jej ujawniła. Wówczas ciała mojego już nie będzie, ale duch mój, mam nadzieję, z siostrą pozostanie.

W relacji tej opisuję, jak pomogłam kanonikowi Magnusowi von Rappardowi zawrzeć pakt z demonem. W zamian za swą duszę i dusze wszystkich swoich dzieci, kupił on od demona jego pomoc w życiu doczesnym. Krwią swoją cyrograf podpisał i moc zła do dyspozycji otrzymał. Od morderstw drogę swą ku sławie, majątności i zaszczytom rozpoczął, które poniżej opisuję. Opętany został wieloma żądzami, ale

największą spośród nich jest żądza awansu na papieża. Nie spocznie, póki tego nie osiągnie. Tylko prawda opisana przeze mnie może temu zapobiec.

Magnusa von Rapparda zobaczyłam po raz pierwszy, gdy miał 10 lat. Był bardzo wątłym chłopcem, wyśmiewanym przez rówieśników...

Biskup przerwał czytanie.

– A więc masz na imię Aisha... – zaczął zamyślony – i celowo oddałaś się w ręce żołnierzy?

– Tak, Ekscelencjo, siostra mówi mi, że wydarzenia zaczęły przyspieszać, już nie ma czasu na zwłokę...

– Co ci jeszcze siostra mówi?

– Że papież nie żyje, że zbliża się wybór nowego i że morderca mojej siostry ma szansę wygrać i osiągnąć swój cel.

– A skąd ja mam być pewny, że właśnie za tym nie kryje się diabelska intryga, żeby zdyskredytować dobrego kandydata? – Biskup uważnie spojrzał na czarownicę.
– Powiem ci, wiedźmo, że to jest mój osobisty faworyt.

W oczach Aishy Linde nie było strachu.

– Rebecca to widzi, Ekscelencjo. Wie, że liczysz na pomoc nowego papieża w zniszczeniu pogaństwa. Wie, że dotąd uważałaś Magnusa za gwaranta zdecydowanych rozwiązań tutaj na wschodzie. Wie też, że naprawdę robisz to w imię swojej wiary, a nie dla własnych celów. I właśnie dlatego wybór padł na ciebie... – Czarownica mówiła, kładąc nacisk na każde poszczególne słowo.

– Wybór padł na mnie? – Duchowny zdziwił się słowami czarownicy.

– Dokładnie tak, biskupie Janie Muskata – ciągnęła dalej wypowiedź Aisha. – Wybór padł na ciebie, bo Rebecca twierdzi, że jesteś bardziej przywiązany do swojej wiary niż do własnych korzyści. Dlatego też to tu, w Cracovii, ujawnia się prawda i dlatego w twoje ręce trafia jej manuskrypt. Przeczytaj go, Ekscelencjo, proszę, i przeczytaj go szybko, bo czas już nagli...

Biskup jeszcze raz przyjrzał się uważnie czarownicy, a następnie odwrócił się w kierunku wojewody.

– Przeczytałeś ten pamiętnik, Erneście? – zapytał z wahaniem w głosie.

– Przeczytałem, Janie.

– I co sądzisz? – zapytał biskup i z uwagą wpatrywał się w przyjaciela.

– Coś może być na rzeczy, drogi Janie. – Pomimo że w gabinecie panował chłód, po czole wojewody płynęła kropla potu. – Ty na pewno rozstrzygniesz to lepiej niż ja. W końcu masz święcenia.

– Dobrze zatem, zapoznam się z pamiętnikiem czarownicy. Zrobię to bezzwłocznie – rzekł biskup, ruszył w kierunku drzwi, ale zaraz zatrzymał się i odwrócił. – Czy ty wiesz, czarownico, że nawet jeśli się okaże, że masz rację i przysłużysz się Kościołowi, to i tak taki wierny sługa Chrystusa jak ja będzie musiał cię spalić lub utopić? – To powiedziawszy, starannie obserwował reakcję kobiety.

Aisha uśmiechnęła się ze spokojem.

– Wiem, Ekscelencjo. Rebecca mówiła mi o tym, że kara z twoich rąk zapewne mnie nie ominie. Ale obie już chcemy połączyć się i opuścić w końcu po tylu latach ten straszny świat.

– Trafisz prosto do piekła, kobieto. Używałaś czarów – powiedział ze smutkiem Jan Muskata.

– To nie jest jeszcze przesądzone, biskupie. Widzę, że czarownica bardziej od hierarchy ufa w Boże miłosierdzie. Rebecca mówiła mi, że na pewno nie odmówisz mi osobistej spowiedzi. – Wiedźma, mówiąc to, uśmiechnęła się zagadkowo.

Biskup Jan Muskata w myślach przyznał jej rację, odwrócił się i opuścił pomieszczenie. Czuł lęk przed czytaniem pamiętnika Rebekki. Wiedział jednak, że trzeba ten lęk niezwłocznie przezwyciężyć i usiąść do tej lektury.

– Boże, daj mi mądrość, bym nie zbłądził – pomodlił się w duchu.

Rozdział 22

HABEMUS PAPAM

Pałac papieski na Lateranie wypełniony był purpurą kardynalską i ciemną zielenią biskupią. Pod wysokim sklepieniem głównej sali pałacowej elektorzy gromadzili się w grupki i cicho rozmawiali w swoich wewnętrznych gronach. Szepty niosły się po sali. Okiennice były szczelnie zamknięte, by odizolować się od nieprzebranego tłumu, który od wczesnych godzin porannych zgromadził się w otoczeniu Arcybazyliki św. Jana Chrzciciela i pałacu papieskiego. Od czasów Konstantyna Wielkiego była to siedziba papieży. Mówiło się niekiedy o przeniesieniu siedziby tronu Piotrowego do Watykanu albo odległego Avinionu, ale nikt tak naprawdę nie wyobrażał sobie, aby centrum chrześcijaństwa było zlokalizowane gdzieś indziej niż wypełniona relikwiami Arcybazylika Sacrosancta lateranensis ecclesia omnium urbis et orbis ecclesiarum mater et caput.

Gdy biskup Magnus von Rappard wszedł na salę, z przyjemnością zaobserwował, że w wielu z utworzonych grupek znalazł się ktoś, kto albo skłonił się w jego kierunku, albo uśmiechnął przyjaźnie. Niektórzy z szacunkiem zdejmowali piuski z głów. Wielu ruszyło od razu w jego kierunku.

W najgłębszym kącie sali biskup zauważył grono swoich adwersarzy, zebrane wokół starszego już wiekiem kardynała Teodorico Ranieriego z Milano. Zapewne to on będzie kandydatem opcji umiarkowanej, przeciwnej krucjacie. Sądząc po

mizernej liczebności owej grupki, nie mieli oni żadnych szans, żeby zdobyć wymagane dwie trzecie głosów. Von Rappard dostrzegł ponadto, że w chwili, gdy wszedł, inne kręgi rozmówców zaczęły dyskretnie odsuwać się od grupy kardynała Ranieriego. Biskup nie zdążył jeszcze zanotować w pamięci wszystkich purpuratów z tamtego środowiska, gdy sam został otoczony przez licznych hierarchów, którzy czuli potrzebę przywitania się z nim i zapewnienia o swoim poparciu.

– Drogi Magnusie – wyszeptał mu na ucho biskup Luigi Ambrosio z Neapolu, ściskając go bardzo ostentacyjnie – osobiście zgłoszę twoją kandydaturę na tron Piotrowy. Masz też poparcie kardynała Edwarda Michaelisa z Koblencji. Nakazał swoim zwolennikom głosować na ciebie. Przekonałem go do tego, Magnusie. Liczymy właśnie twoje głosy. Twoja misja musi zostać wypełniona. To nasza wspólna misja, drogi Magnusie.

– Dziękuję, drogi Luigi, będę się za ciebie modlił, niech Bóg cię strzeże.

– Dowiedziałem się, Magnusie, że kardynał Teodorico Ranieri nie będzie kandydował, bo nie ma żadnych szans na dwie trzecie głosów – mówił mu na ucho Ambrosio. – Oni gorączkowo szukają jakiegoś kandydata, który zebrałby choć jedną trzecią, byś, drogi Magnusie, nie wygrał w pierwszym głosowaniu. Ale nie znajdą, Magnusie. Nie znajdą. Już dzisiaj świat zobaczy biały dym nad kaplicą *Sancta Sanctorum*, dopilnuję tego.

– Bracia! Bracia moi w Chrystusie Panu! – rozległ się donośny głos kamerlinga kardynała Giovanniego d’Anagniego. – Czas przenieść się do kaplicy *Sancta Sanctorum* w arcybazylice. Straż utorowała nam przejście wśród tłumu. Ruszajmy, bracia, w imię Boże.

Szli pojedynczo, gęsiego przez zapełniony całkowicie tłumem plac arcybazyliki, prowadzeni przez papieskiego kamerlinga. Szpaler strażników momentami uginał się od naporu tłumu. Magnus von Rappard starał się nadać swojej twarzy wyraz skupionego, dostojnego rozmodlenia. Czuł jednak podniecenie. Co chwila słyszał swoje nazwisko wykrzykiwane przez kogoś z tłumu. Zdecydowanie było ono wymieniane najczęściej. Elektorzy też musieli to słyszeć. Nic już nie może mu przeszkodzić.

– *Pycha to mój ulubiony grzech, klecho.* – Szept, który odezwał się w głowie biskupa von Rapparda, wystraszył go i wybił z przyjemnych rozmyślań. – *To grzech lepszy niż zabijanie, bo trwa o wiele dłużej, lepszy niż chciwość, bo daje rozkosz i bardziej oślepia człowieka, i lepszy niż pożądlivość, bo nigdy nie zostaje zaspokojony.*

– *Precz stąd, demonie!* – wysłał myśl wystraszony biskup. – *To najświętsze miejsce chrześcijaństwa, nie wolno ci tu być!*

Odpowiedział mu diabelski chichot. Demon zanosił się od śmiechu.

– *Och, durny klecho! Pod posadzką, po której stąpasz, w kryptach, spoczywają diabły gorsze nawet od ciebie, morderco, kłamco, pyszny zwyrodnialcu. Mało jest mniej uświęconych miejsc niż to. Ty niedługo osiągniesz swój cel. Zostaniesz głową tej sekty. A ja osiągnę swój, klecho. Będziesz mój na całe wieki. W piekle!* – Demon znów zachichotał radośnie.

– *Czy wygram głosowanie, demonie?* – wysłał pytanie biskup.

– *Jeżeli do niego dziś dojdzie, klecho, to wygrasz* – wybrzmiała odpowiedź w głowie biskupa. – *Ale oni chcą odwlec konklawe o choć kilka dni i jakoś cię przez ten czas zdyskredytować. Jeszcze tylko nie wiedzą, jak cię oczernić, ale niektórym z nich już chodzi po głowie, by oskarżyć cię o czary.*

– *Może mają cyrograf?*

– *Nie, nie mają, przynajmniej jeszcze nie mają, klecho.*

– *Dziś musi odbyć się głosowanie, demonie, słyszysz?! Twoje imię to Raguel! Służysz mi!*

– *Nienawidzę cię, klecho!* – Biskup usłyszał syk bólu i demon zniknął z zasięgu jego myśli.

Kardynałowie i biskupi elektorzy ledwo mieścili się w niezbyt dużej w porównaniu z główną salą pałacu papieskiego kaplicy *Sancta Sanctorum*.

– Zajmujcie miejsca, bracia moi w Chrystusie – przekrzykiwał harmider kamerling d’Anagni. – Siadajcie. Zaraz zaczynamy.

Elektorzy powoli zajmowali swoje miejsca w ławach. Każde miejsce było podpisane godnością danego hierarchy. Na ławach stały proste kałamarze, a obok nich leżały pióra gęsie i stopy identycznie wyciętych kawałków papieru z papierni Fabriano. W górnej części każdej kartki widniał napis „*Eligo in Summum Pontificem*”. Poniżej napisu pozostawało sporo miejsca na wpisanie nazwiska elekta. Wszystko było zatem przygotowane do głosowania.

– Bardzo proszę o ciszę, bracia – zawołał głośno kamerling d’Anagni.

– Żądam, aby na sali pozostali jedynie kardynałowie i biskupi elektorzy – powiedział stanowczo d’Anagni. – Pozostałe osoby proszę o udanie się do wyjścia. Strażników proszę o zabezpieczenie tej kaplicy od zewnątrz i otwarcie jej dopiero, gdy pojawi się dym z komina kaplicy.

Wszyscy posłusznie opuścili pomieszczenie. Na zewnątrz rozległ się brzęk nakładanego na drzwi łańcucha. W kaplicy w końcu zapadła zupełna cisza.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti* – zaczął po chwili kamerling d’Anagni. – Bracia, zaczynamy w imię Boże od przysięgi. Powstańcie i powtarzajcie za mną.

– *My wszyscy, i poszczególni biskupi, i kardynałowie elektorzy, obecni przy tym wyborze papieża, przyrzekamy, zobowiązujemy się i przysięgamy zachować wiernie i skrupulatnie wszystkie przepisy zawarte w „Ubi Periculum” papieża Grzegorza X. Równocześnie przyrzekamy, zobowiązujemy się i przysięgamy, że jeśli ktokolwiek z nas, z Boskiego postanowienia, zostanie wybrany Biskupem Rzymskim, dołoży starań, by wiernie wypełniać „munus Petrinu” Pasterza Kościoła powszechnego i nie ustanie w wysiłku zapewniania i bronięcia wytrwale praw duchowych i doczesnych oraz wolności Stolicy Świętej. Przede wszystkim przyrzekamy i przysięgamy zachować z największą wiernością i wobec wszystkich, tak duchownych, jak świeckich, tajemnicę związaną z tym wszystkim, co w jakikolwiek sposób odnosi się do wyboru Biskupa Rzymskiego, i z tym, co*

odbywa się w miejscu wyboru i dotyczy bezpośrednio lub pośrednio liczenia głosów; nie naruszać w żaden sposób tej tajemnicy tak w czasie wyboru, jak i po wyborze nowego papieża, chyba że zostanie do tego udzielone wyraźne upoważnienie przez samego przyszłego papieża; nie dawać żadnego poparcia ani nie sprzyjać jakiegokolwiek oddziaływaniu, sprzeciwianiu lub jakiegokolwiek innej formie interwencji, przez które władze świeckie jakiegokolwiek porządku i stopnia lub jakakolwiek grupa osób czy jednostki chciałyby ingerować w wybór Biskupa Rzymskiego.

Elektorzy głośno powtarzali słowa formuły za głosem kamerlinga. Gdy skończyli, d'Anagni dał im znak ręką i wszyscy usiedli w ławach. Zamierzał właśnie kontynuować procedurę, gdy zobaczył wysoko wzniesioną w górę rękę kardynała Teodorico Ranieriego.

– Słucham, Teodorico, domyślam się, że to coś ważnego, skoro zakłócasz przebieg procedur konklawe – stwierdził kamerling z pewną niechęcią w głosie. Ranieri był jednak starszym i bardzo znaczącym kardynałem, co więcej, jednym z potencjalnych kandydatów. Należało go zatem wysłuchać.

– Kardynale kamerlingu Giovanni d'Anagni, składam wniosek o odroczenie konklawe o trzy dni – zakomunikował pewnym i donośnym głosem Ranieri.

Po kaplicy przebiegł szmer zaskoczenia i niezadowolenia.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić, kardynale? – zimnym głosem zapytał d'Anagni.

– Nie mamy całego składu, kardynale kamerlingu. Dwóch biskupów elektorów jest na pewno w drodze do nas. Wiem to na pewno. To biskup Avinionu Gasbert de Valle oraz biskup Cracovii Jan Muskata.

– Doskonale zdajesz sobie sprawę, kardynale Ranieri – mówił chłodnym głosem d'Anagni – że termin konklawe wyznaczony jest na dziś w południe. Procedura Ubi Periculum zobowiązuje nas, aby rozpocząć je punktualnie. Przykro mi.

– Kardynale Giovanni d'Anagni! – Ranieri podniósł głos. – Dosłownie przed chwilą otrzymałem przez gońca list od biskupa Muskaty z Cracovii, w którym

zawiadamia on, że posiada ważne informacje na temat jednego z potencjalnych kandydatów do elekcji. Domaga się, by na niego zaczekać!

– Jakie to informacje, kardynale? Kogo dotyczą? – dopytywał niepewnie kamerling.

– Tego dokładnie nie wiem, Giovanni, jedynie podejrzewam – łagodniej odpowiedział kardynał Ranieri. – Wiem, że chodzi o czary.

Po kaplicy poniósł się szmer rozmów. Biskup Magnus von Rappard za wszelką cenę starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Kilka osób wyraźnie bowiem spojrzało na niego.

– Przecież to absolutnie wykluczone, kardynale d’Anagni! – zabrał niespodziewanie głos biskup Ambrosio, sojusznik von Rapparda. – Nie można odroczyć wyboru Biskupa Rzymu z powodu listownej zapowiedzi jakichś domniemanych rewelacji o czarach, dokonywanych nie wiadomo przez kogo. Przecież to absurd, kardynale...

– Wcale nie absurd, Ambrosio! – przerwał mu bezceremonialnie Ranieri. – Mam przeczucie, że te wiadomości dotyczą właśnie waszego kandydata!

Kaplicę ogarnęła wrzawa. Zdecydowana większość elektorów głośno wyrażała swoje oburzenie. Kilku zwolenników von Rapparda próbowało przepychać się w kierunku leciwego kardynała Ranieriego. Jednak jego zwolennicy stanęli im na drodze. Zaczęła się szamotanina. Ktoś wpadł pod ławę. Z ław pospadało kilka kałamarzy, brudząc dotkliwie sutanny.

– Cisza! Cisza! – Kamerling próbował opanować chaos, lecz jego głos utonął w morzu głośno wykrzykiwanych przekleństw. – Cisza! Cisza, jebane osły! – D’Anagni zupełnie stracił już cierpliwość i swój przekaz wzmocnił hałaśliwym stukaniem swoją laską w posadzkę kaplicy.

Głośny dźwięk pukania rozniósł się echem po całej kaplicy. Wrzawa powoli cichła.

– Nie można w ten sposób oczerniać kandydatów, Ranieri, ty śmierdzielu jeden! – wrzeszczał Ambrosio.

– Stul wreszcie dziób, Ambrosio! I siadaj na swoje miejsce! – Kamerling przywołał najgłośniejszego pieniacza do porządku.

– Ale kardynale... – próbował jeszcze Ambrosio. – Ten śmierdziel...

– Siadaj i milcz już, ośle! – Cierpliwość kamerlinga wyraźnie się już skończyła.

Ambrosio posłusznie usiadł. Kilkunastu elektorów było w opłakanym stanie. Porwane lub ubrudzone sutanny, rozbite nosy lub wargi, pogubione nakrycia głowy. W ławach nastała cisza.

– Czy ktoś potrzebuje medyka? – zapytał spokojniej już d’Anagni i rozejrzał się po sali.

Odpowiedziała mu cisza. Nikt nic nie odpowiedział. Wielu elektorów dyszało jeszcze mocno. Wielu patrzyło na swoich adwersarzy i miało mord w oczach.

– Bracia moi w Chrystusie Panu! – Kamerling wznosił ręce do góry. – Uporządkujcie, proszę, sami ławy, bo nie możemy na razie otworzyć drzwi kaplicy i wpuścić służby.

Kilku młodszych biskupów posłusznie przystąpiło do sprzątnięcia ław, rozlanych kałamarzy oraz walających się wszędzie piór i papierowych formularzy z napisem „*Eligo in Summum Pontificem*”.

– Przywołuję was wszystkich do porządku, bracia moi w Chrystusie – napomniął kamerling. – Dobrze, że mamy zamknięte drzwi i obowiązuje tajemnica konklawe. Z tego, co pamiętam, to w sytuacji wyższej nieprzewidzianej konieczności decyzję o odroczeniu głosowań podejmuje kamerling, ale jeszcze się zaraz upewnię.

D’Anagni otworzył opasły dokument *Ubi Periculum* spoczywający na jego ławie i zaczął go przeglądać.

– To nie jest żadna sytuacja wyższej nieprzewidzianej konieczności, kardynale kamerlingu d’Anagni – upierał się Ambrosio. – To zwykłe pomówienia, wysunięte przez środowisko kontrkandydata! Wobec powyższego oficjalnie proponuję teraz kandydaturę Magnusa von Rapparda, biskupa Akwizgranu, na stanowisko Biskupa Rzymskiego! To osobaznaczona przez samego Boga. Wybrana przez niego do

specjalnego boskiego zadania. Wszyscy o tym wiemy. To jedyna osoba godna tego urzędu. – Wypowiedziawszy te słowa, biskup Ambrosio usiadł w ławie.

– Nie przeszliśmy jeszcze do zgłaszania kandydatur, Ambrosio! – zirytował się kamerling. – Nie wybraliśmy jeszcze nawet asystentów kamerlinga!

– Domagamy się przyjęcia kandydatury Magnusa von Rapparda i głosowania jeszcze dziś, kardynale kamerlingu d’Anagni. – Ambrosio ponownie powstał z ławy, a zaraz po nim, na jego znak, podniosło się ponad pięćdziesięciu biskupów popierających zgłoszoną kandydaturę.

– A nie interesuje cię, co ma do powiedzenia biskup Muskata o czarach twojego kandydata, ty opasły durniu? – Kardynał Ranieri znów wyraźnie prowokował swojego rozmówcę, licząc na przedłużenie obrad.

Najwyraźniej uzyskał zamierzony efekt, bo Ambrosio poczerwieniał na twarzy i wyrzucił z siebie w kierunku kardynała stek niewybrednych inwektyw.

– Ty przewrotny kutasie! Ty diable w dupę chędożony! Magnusa oskarżasz o diabelskie czary?! To tak jakbyś Chrystusa czyniącego cuda oskarżał o konszachty z diabłem. Ty zwyrodniała świnio!

W kaplicy znów podniósł się rwetes i zapewne doszłoby do kolejnych rękoczynów, gdyby nie słowa, które, mimo iż nie były bardzo głośne, dotarły do głów wszystkich obecnych.

– Uspokójmy się, bracia moi... – Słowa te wypowiedział Magnus von Rappard, który wstał, spojrział na kamerlinga i podniósł rękę na znak, że chce zabrać głos.

W kaplicy szybko znów nastała cisza.

– Mów, Magnusie von Rappard, biskupie Akwizgranu – zezwolił kamerling, zadowolony, że tym razem nie doszło do bójki.

– Kardynale kamerlingu Giovanni d’Anagni! Domagam się przedstawienia tu i teraz dowodów na prawdziwość oskarżeń wysuniętych przez kardynała Ranieriego! A jeżeli ich nie ma, to domagam się głosowania bezzwłocznie! Mam misję od Boga, która nie może czekać – mówił powoli von Rappard mocnym głosem. – Wszyscy tu

zgrupowani wiedzą o niej, ale najwyraźniej niektórzy są pod wpływem szatana, skoro chcą opóźnić Boże dzieło.

– Sam jesteś pod wpływem diabła, Rappard! – krzyknął kardynał Ranieri i w kaplicy znów zapanował chaos.

– Stójcie! Nie walczycie ze sobą! – Mocny głos von Rapparda znów dotarł do głów wszystkich. – Przejrzyjcie na oczy, bracia, i zobaczcie, jak szatan wpływa na wasze zachowanie i odwleka wybór biskupa Rzymu. Zobaczcie, jak słowami kardynała Ranieriego prowokuje was do chaosu.

– Nie słuchajcie tego czarownika... – próbował jeszcze krzyżeć Ranieri.

– Milcz, diable! – zawołał von Rappard i Ranieri nagle stracił głos. Chrypiał coś, ale nikt nie słyszał, co mówi. – Kardynale kamerlingu Giovanni d’Anagni! – odezwał się tym razem spokojnym głosem biskup von Rappard. – Skoro nie ma dowodów na to, że jestem niegodny, to domagam się głosowania mojej kandydatury już dziś.

Kamerling wodził wzrokiem pomiędzy niewysoką postacią biskupa von Rapparda a leciwą personą kardynała Ranieriego, który wciąż usiłował coś powiedzieć. Wzrok jego spoczął w końcu na dokumencie *Ubi Periculum*. Myślał. Wahał się. Znał osobiście kardynała Ranieriego. Zawsze mu ufał. Świętej pamięci *Benedictus* też mu wierzył. Dziś jednak nie poznawał starego przyjaciela.

D’Anagni trwał w zamyśleniu już dłuższą chwilę. Siedział za swoją ławą i patrzył w dal niewidzącym wzrokiem. Oczy wszystkich elektorów spoczywały na nim. Wielu obserwatorów zadziwił grymas lęku, który pojawił się nagle na jego skupionym obliczu. Przez dłuższą chwilę jego oczy wyrażały przerażenie. Nikt jednak nie ośmielił się przerwać rozmyślań kamerlinga. Giovanni d’Anagni zamknął w końcu swoje przerażone oczy. Dłuższą chwilę oddychał głęboko, jakby chciał otrząsnąć się z nieprzyjemnej wizji i się uspokoić. Wstał.

– Zgodnie z zasadami *Ubi Periculum ibi lex* podejmuję decyzję, by pierwsze głosowanie konklawe przeprowadzić dziś, tak jak planowaliśmy pierwotnie –

ogłosił drżącym głosem. Po czym cicho już, mówiąc do siebie, dodał: – I niech Bóg nam wybaczy.

Słowa te powitał szaleńczy aplauz zdecydowanej większości zgromadzonych w kaplicy. Kardynał Ranieri ukrył twarz w dłoniach. Po chwili podniósł rękę, chcąc jeszcze zabrać głos.

– Nie udzielam ci już głosu, kardynale Ranieri – ciągnął drżącym głosem kamerling. – Przyjmuję zgłoszoną przez biskupa Ambrosio kandydaturę Magnusa von Rapparda na Biskupa Rzymskiego i zarządzam natychmiastowe głosowanie.

– Zaraz, zaraz, kardynale kamerlingu! Powinieneś przecież zapytać, czy są jeszcze inni kandydaci. – Ranieri wtrącił się zimnym jak lód głosem bez pytania o zgodę. – Czy chcesz nas przymusić do głosowania tylko na jednego kandydata?

– Oczywiście, że nie chcę, kardynale, masz rację. – Kamerling już powoli dochodził do siebie. – Bracia moi w Chrystusie, czy ktoś chce zgłosić jeszcze jakiegoś kandydata?

Kiedy elektorzy zaczęli rozglądać się po kaplicy, kardynał Ranieri nachylił się do siedzącego obok biskupa i wyszeptał mu do ucha kilka słów. Tamten skinął głową i uniósł wysoko rękę.

– Udzielam ci głosu, biskupie Raynaldusie Marci z Lyonu – powiedział kamerling.

– Zgłaszam kandydaturę kardynała z regionu Milano, Teodorica Ranieriego – powiedział głośno biskup. – Tylko ta kandydatura zapewnia jednocześnie pokój i dalsze krzewienie naszej świętej wiary. Bóg nie chce wojny, bracia w Chrystusie...

– Przyjmuję kandydaturę kardynała Teodorica Ranieriego. – Kamerling nie pozwolił biskupowi rozwinąć dłuższej wypowiedzi. – Czy ktoś chce jeszcze zgłosić innego kandydata?

D'Anagni rozejrzał się po kaplicy. Nikt więcej nie uniósł dłoni.

– A zatem, bracia w Chrystusie – głos kamerlinga znowu zadrżał – za chwilę rozpoczniemy pierwsze głosowanie po śmierci Jego Świątobliwości Benedictusa

XI. Na moich asystentów podczas głosowania wybieram trzech pierwszych alfabetycznie biskupów: Federica Accantiiego, Gerharda von Alfbauma i Luiggiego Ambrosia.

– Protestuję! – Kardynał Ranieri bezceremonialnie przerwał kamerlingowi. – Biskup Ambrosio zgłaszał kandydata. Nie może być więc asystentem.

– Protest uwzględniony – zgodził się rozkojarzony jeszcze kardynał d’Anagni. – W takim razie poproszę do mojej ławy biskupa Tomassa Berettiniego.

Asystenci zebrali się przy ławie kamerlinga. Zamienili z nim kilka słów i rozeszli się po kaplicy.

– Bracia w Chrystusie! – Głos d’Anagniego ponownie zadrżał. – Zaczynamy w imię Chrystusa. Znacicie procedurę. Wpisujecie nazwisko kandydata. Następnie składacie kartkę na pół. Będę wyczytywał nazwiska alfabetycznie. Podnosicie swoją złożoną kartkę do góry, pokazujecie wszystkim, wypowiedacie formułę, podchodzicie do mojej ławy i wrzucacie do urny. Zaczynamy od biskupa Federica Accantiiego, mojego pierwszego asystenta.

Biskup Accanti wpisał nazwisko elekta, złożył kartkę, uniósł ją, pokazując wszystkim.

– Powołuję na świadka Chrystusa Pana, który mnie osądzi, że mój głos jest dany na tego, który według woli Bożej powinien być, moim zdaniem, wybrany – wyrecytował ustaloną formułę, podszedł do urny i wrzucił do niej swój głos.

– Następny elektor: biskup Gerhard von Alfbaum – wyczytał kamerling – Proszę, Gerhardzie...

Procedura ciągnęła się długo. Każdy wywołany elektor wpisywał imię kandydata na swojej karcie i zwykle powoli wygłaszał formułę. Biskup Magnus von Rappard czuł napięcie. Nie mógł już doczekać się chwili, kiedy głosy zostaną policzone, karteczki złożone w kominku i podpalone bez przygotowanej obok mokrej słomy. Wówczas w kominie nad kaplicą pojawi się biały dym i świat dowie się, że wybór został dokonany.

Trwające niemal w nieskończoność głosowanie, a później nie mniej dokładne długie liczenie głosów, zostało w końcu zakończone. Kamerling był blady. Von Rappard podejrzewał, że nie było to tylko zmęczenie. D'Anagni podniósł się wreszcie z ławy, podpierając się o nią mocno, i wyszedł na środek kaplicy.

– Habemus papam – powiedział cicho i bez widocznej radości.

Arcybazylika św. Jana Chrzciciela na Lateranie była wypełniona po brzegi, a wokół niej zgromadził się nieprzebrany, radośnie śpiewający tłum. W środku panował bardziej podniosły nastrój. Pierwsze rzędy wypełniali elektorzy, odziani w purpurę i ciemną zieleń. Za nimi stała cała reszta, motłoch, który jego, Biskupa Rzymu Magnusa von Rapparta, w ogóle nie obchodził. To była chwila, na którą czekał. Wiedział, że wygląda teraz bardzo dostojnie. Siedział na tronie papieskim w białej mitrze na głowie i z paliuszem – symbolem władzy – upiętym na ramionach. Czuł cudowny ciężar pektorału, ciężkiego ozdobnego złotego krzyża, zawieszzonego na szyi. Czuł chłód papieskiego pierścienia. To wszystko było już jego. Cała ta władza i potęga. Dokona jeszcze wielkich rzeczy. Przecież posiada niemal boską moc. Czuł ją wszędzie, w każdej części ciała. A zdecydowanie najbardziej – w lędźwiach.

– Nowy Biskup Rzymski przybrał imię Clemens, Clemens V... – ogłosił donośnie wszystkim zgromadzonym kamerling d'Anagni. – Modlimy się wszyscy, Ojczy Święty, o twój długi i owocny pontyfikat.

Biskupi i kardynałowie wstali z miejsc, ustawili się w długiej kolejce do tronu Magnusa. Podchodzili pojedynczo i klękali, by ucałować jego pierścień, zobowiązując się do dozgonnego posłuszeństwa i podporządkowania. Do swoich stronników papież Clemens V z pobłażliwym uśmiechem wyciągał dłoń, by nie musieli się za bardzo schylać się do jego pierścienia. Ale robił tak tylko względem swoich zwolenników. Gdy podszedł leciwy kardynał Teodorico Ranieri, dłoń papieża nie uniosła się z poręczy tronu.

– Opuść mi, a będę ci wiernie służył, Ojczy Święty – wyszeptał skruszony kardynał, klękając i nachylając się mocno, by sięgnąć ustami papieskiego

pierścienia.

– Oczywiście, Teodorico, Bóg nakazuje wybaczać. – Uśmiech pobłażliwości pojawił się na ustach papieża, ale nie dosięgnął oczu.

Papież patrzył za odchodzącą drobną sylwetką starca.

– *Zajmij się nim, demonie.* – Clemens V wysłał myśl w kierunku zakamarków cienia. – *Na wszelki wypadek zajmij się też tym biskupem Muskatą, gdy tylko przyjedzie.*

Rozdział 23

SANKTUARIUM GROS RADEN

Rowenna i Radosław dwa wschody słońca temu przekroczyli Łabę. Przemieszczali się coraz mniejszymi ścieżkami lub też zupełnie przez głuszę. Przedzierając się przez gęstwiny, poruszali się już nie obok siebie, ale jedno za drugim. Radosław jechał z przodu. Był wciąż czujny. Bez przerwy penetrował okolicę swoim magicznym okiem. Zdarzało się, że w zasięgu swojego widzenia wyczuwał ludzi, ale zawsze znajdowali się w bezpiecznej odległości. Radosław wyczuwał też wciąż podążające z nimi zwierzęta. Nauczył się rozpoznawać towarzyszące im wilki, nawet poszczególne osobniki, chociaż było ich całkiem sporo. A także podążającego za nimi niedźwiedzia oraz orła, który nieustannie krążył nad okolicą.

Kilka dni temu Rowenna, aby uspokoić stargane nerwy Radosława, pokazała mu, jak las zaciera ich wszystkie ślady. Mech zapadnięty od kopyt ich wierzchowców na jego oczach unosił się i ślady zupełnie znikwały. Rycerz znów był pod wielkim wrażeniem mocy tej dziewczyny. Rowenna twierdziła, że las wygłusza ich dźwięki i eliminuje zapachy, ale on pozostał stanowczy i na wszelki wypadek starali się zachowywać ciszę i nie rozpalali już ognia. Ponieważ noce były bardzo chłodne, mężczyzna oddał dziewczynie swoją niedźwiedzią skórę.

Od wczoraj przemieszczali się bardziej na północ niż na zachód i wciąż podążali przez bagna. Rowenna prowadziła ich sobie tylko znanymi ścieżkami, które

wyglądały na zbyt grzaskie, aby były przejezdne, ale mimo to posuwali się dość sprawnie.

– Rowenno, czy tego trupa pochowano na bagnach? – zagał rozmowę Radosław.

– Nie, Radosławie. – Dziewczyna roześmiała się. – Ten człowiek spoczywa w suchej ziemi pod kamiennym nagrobkiem. Ma nawet na nim wyryte swoje nazwisko.

– Ty widziałaś jego grób? – zdziwił się rycerz. – Jak nazywał się ten człowiek?

Rowenna wciąż go zaskakiwała. Ponad pół wieku temu, gdy towarzyszył poprzedniej Bezcielesnej, o imieniu Łaba, też był pod wrażeniem jej mocy. Poprzedniczka ujawniała ją jednak przede wszystkim w walce z oddziałami przeciwnika, czym wzbudzała w Radosławie coś na kształt strachu. Zakute w żelazo zastępy wroga, omotane zaklęciami Bezcielesnej, albo tonęły w pojawiającym się nagle bagnie pod kopytami koni, albo rozбивały się w szaleńczym galopie o pnie drzew. Oddziały piechoty często miażdżone były padającymi drzewami. Unieszkodliwione w ten sposób dobijane były przez okoliczną ludność. Moc Łaby jednak z czasem osłabła i Bezcielesna odeszła.

Rowenna była inna. Była w niej jakaś niechęć do przemocy i zdecydowanie większa radość życia. Wydawała się Radosławowi delikatniejsza. Być może dlatego jej moc robiła na nim takie wrażenie.

– Nazywał się Emanuel Schroll. – Odpowiedź dziewczyny wyrwała rycerza z rozmyślań. – Przynajmniej takie nazwisko widnieje na nagrobku.

– To może widzisz, co on chowa w tej swojej gardzieli? – dopytywał Radosław.

– To gruby zwierzęcy pergamin, Radosławie, ale jest zgnieciony i nie odczytam, co jest na nim zapisane.

– To jak już tak dobrze ci idzie odpowiadanie na pytania, Rowenno, to wytłumacz mi jeszcze, czemu skręciliśmy na północ i brniemy przez te bagna – zażartował rycerz.

– Musimy odwiedzić jedno miejsce, Radku. Już prawie jesteśmy na miejscu, zobacz!

Rowenna pokazała ręką górujące nad niskimi bagiennymi drzewami dość wysokie wzgórze.

– Co to za miejsce? – zdziwił się rycerz.

– Kiedyś było tu sanktuarium twojego Swaroga, Radosławie. Dawno, dawno temu. Tutaj pośród bagien płonął bezustannie jego ogień. Potem zniszczyli to miejsce Germanie i urządzili świątynię jakiegoś swojego boga. A potem przyjechali rycerze z krzyżami i wymordowali germańskich kapłanów.

– Czemu tu przyjechaliśmy, Rowenno? – zapytał Radosław, wspinając się powoli na wzgórze i rozglądając dookoła.

Poza licznymi rozsypanymi w nieładzie kamieniami i świeżym sosnowym palem wkopanym na szczycie, nie było tu nic innego.

– Bo wiem, że coś ważnego tu się wydarzyło, Radku – odpowiedziała dziewczyna i zeskoczyła z konia, a następnie podeszła do pala. – Widzisz to?

Radosław uważnie obejrzał pal. Był na pewno ociosany w tym roku, bo jeszcze nieożywicowany i świeży. Nie był to na pewno ani pal Słowian, ani Germanów. Był zbyt młody. Jego drewno miało jedynie kilka otarć i niewielkich wgłębień, jakby po grotach strzał. W dolnej jego części można było dostrzec ślady starej zakrzepłej krwi.

– Złożono tu ofiarę bogom? – zapytał mężczyzna, ale sam nie bardzo wierzył w swoją teorię.

– Tu zamordowano człowieka, Radosławie. Nie była to żadna ofiara, tylko wykalkulowany mord.

Sokoli wzrok rycerza dostrzegł w trawie pozostawioną strzałę.

– Strzała Polan spod Gniezna – rozpoznał zdziwiony.

– Pozostawiona tu, by zrzucić winę za mord na nasz lud, Radosławie. Tak naprawdę w tym miejscu jeden kapłan Chrystusa zabił drugiego, aby zyskać władzę. I czuję, że mu się powiodło. Musimy ruszyć tą ścieżką, Radosławie – wskazała Bezcielesna i od razu podążyła w odpowiednim kierunku.

Po kilkunastu stajach dotarli do rozwidlenia dróg. Tuż obok dostrzegli duży żelazny wóz, który tkwił zapadnięty w grząskiej ziemi powyżej osi.

– Dziwne. – Radosław uniósł brwi ze zdziwienia.

– Czemu dziwne, Radku? – dopytała Rowenna.

– Po pierwsze nie jest możliwe, aby dojechać tutaj tak ciężkim pojazdem. Po drugie nie ma śladów kół. A po trzecie... to wygląda, jakby ten wóz ktoś zrzucił z góry.

– To samo opowiada mi las, Radosławie – rzekła zamyślona dziewczyna. – Tak to się właśnie odbyło. Mordercy pomagała moc jakiegoś potężnego demona.

Radosław zobaczył, że oczy Bezcielesnej zaszyły mgłą magii.

– On wygląda strasznie, Radosławie! – krzyknęła wystraszona. – On nie ma ciała! – Rowenna zaczęła płakać.

Bezcielesna była potężna, ale w tej chwili, gdy płakała, zdawała się tylko drobną, wystraszoną młodą dziewczyną. Radosław objął ją ramionami.

– Czy my naprawdę musimy tam iść, Rowenno? – zapytał, choć znał odpowiedź.

– Musimy, Radku, bo mamy szansę to wszystko zakończyć.

Tego wieczoru wcześniej rozbili obóz. On jeszcze szybciej niż zwykle uporał się z zebraniem chrustu i drew, bo nie chciał zostawiać na dłużej Rowenny samej. Bezcielesna była smutna i zamyślona, a rycerza ten widok bardzo poruszał. Złamał ustalone przez siebie zasady bezpieczeństwa i rozpalił niewielkie ognisko. Wszystko po to, aby dziewczynie było trochę cieplej.

– Ty drżysz, Rowenno – zauważył Radosław i okrył jej drobną postać skórą.

– Jesteś dla mnie taki dobry, Radku – powiedziała dziewczyna i przysunęła się do niego.

Teraz poczuł, jak bardzo drży. Przeklinał w duchu fakt, że mimo iż chodzi po tym świecie więcej niż dwieście wiosen, to jednak nie bardzo potrafi rozmawiać z kobietami. A już zwłaszcza z taką piękną jak Rowenna. Ponieważ nie bardzo wiedział, jak oderwać dziewczynę od złych myśli, po prostu zaczął mówić.

– Rowenno, jesteś naprawdę potężna, na pewno ze wszystkim sobie poradzisz.

– Poradzimy, Radosławie, razem sobie poradzimy – sprostowała dziewczyna. – Jesteś mi bardzo potrzebny, Radku.

– Naprawdę? – zdziwił się rycerz. – Do czego ja ci w ogóle jestem potrzebny, moja Rowenno? Zastanawiam się nad tym od chwili naszego spotkania z niedźwiedziem o imieniu, którego nie jestem w stanie nawet wymówić. Z chęcią będę rozpalał ci ogień, czuwał nocą i w razie potrzeby służył moim mieczem oraz, jeżeli Swarog pozwoli, również jego ogniem, ale czy naprawdę jestem ci w stanie pomóc?

– Jesteś... Będiesz... Będiesz mi bardzo potrzebny, Radosławie... – przerwała mu dziewczyna, a w oczach miała łzy.

Porażka – pomyślał Radosław. – *Chciałem ją rozweselić, a doprowadziłem do płaczu. Jestem prawdziwym mistrzem w rozbawianiu kobiet, a niech to!*

I wtedy Rowenna roześmiała się. Najwyraźniej usłyszała jego myśli i rozbawiły ją one. Radosław podziwiał jej cudowny śmiech.

– Rowenno... – zaczął.

– Tak, Radku. – Dziewczyna się uśmiechała.

– Lubię, jak mówisz do mnie tak zdrobniale... Radku.

– W takim razie będę tak mówić. – Puściła do niego oko.

– A jak się zdrabnia imię Rowenna? – zapytał rycerz. – Jeżeli pozwolisz, też chciałbym zdrabniać twoje imię.

– Nie lubisz mojego imienia, Radku? – Dziewczyna najwyraźniej droczyła się z nim, bo na jej twarzy malowała się radość.

– O matko! W końcu dostaniesz kiedyś klapsa, Rowenno! – zażartował Radosław i sam roześmiał się głośno.

– Jak koniecznie chcesz zdrabniać moje imię, to możesz mówić do mnie... Ra. – Dziewczyna z trudem zachowywała powagę.

– Ra? – zdziwił się mężczyzna. – Nie drwisz sobie ze mnie?

– A znasz większy skrót od imienia Rowenna niż Ra? – Dziewczyna zachichotała radośnie.

– O bogowie! Uduszę cię kiedyś za to droczenie – zawołał roześmiany rycerz.

– A tak na serio, Radku, mów mi Kaja. – Dziewczyna poważnie spojrzała rycerzowi w oczy. – Tak mam właściwie na imię. Rowenną nazwano mnie dopiero w sanktuarium Peruna. Bliskie osoby od zawsze mówią na mnie Kaja.

– Kaja... śliczne imię... – rzekł już poważnie Radosław. – Oznacza „ciesząca rodziców”, wiesz o tym?

– Ile ja mądrych rzeczy mogę się od ciebie dowiedzieć! – Znów zaczęła się droczyć.

– Och, bogowie! – westchnął uśmiechnięty Radosław.

Tej nocy nie wspominali już ani słowem o wyzwaniach, jakie ich czekają. Błysk w oczach dziewczyny świadczył o tym, że darzy go uczuciem. Ujął jej dłoń i delikatnie ją pocałował. Nie broniła mu tego. Radosław już wiedział, że jeżeli tylko będzie trzeba, zrobi dla Kai wszystko. W razie potrzeby nawet odda życie. Powiedział jej w końcu o swoich uczuciach. Po tak długim czasie! Nie rozumiała, czemu tyle z tym zwlekał, i wtuliła się w jego ramiona. Tę noc spędzili blisko siebie, na legowisku ze skór niedźwiedzich.

Rozdział 24

LILITH

Magnus von Rappard znowu był w Akwizgranie, w swoim mieście. Tym razem nie przyjechał tu jako biskup, ale już jako papież. Czekają na niego spotkanie z cesarzem Albrechtem I, całym jego dworem oraz ponad setką ważnych osobistości, chcących poprzeć wielką sprawę krucjaty przeciw pogaństwu. To wszystko musiało jednak poczekać, gdyż była ważniejsza kwestia. Dlatego świeżo wybrany Ojciec Święty Clemens V, gdy tylko wysiadł z powozu na terenie katedry, od razu skierował się do swoich dawnych prywatnych pomieszczeń. Jeszcze kilka tygodni temu, gdy wołano na niego tylko Ekscelencjo, jego władza kończyła się tu, w Akwizgranie. Teraz rozciągała się na cały chrześcijański świat, a ten już niedługo zostanie znacznie poszerzony. O wielki obszar pogańskich borów.

Magnus von Rappard, odziany w papieską biel, zbiegał po krętych schodach do swoich piwnic w asyście swojego nowego sekretarza ojca Alberta, który przyświecał mu pochodnią.

– Czy Jego Świątobliwość nie chce się najpierw przebrać i odświeżyć po podróży? – zapytał zziębły ojciec Albert, próbując utrzymać pochodnię w odpowiednim położeniu, by oświetlać drogę pod stopami papieża.

Magnus von Rappard nie odpowiedział. Irytowały go zbyt częste sugestie sekretarza, co powinien, a czego nie powinien robić. Wkrótce się go pozbędzie, ale

na razie jest jeszcze bardzo przydatny, bo nauczy go, jak poruszać się w wielkiej maszynie biurokratycznej Stolicy Apostolskiej.

Schody skończyły się i papież zobaczył dwóch swoich najbardziej zaufanych strażników stojących u drzwi jego piwniczki.

– Albercie, wracaj z pochodnią na górę i czekaj na mnie cierpliwie. To może potrwać – rozkazał papież.

– Ależ, Ojciec Święty... – Brat Albert próbował zaprotestować.

– Powiedziałem! – Papież podniósł głos, a jego wzrok nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma tu miejsca na dyskusje.

Sekretarz, nieco urażony brakiem zaufania, odwrócił się na pięcie i ruszył wspinać się pod górę po stromych schodach. Magnus von Rappard faktycznie mu nie ufał. Poczekał więc, aż Albertowi uda się zabrać swoją zwalistą sylwetkę odpowiednio daleko.

– Kto jest w piwniczce? – zapytał pierwszego ze strażników.

– Pan hrabia de Millow, Ojciec Święty... oraz jakaś starucha – odpowiedział strażnik.

– Starucha? – zdziwił się drugi strażnik i na jego twarzy odmalowało się zdumienie. – Tam jest bardzo piękna młoda kobieta, Wasza Świątobliwość. Tak cudownej małej rudej to nigdy nie widziałem.

– Co ty gadasz, Hans?! Ojciec Święty, tam jest hrabia ze staruchą. – Pierwszy strażnik był zdziwiony i zaniepokojony odpowiedzią kolegi.

– Cisza już! – przerwał papież. – To czarownica. Uważajcie, może stosować różne sztuczki. Wpuściecie mnie, zamknijcie drzwi i zostaniecie na zewnątrz. Zostaniecie na zewnątrz, cokolwiek byście słyszeli. Otworzycie dopiero wtedy, gdy usłyszycie ode mnie nasze hasło. Zrozumiano?

– Tak jest! – Strażnicy wyprężyli się, a z ich twarzy bił niepokój.

– I jeszcze jedno! Trzymajcie język za zębami! Rozumiecie?

– Tak jest! – odpowiedzieli gorliwie.

Papież Clemens V nabrał głęboko powietrza i zamknął oczy.

– *Jesteś?* – wysłał myśl w przestrzeń.

– *Zawsze jestem, klecho* – odpowiedział mu głos w głowie. – *Zawsze jestem. Zawsze jestem w zakamarkach cienia. Doglądam inwestycji. Jesteś już prawie mój, choć jeszcze tego nie czujesz. Ależ ty się wszystkiego boisz, klecho. To tylko stara kobieta.*

W głowie Magnusa von Rapparda rozległ się demoniczny chichot. Papież zadrżał.

– *Otwierajcie!* – rozkazał strażnikom.

W piwniczce zobaczył starą, siwą, wychudzoną kobietę, ubraną jednak w całkiem przyzwoitą, długą, krwistoczerwoną suknię. Kończyła się w okolicach kostek, ukazując niezadbane bosc stopy. Kobieta siedziała na jego orientalnym stoliczku, twarz miała zamyśloną, a oczy przymknięte. Obok niej stał hrabia w postawie niemal bojowej, z mieczem w dłoni, i wpatrywał się czujnie w czarownicę.

– *Co się dzieje, de Millow?!* – zapytał z niepokojem papież, gdy znalazł się już w piwniczce.

Gdy tylko do niej wszedł, drzwi zostały szybko za nim zamknięte od zewnątrz.

– *Widzę różne obrazy, Ojciec Święty! To ta wiedźma miesza mi w głowie! Trzeba ją zabić!* – wykrzyknął spanikowanym głosem hrabia.

– *Tylko spróbuj, Millow!* – zimnym głosem powiedział papież. – *Gównu mnie obchodzi, co widzisz. To ona ma zobaczyć dla mnie coś, co muszę wiedzieć. Opuść, kurwa, to żelastwo, de Millow!*

Hrabia wycofał się w kąt pomieszczenia, a wiedźma zarechotała radośnie.

– *No proszę, jest i mały Magnusek. Jaki już jest duży. Urósł i awansował.* – I znów zarechotała chrapliwie. – *Ale nadal jest bardzo bojaźliwy. Najwyraźniej boi się cioteczki Lilith, dlatego przyprowadził ze sobą pieska.* – Jej rechot wypełnił teraz całą izbę.

– *Zamknij się, kobieto, bo każę cię wybatożyć!* – powiedział niepewnie papież.

– Jakiego pieska? – zapytał ze strachem w głosie de Millow i uniósł wyżej miecz.

– Oj, pokaż się, mój kudłacz, niech hrabia cię w końcu zobaczy – powiedziała czarownica, zachichotała sucho i wyrzekła jakieś słowo, którego nikt nie zrozumiał.

Po chwili pomieszczenie zaczęło wypełniać się dymem, który coraz bardziej zbliżał się do białej postaci papieża Clemensa. I nagle tuż obok niego stanęła przewyższająca go o kilka łokci barczysta postać, utkana z czarnego dymu, z oczami błyszczącymi złowrogą czerwienią.

– Jezu! Co to znowu jest!?! – wydarł się na całe gardło de Millow i gruchnął zemdlały na posadzkę.

– No proszę, jaki ładny kudłacz. – Wiedźma uśmiechnęła się bezzębnie.

– *Nie nazywaj mnie tak, suko z piekła rodem!* – wysyczał wściekły demon. – *Jeszcze słowo, a zapewnię ci wieczne cierpienia ponad wszelkie wyobrażenie!*

Starucha zaśmiała się swobodnie, chrapliwym głosem.

– Oczywiście, że tego nie zrobisz, kudłacz mój słodki, bo nie możesz tego zrobić. – Starucha popatrzyła na demona z sympatią i dodała z rozmarzeniem: – Jak byłam młodsza, to miałam kilku takich kudłaczy jak ty. Nieźle mi wówczas dogadzali.

Wiedźma zaniósła się śmiechem, ukazując rozmówcom nagie spróchniałe dziąsła. Nagle jednak umilkła i spojrzała na von Rapparda.

– Czego ty jeszcze ode mnie chcesz, skoro masz swojego kudłacza? – zapytała, uważnie patrząc na papieża.

– Chcę, byś sprowadziła ducha mojego zmarłego podwładnego i zadała mu kilka pytań.

– Tylko tyle? – zdziwiła się. – Coś słaby jest ten twój kudłacz, skoro nie potrafił tego dokonać.

Demon aż syknął z wściekłości, ale nic nie powiedział.

– Od hrabiego wiem, że w tej skrzyni jest dla mnie złoto, Magnusie. – Czarownica wskazała na niewielki kufer stojący przy samej ścianie. – Jednakże nie

czystego złota żądałam za tę moją przysługę, wiesz o tym?

– Nie czystego? To jakiego, wiedźmo? – zdziwił się papież.

– Miało to być złoto spryskane krwią papieża, Magnusie – wyszeptła wiedźma, spoglądając uważnie na Clemensa V.

– *Nie rób tego, klecho* – ostrzegł demon. – *Nie wiesz, do czego ona to wykorzysta.*

– A ty wiesz, kudłaczu, do czego wykorzystam jego krew? – syknęła czarownica.

– Decyduj! – zwróciła się do von Rapparda. – Jeżeli się nie zgadzasz, to niech ten słodki kudłacz sam ci wywołuje tego ducha.

– Po co ci moja krew? – Papież złustrował czarownicę.

– Do eksperymentu – odpowiedziała poważnym głosem Lilith – który być może uratuje twoją duszę przed wiecznym potępieniem.

– Dobrze. Spryskam to złoto moją krwią – zgodził się papież. – Wywołuj już tego ducha. Czego potrzebujesz?

– Mam jeszcze dwa pytania, Magnusie – wychrypiąła zdecydowanie czarownica.

– Czego konkretnie mam się dowiedzieć od twojego zmarłego podwładnego?

– Masz się dowiedzieć, gdzie schował zwłoki zabitego tu szpiega, wiedźmo! – Von Rappard tracił już powoli cierpliwość.

– A po co ci te zwłoki? – dopytywała niezrażona zdenerwowaniem papieża czarownica.

– Jest w nich coś ukryte, muszę to odzyskać, wiedźmo! – Von Rappard podniósł głos.

– Dobrze! – rzekła Lilith. – Ostatnie pytanie mam do naszego kudłacza. Wiesz, że nie możesz mi skłamać, kudłaczu mój? – I wyrzekła jakieś słowo, którego papież nie zrozumiał, ale demon najpewniej znał jego znaczenie, bo zasyczał boleśnie. – Dlaczego nie pomogłeś Magnusowi? Przecież kiedyś przysięgałeś mu pomagać, nieprawdaż? – Czarownica czujnie spojrzała na demona i znowu wypowiedziała jakieś nieznanne słowo.

– *Obiecałem mu pomagać i pomagam.* – Myśli demona rozeszły się po całym pomieszczeniu. – *Ktoś jednak blokuje mi dostęp do kapitana von Wiebe i zasłania też ciało i ducha szpiega.*

– Chyba zadarłeś z kimś potężnym, Magnusie. To nie jest proste ukryć przeszłość i duszę przed demonem – rzekła Lilith, podając papieżowi mały nożyk. – Pomogę ci, tylko skrop dla mnie swoją krwią te złote dukaty.

– Ile ma być tej krwi? – zapytał niepewnie papież.

– Wystarczy jedna kropla, która spadnie do skrzyni na złoto.

Clemens V naciął sobie płytko kciuk i wycisnął jedną kroplę krwi do skrzyni z dukatami.

Czarownica Lilith nabrała głęboko powietrza. Wykrzyczała kilka słów, od których powietrze zrobiło się jakby cięższe. Machnęła gwałtownie dłonią w kierunku demona.

– Daj mi trochę swojego dymu, kudłaczu, będzie szybciej.

Od zdziwionego i syczącego ze złości demona oderwała się chmura dymu, która teraz zaczęła wirować przed czarownicą.

– Kapitanie Johannie von Wiebe, który byłeś już w tym pomieszczeniu, wzywam tu z powrotem twoją duszę. – Lilith ponownie wypowiedziała mocnym głosem kilka słów, których znaczenia obecni w piwniczce ludzie nie znali.

Wirujący przed czarownicą dym uformował się szybko w postać ludzką.

– Von Wiebe! – krzyknął zdumiony papież. – Gdzie schowałeś szpiega, psi synu?!

– Odpowiedz na to pytanie, Johannie – rzekła mocnym głosem czarownica i znów wypowiedziała jakieś dodatkowe niezbrane słowa.

Johann von Wiebe jednak milczał. Lilith próbowała jeszcze kilkakrotnie zmusić go swoimi zaklęciami do odpowiedzi na pytanie, duch kapitana stał jednak bez ruchu, jakby w ogóle nic do niego nie docierało. Po chwili jego postać zaczęła się rozmywać. Dym wrócił powoli do demona.

– No i co, więdźmo?! Czemu nie odpowiadał?! – Papież był bardzo zdenerwowany. – Nie ma odpowiedzi, to nie ma złota i krwi, więdźmo!

– Och, zamknij się, durny Magnusie!!! – wykrzyknęła Lilith. – Milcz i nie przeszkadzaj! Gdyby papież był wierny swojemu Bogu, to nie potrzebowałby ani demona, ani czarownicy do uzyskania jakiegokolwiek odpowiedzi. Wystarczyłaby krótka modlitwa i miałby wszystko. A że jesteś, jaki jesteś, więc musisz szukać pomocy. Siedź więc cicho i czekaj grzecznie!

Magnusa zaskoczyły te odważne słowa. Przez moment poczuł wielkie wzburzenie, chciał nawet ruszyć w kierunku staruchy i złapać ją za jej chudą szyję, ale ostatecznie nie powiedział ani słowa i nie uczynił nawet kroku w jej kierunku.

Czarownica zeskoczyła sprawnie ze stoliczka. Stała na czworakach na posadzce i węszyła nosem przy podłodze. Dłońmi oraz bosymi stopami przesuwała po posadzce.

– Tu zginąłeś, szpiegu – wymamrotała do siebie. – Dużo krwi było, dużo krwi...

– Mieczem przeбитo! Gdzie miecz, gdzie miecz?! – krzyknęła.

– Leży pod ścianą – odpowiedział von Rappard.

– Daj, daj, daj szybko! – zażądała Lilith.

Papież podał czarownicy miecz. Starucha trzymała go na dłoniach i dokładnie oglądała ostrze.

– Dokładnie umyty, dokładnie umyty – wymamrotała do siebie i zaczęła przesuwać język wzdłuż ostrza, od sztychu do jelca i w drugą stronę.

Potem odrzuciła miecz na podłogę. Upadł z głośnym brzękiem. Czarownica stała przez chwilę z mocno wysuniętym językiem, jakby próbowała złapać nim krople deszczu. Nagle, nie wiadomo skąd, w jej dłoni pojawił się duży nóż. Lilith zbliżyła go do swojego języka i zaczęła zdrapywać nabłonek z jego górnej powierzchni.

– Pochodnię daj! – krzyknęła, a Magnus grzecznie wykonał jej polecenie.

Wiedźma w jednej dłoni trzymała teraz pochodnię, a w drugiej nóż, który powoli przysuwała do płomienia. Znów wypowiedziała coś, czego papież nie zrozumiał, i z noża uniosła się mgiełka. Czarownica wypowiadała kolejne słowa, a mgiełka zmieniała wtedy kształt. Trwało to dłuższą chwilę, aż w końcu znikła.

– Magnusie, powiem ci, gdzie znajduje się ciało tego szpiega. To niedaleko stąd. Spoczywa w bardzo uświęconym miejscu. Nie wiedziałam, że aż tak uświęcone istnieje. A ten szpieg nazywał się Emanuel Schroll. Ma podpisany nagrobek.

– Pojedziesz z nami, więdźmo, i wskażesz nam to miejsce – zażądał papież.

– Nigdzie z tobą nie pojedę, Magnusie. Powiem ci jedynie, jak tam trafić. Zabieram złoto z twoją krwią i odchodzę – rzekła zdecydowanie.

– Mogę cię zmusić!!! – krzyknął Magnus von Rappard.

– Nie, Magnusie. Odmawiam. Nie zmusisz mnie. Odmawiam z kilku powodów – mówiła spokojnie Lilith. – Po pierwsze Rebecca ci pomagała i zobacz, jak skończyła. Po drugie mnie nie interesują uświęcone cmentarze. Po trzecie za zasłoną jest ktoś jeszcze. Ktoś, kogo raczej nie chcę poznawać. A po czwarte jak spróbujesz mnie zmusić, to nigdy nie odnajdziesz swojego cyrografu.

Nastąpiła z obu stron dłuższa chwila milczenia.

– Zapytaj swojego kudłacza, czy aby na pewno warto ze mną zadzierać – dodała jeszcze po chwili Lilith i spoglądała groźnie na papieża.

– Dobrze – odrzekł w końcu von Rappard. – Bierz to złoto i wynoś się, więdźmo.

Rozdział 25

CMENTARZ STOLBERG

Zbliżało się południe, gdy Rowenna i Radosław zatrzymali konie na skraju lasu i zobaczyli pierwsze zabudowania miasteczka. Jak na dłoni widzieli teraz wieżę kościelną, wysoki krzyż u wrót świątyni oraz niezbyt liczne groby, rozsiane pomiędzy dość młodymi jeszcze dębami. Radosław nawet z tej odległości był w stanie przeczytać napis „*Herz Jesu Kirche, Stolberg*”, widniejący nad wrotami kościoła.

- To tutaj, Radku, to jest to miejsce. – Rowenna była podekscytowana.
- Najlepiej zaczekać i podejść bladym świtem – zaproponował rycerz.
- Nie mamy tyle czasu, czuję, że powinniśmy się spieszyć.

Obok nich pojawił się największy z towarzyszących im wilków i rozumnie spojrzał na dziewczynę.

– Ustawcie się tak, żeby psy w miasteczku was nie wyczuły – powiedział do niego Radosław, choć nie miał pewności, że ten go rozumie. – Pozostańcie w pogotowiu.

Wzrok basiora powiedział mu, że zrozumiał polecenie. Zwierzę odwróciło się i ruszyło w las. Rycerz uwiązał dokładnie konie nieco głębiej w gęstwinie. Dalej musieli iść piechotą.

Radosław zdecydował, że poczekać jeszcze chwilę, bo właśnie plebanie opuścił jakiś kapłan i ruszył alejką kościelną pomiędzy grobami w kierunku furty cmentarnej. Do furty zbliżał się też od strony miasteczka jakiś starszy człowiek. Piesi spotkali się i rozmawiali. Trzecie oko Radosława wyczuło irytację proboszcza, że w poniedziałkowe przedpołudnie, gdy kancelaria jest zamknięta, a on jest zmęczony po niedzieli, ktoś śmie mieć do niego jakieś sprawy. Rozmówcy po zamienieniu ze sobą kilku zdań zaczęli powoli oddalać się razem w kierunku miasteczka. Wokół nie było widać nikogo innego.

– Ruszajmy, Kaju – rzekł rycerz, upewniając się, że ma przy sobie broń. – Znajdźmy ten pergamin i zabierajmy się stąd.

Bezielesna wykonała ledwo dostrzegalny ruch dłonią i z ziemi podniosła się mgła. Ruszyli szybkim krokiem w kierunku ogrodzenia terenu kościelnego. Gdy je osiągnęli, Radosław najpierw pomógł dziewczynie pokonać ogrodzenie, a następnie przeskoczył przez nie sam.

– To święta ziemia, Radosławie – powiedziała zdziwiona Rowenna, gdy tylko dotknęła ziemi cmentarza. – Niespotykana panuje tu aura. Spoczywają tu ciała samych świętych mężów, Radku. Sami święci... Poza tym jednym, naszym.

I Rowenna ruszyła w kierunku środka cmentarza.

– *Radosławie!* – Rycerz usłyszał w głowie wezwanie swojego boga.

– *Tak, Swarogu?*

– *To nie jest już nasza ziemia. Będziecie tu słabsi. Uciekajcie stamtąd szybko. Daję ci mój ogień, korzystaj z niego.*

– Rowenno, Swarog... – zaczął rycerz.

– Słyszałam was, Radku – przerwała dziewczyna. – Spójrz na to!

Grób wyglądał na świeży, kilkumiesięczny. Ziemia wokół płyty nagrobnej nie była jeszcze porośnięta roślinnością, a jedynie skąpym mchem i pojedynczymi jesiennymi zażółconymi źdźbłami traw. Sama płyta wykonana była inaczej niż pozostałe. Był to zupełnie czarny kamień, którego nazwy Radosław nie znał. Na

płytcie gotyckimi literami wyryte były jedynie dwa słowa: „Emanuel Schroll”. Nie było żadnej daty, żadnego krzyża, jedynie imię i nazwisko.

– To ten grób – powiedziała poważnym głosem Rowenna. – Radku, czy możesz odrzucić ten kamień? Nie traćmy czasu. Nie czuję się najlepiej.

– Co się dzieje, Kaju? – wystraszył się Radosław.

– Nie traćmy czasu – powtórzyła Bezcielesna i usiadła na trawie. – Słabnę na tej ziemi. Czuję też, że coś się zbliża.

Była blada. Radosław podważył mieczem płytę nagrobną. Wsunął dłoń w szczelinę i nie bez wysiłku, centymetr po centymetrze, przesunął ją na bok. Następnie, nie zwlekając, zaczął spulchniać ziemię, wbijając w nią wielokrotnie ostrze, aby następnie dłońmi wygarniać ją na bok. Na granicy swoich zmysłów wyczuł zbliżające się szybko liczne ludzkie umysły. Spieszył się.

– Już tu są – powiedział cicho do Rowenny, nie przerywając kopania.

Oslabiona dziewczyna leżała na ziemi. Wykonała gest dłonią i mgła na cmentarzu zgęstniała. Byli zupełnie niewidoczni dla ludzkiego oka, chyba że ktoś podszedłby bardzo blisko.

Zwłoki Emanuela Schrolla nie leżały głęboko. Zaledwie dwa łokcie pod ziemią. Smród gnijącego ciała rozniósł się dookoła. Radosław usłyszał pierwsze głosy. Przy bramie cmentarza ktoś wydawał rozkazy; ktoś zsiadał z koni.

Rycerz gorączkowo grzebał w ziemi, odkopał rozkładającą się głowę i nie myśląc wiele, jednym szarpnięciem oderwał żuchwę.

– Jest pergamin! – szepnął do dziewczyny bardzo cicho, bo słyhać już było kroki przynajmniej kilku osób.

Szli prosto w ich kierunku. Co gorsza, mgła zaczęła zdecydowanie rzednąć. Radosław podszedł do leżącej na ziemi Rowenny. Była bardzo blada.

– Już cię stąd wynoszę, Kaju moja kochana! – szepnął do dziewczyny, podał jej pogięty pergamin i chciał wziąć ją na rękę.

– A ty co tu robisz, człowieku?! Gadaj, kim jesteś, bo każę cię zakuć w kajdany!

– Radosław usłyszał za sobą zdecydowany głos, zwracający się do niego po

germańsku.

Słowa te wypowiedział do niego niewysoki, chudy, długowłose brunet odziany w biel. Otaczało go sześciu rosłych rycerzy o twarzach wskazujących na brak jakiegokolwiek poczucia humoru.

– Ja, panie, ekshumację tu robię na polecenie proboszcza. – Radosław starał się mówić pewnym głosem i możliwie prawidłową niemczyzną.

– Zwracasz się do papieża, kmiocie! Na kolana! – wykrzyknął jeden z rosłych rycerzy. – Masz zwracać się „Wasza Świątobliwość”, a nie „Panie”, przybłędo!

– Dobrze, Wasza Świątobliwość – odpowiedział grzecznie Radosław, ale nie padł na kolana.

– Wynoś się stąd, pachołku jeden! – wydarł się mężczyzna w bieli. – Czyj to grób rozkopałeś? Gdzie jest nagrobek!?

Radosław miał świadomość, że już za chwilę papież dostrzeże zarówno płytę nagrobną z napisem, jak i leżącą Rowennę.

– *Kaju moja kochana, daj choć trochę mgły* – wysłał myśl.

– *Daj znak kiedy* – odebrał słabą myśl dziewczyny.

– Rozkopałem grób bezpośrednio wskazany przez proboszcza, Wasza Świątobliwość – odpowiedział przytomnie w miarę płynną niemczyzną Radosław, próbując zyskać na czasie. – Nie wiem, kto tutaj leży.

– A od kiedy pachołek od rozkopywania grobów robi to z dziewczką? I od kiedy pachołek ma przepasany miecz?! – zapytał zimnym jak stal głosem Magnus von Rappard. – Brać ich żywcem! – krzyknął do swoich ludzi.

– *Teraz, kochana.* – Radosław wysłał myśl i z ziemi wokół nich uniosła się mgła.

Rycerz wiedział, że walczy nie tylko o swoje życie, ale też o życie Bezcielesnej. Ruszył w mgłę do przodu. Trzecim okiem bez problemu lokalizował przeciwnika, a krótkim cięciem lub pchnięciem miecza zabijał. Rowenna była bardzo słaba, więc mgły nie było wiele i po krótkiej chwili rozpułyła się w powietrzu. Ta chwila jednak wystarczyła. Wokół grobu leżało sześciu martwych ludzi z obstawy papieża.

– Już jesteś martwy, psi synu! – Radosław usłyszał wrzask papieża, który zdążył wycofać się poza ogrodzenie cmentarza. – I ta twoja dziwka też!

Przy Ojcu Świętym stało jeszcze kilku rycerzy, a kolejny właśnie gnał galopem w kierunku miasta, zapewne po posiłki.

– Radku, odczytaj to. – Rycerz usłyszał słaby głos Bezcielesnej. – Nie znam tego języka.

Wziął z ręki dziewczyny rozwinięty już, choć wciąż wygnieciony pergamin.

– *Jesteście już martwi, ludzkie, pogańskie pomioty.* – Rowenna i Radosław usłyszeli w myślach złowrogi, nienawistny szept.

Podnieśli głowy i spojrzeli w stronę furty cmentarnej. Tuż obok białej postaci papieża i jego rycerzy stała czarna jak noc wysoka postać z żarzącymi się czerwienią i nienawiścią oczami będąca kłębiącym się dymem. Papiescy strażnicy zdawali się w ogóle nie widzieć potwora, który złowrogo górował nad nimi.

– To ten demon, Radku! – Rycerz usłyszał szept Rowenny i mocniej ścisnął miecz.

– *Jesteście już martwi, pogańskie pomioty!* – powtórzył demon. – *Zabiję twoją kobietę, rycerzyku, no chyba, że przyjdiesz tu do mnie i oddasz mi miecz i ten pergamin. Wtedy ujdziecie z życiem.*

– Oddajcie pergamin, a ujdziecie z życiem! – dotarł do Radosława krzyk papieża. – Daję ci słowo głowy Kościoła!

– Radku, ten demon nie może tutaj wejść! Widzę to wyraźnie. Czytaj, co jest tam napisane.

Radosław rozprostował pergamin. Nigdy wcześniej nie trzymał takiego w dłoniach ani też nie widział na oczy. Od razu zaczął podejrzewać, że został zrobiony z ludzkiej skóry. Litery były wyraźnie nakreślone czerwonym inkaustem, który pod wpływem wzroku ożywał i spływał po zwoju niczym krew.

Radosław czytał na głos, a Rowenna, mimo że nie znała języka Germanów, odczytywała treść listu z myśli Radosława.

– Oddawajcie, do stu diabłów, ten dokument! – pieklił się papież. – Obedrę was ze skóry! Spalę żywcem!

– *Zrób coś, demonie, znam Twoje imię, Raguel, odzyskaj cyrograf!* – Myśl papieża usłyszał nie tylko demon, ale również Rowenna i Radosław.

– *Durny, śmierdzący strachem klecho!!!* – syknął demon. – *Nie mogę wejść na świętą ziemię. Poza tym oni nas słyszą, durniu. Zdradziłeś im moje imię! Wyślij swoich ludzi albo idź sam!*

– *On ich powyrzyna!* – pieklił się von Rappard. – Gdzież są, do cholery, te posiłki z miasta?!

Radosław doczytał dokument do końca.

– Rowenno, to pakt człowieka z diabłem!

– Tak, Radku – odpowiedziała słabym głosem. – Przeczytaj, kto podpisał ten pakt.

W tym momencie na drodze pojawili się galopujący zbrojni jeźdźcy w sile około dwóch tuzinów. Zbliżali się bardzo szybko. Papież kazał swojej obstawie szerzej rozewrzeć furtę i sam odsunął się na bok.

– Radku, już nie dam rady ci pomóc, nie zrobię nawet mgły. – Dziewczyna zaczęła drżeć i płakać.

– Zabić! Zabić ich i przynieść mi ich głowy! – Usłyszeli krzyk papieża skierowany do oficera jadącego na czele oddziału. Po chwili jezdni wpadli na teren cmentarza.

Radosław nie czuł strachu. Zawsze wiedział, że ta chwila nadejdzie. Tanio skóry nie sprzeda. Musi spróbować uratować dziewczynę.

– *Ogniu pal, co tylko możesz!* – wypowiedział rozkaz i wzmocnił je słowami mocy swojego boga.

Pod kopytami galopujących koni natychmiast zapłonęła sucha jesienna trawa. Nastąpił popłoch. Wystraszone zwierzęta albo zatrzymywały się gwałtownie, albo gnały na oślep w bok lub też stawały na tylnych kopytach, zrzucając jeźdźców.

Radosław obawiał się, że więcej ognia nie będzie. Moc Swaroga również była tu słabsza. Nie czekał więc ani chwili.

Ruszył. Dopadał z trudem podnoszących się z ziemi rycerzy. Jednego po drugim. Był dla nich czystą i szybką śmiercią w gryzącym czarnym dymie. Błyskawiczne pchnięcia. Krótkie cięcia. Nie ranił. Tylko eliminował. Szybko. Cicho. Dokładnie tak, jak uczono go przed dwoma wiekami w Kruszwicy. Starał się skupić na sobie uwagę napastników. Może Rowennie uda się w tym czasie gdzieś ukryć. W zajadłym szale walki usłyszał wycie i ujadanie wilków. Widział, jak rzucają się do gardeł napastnikom i ich koniom. Ogień przygasał, a dym szybko był rozwiewany przez wiatr.

Mężczyzna nagle zorientował się, że zabrakło przeciwników. Wygrał. Wokół leżało mnóstwo trupów, ziemia spływała krwią. Miał co prawda dwie krwawiące rany, ale udało się.

– Kaju! – krzyknął i kulejąc, ruszył w kierunku miejsca, gdzie zostawił Bezcielesną. Znalazł ją skuloną, ukrytą w dole, razem ze śmierdzącym trupem Emanuella Schrolla. – Czy jesteś cała?

– O Boże, żyjesz! – Wyciągnęła do niego ręce. – Ale ty mocno krwawisz! Bogowie! Tu nawet nie mam sił, żeby cię uleczyć. – Z jej oczu pociekły łzy.

– To nic. – Radosław przytulił dziewczynę, ale piękną chwilę przerwał wrzask Clemensa V.

– Oddaj mi pergamin, ty kupo gówna! Ty psi synu! Co chcesz za niego? Skrzynię złota? Dostaniesz! Oddaj mi go! Inaczej zginiesz!

Dopiero teraz, gdy dym i swąd ustąpiły, Radosław mógł dokładnie rozejrzeć się po poboju. Wokół leżały martwe ciała ludzi, koni i wilków. Wszędzie płynęła krew. Demon wyciągał właśnie z ciała niedźwiedzia, ich strażnika, długi miecz. Rycerzowi zrobiło się żal. Dzielne zwierzę najwyraźniej próbowało dopaść papieża. Radosława mocno bolało lewe udo, ale miał nadzieję, że rana nie jest głęboka. Próbował uciskać to miejsce lewą ręką, ale ona coraz bardziej słabła, zapewne z powodu rany w lewym ramieniu, choć to akurat go nie bolało.

– Radku, przeczytaj, proszę, kto podpisał ten pakt – powiedziała słabym głosem dziewczyna.

– Bogowie, gdzie jest cyrograf!? – zawołał w panice rycerz.

– Tutaj jest, Radku, schowałam go.

Wziął dokument i zaczął czytać. Litery na pergaminie ponownie zaczęły mienić się płynącą żywą krwią.

– Widnieje tu podpis „Raguel”, wykonany chyba czarnym węglem, to chyba nasz demon – wyszeptał rycerz. – Jest też podpis Magnusa von Rapparda. On podpisał ten dokument najpewniej krwią.

– To ten ich papież, Radku. Ten morderca, którego widzisz tam za furką.

– Ale jest tu jeszcze trzeci podpis, na samym brzegu pergaminu. Również jest wykonany czarnym węglem.

– Trzeci podpis? – Radosław usłyszał zdziwienie w słabym głosie Bezcielesnej.

Rowenna wyglądała na skrajnie wycieńczoną. Mężczyzna był tym przerażony.

– Kaju, muszę cię szybko stąd zabrać – wykrzyknął w panice.

– Gdybyś mnie wyniósł z tego cmentarza, to bym cię szybko wyleczyła, Radku, ale tam zaraz zabije cię demon! – Rowenna odpływała.

Wzrok Radosława padł na cyrograf.

Muszę coś zrobić! – pomyślał i próbował rozerwać w rękach pergamin.

Materiał był jednak zbyt mocny. Rycerz wyciągnął nóż. Naciął szybko górny brzeg dokumentu i wtedy dał radę go rozerwać. W chwili gdy dokument został przzerwany na pół, Radosław, mimo osłabienia, poczuł, że coś się wydarzyło. Z trudem wstał z kolan i się rozejrzał. Demona nigdzie nie było, a przy otwartej furcie cmentarza leżał na ziemi Clemens V.

– Boże! Panie! Wasza Świątobliwość! Co się stało?! Ocknij się! – Do Radosława dotarły krzyki przybocznych papieża.

– On nie żyje, na rany Chrystusa! Nasz Ojciec Święty nie żyje! – Do rycerza dotarły kolejne głosy.

Radosław nie tracił już więcej czasu na rozglądanie się i słuchanie krzyków. Mieli teraz szansę wydostać się z cmentarza. Gdy podnosił z ziemi prawie zemdloną Rowennę, zrobiło mu się ciemno przed oczami, ale dał radę utrzymać się na nogach. Wolnym krokiem ruszył z nią w kierunku ogrodzenia, oddalając się od furty cmentarnej. Było ono jednak tak daleko...

Rozdział 26

LUX PERPETUA

Każdy krok wydawał się odległością nie do przebycia. Radosława już nic nie bolało, tylko po prostu skończyły mu się siły. Miał ciemno przed oczami. Mięśnie wiotczały, ale mimo to trzymał półżywą dziewczynę i ciągnął ją w kierunku cmentarnego ogrodzenia. Zostało jeszcze tylko kilka kroków. Nie mógł jej zawieść.

– Czemu tak tu ciemno, Radku? – usłyszał słaby głos dziewczyny. – Czyż nie jest południe?

Rycerz podniósł głowę. W pierwszej chwili nie bardzo wierzył w realność zaobserwowanego zjawiska. Sądził, że w głowie mu się miesza od odniesionych ran. Wokół całego cmentarza, dokładnie tuż za ogrodzeniem, gęstniał mrok. Ciemność otaczała cały niewielki cmentarz i zamykała go również od góry szczelną kopułą czerni. Był to mrok wzbudzający strach, po krótkiej chwili podziw, a po dłuższej – zachwyty. Radosław otrząsnął się. Wiedział, że to urok.

– Co za czort znowu?! – rzekł zaniepokojony.

Rowenna też uniosła głowę i z zaleknioną miną patrzyła na zjawisko. Z powodu zasłaniającej słońce kopuły mroku nie sposób już było zobaczyć nawet konturów stojących obok drzew czy nagrobków na cmentarzu.

– Kaju, czy wiesz, co to jest? – wyszeptał Radosław i najdelikatniej jak mógł, posadził dziewczynę na ziemi.

– Nie wiem, Radku, ale to coś było tu cały czas, tylko przesłonięte. Daj mi rękę – poprosiła również szeptem.

Radosław wziął dziewczynę za rękę. Zastanawiał się, czy nie powinien wziąć jej w ramiona i przeskoczyć przez ogrodzenie w mroczną ciemność, instynkt jednak podpowiadał mu, że nie jest to dobry pomysł.

– *Swarogu!* – Mężczyzna wysłał myśl w przestrzeń, jednak żadna odpowiedź nie nadeszła.

Siedzieli już w absolutnej ciemności.

– Masz ten cyrograf, Radku?

– Jest przerwany, ale może da nam choć trochę światła – odrzekł i wyciągnął zza pazuchy obie części dokumentu.

Po zniszczeniu pergaminu litery nie świeciły już pod wpływem wzroku czerwienią krwi, błyszczał jedynie trzeci podpis.

Bezcielesna spojrzała w stronę czerwonej poświaty.

– Czyj jest ten trzeci podpis, Radku? – zapytała dziewczyna.

Radosław przeczytał i zadrżał. Na brzegu pergaminu widniało napisane kształtymi gotyckimi literami imię:

LUXFERUS.

– To Lucyfer, Radku, sam Zły.

Radosław wyciągnął nóż i zaczął kroić pergamin na małe kawałeczki. Imię Luxferusa na dokumencie przeciął kilkakrotnie, ale nadal świeciło czerwienią. Wokół zrobiło się jaśniej. Spojrzeli w stronę światła. Tuż za ogrodzeniem, kilkanaście łokci od nich, zza zasłony ciemności zaczynało przebijać się światło – światło wpływające na umysł, pozornie przyjazne. Ponownie zrzucili z siebie urok, aby pozostawić sobie jasność myślenia i sądu. Na granicy ogrodzenia pojawiła się świecąca doskonale białym światłem wysoka skrzydlata postać. Pomimo przesłony z mroku, za którą postać stała, wokół znów zrobiło się jasno jak za dnia.

– *Jam jest Luxferus, Pierwszy, Najdoskonalszy Anioł Boga, Równy Bogu, a nawet Potężniejszy, Wszechwiedzący, Wszystkowidzący, Wszystkosłyszący, Wieczny, Doskonały.* – W głowach Rowenny i Radosława rozbrzmiał diaboliczny, hipnotyzujący, przejmujący do szpiku kości głos, a w chwilę potem dołączyły się do wypowiedzi inne, podobne głosy.

– *Jam jest Luxferus, zwany też Legion, bo jest nas wielu... Z naszego to powodu jesteście tutaj, gdzie jesteście... Nic nie wydarzyło się przypadkiem... Jesteście marionetkami naszego geniuszu... Nie ma potęgi, która nam się oprze...* – wypowiadały demoniczne głosy, a każdy był inny, choć równie złowrogi. – *Wkrótce świat będzie już tylko nasz... Dla naszych uciech... Wszystko, co słabe i obce nam, zginie na wiečność... Drżycie, niedoskonali... Będziecie nam służyć po wsze czasy... Nie miejcie żadnej nadziei... Wam przeznaczona jest śmierć lub niewola, a nam życie doskonałe i wieczne...*

Głosy były coraz głośniejsze, diabły licytowały się w groźbach i przechwałkach, mówiły jeden przez drugiego.

– *Masz za długie imię, demonie!* – przerwał głośno i bezceremonialnie Radosław. – *Strasznie długo się przedstawiasz. Powiedziałbyś lepiej: „Jam jest Zdeprawowane Bydło”, i każdy by od razu wiedział, z kim ma do czynienia.*

Anioł zajaśniał przez chwilę mocniej, a Rowenna, pomimo swojego wyczerpania, zachichotała cicho.

– *Śmiejesz się z nas, człowieczy kmiotku... Wiedz, że twoje życie tutaj się zakończy... I twojej suki także... Myśmy to przygotowali, ten cmentarz... tę pułapkę... Bezcielesne od kilku wieków hamowały pochod naszych chrześcijańskich sług... A więc Bezcielesna nie zginie, by nie narodziła się nowa... Ona zostanie na wieki na tym cmentarzu... Słaba i wegetująca... Tak wielki jest nasz geniusz... A głupi ludzie Boga w imię źle rozumianej wiary zdobędą dla nas świat... Tak wielki jest nasz geniusz, ty ludzki robaku... Ale ty za drwiny z nas zginiesz w mękach... Będziesz żałował każdego słowa...* – Demoniczne głosy diabłów znów przeplatały się w umysłach Rowenny i Radosława. Zaczęli rozumieć podstępny zamysł Złego.

– Nie wiem, czy jesteś geniuszem, ale na pewno jesteś pyszałkiem! – rzekł Radosław, gdyż stwierdził, że nie mają już nic do stracenia i trzeba przedłużyć jakoś rozmowę. Nie bardzo wiedział, co mógłby jeszcze zrobić.

– *Nie widzisz geniuszu naszego, prochu marny?... Chrześcijański biskup myślał, że dostał pomoc demona... Mały demon myślał, że odpracuje swoje i zyska duszę klechy... Żaden jednak nie wiedział, że przy pakcie byliśmy obecni także my wszyscy ... Wszystko wydarzyło się tak, jak chcieliśmy, prochu marny... My zdobędziemy wasz pogański świat... A ty zaraz zginiesz... Jesteśmy niepokonani...* – odezwały się liczne diabelskie głosy.

– Ale przecież Chrystus was pokonał swoją ofiarą i miłością do człowieka – do rozmowy włączyła się Rowenna.

– *A ty masz jeszcze siły, by się odzywać, dziewczynko?! – syknął nienawistnie Luxferus. – Ofiara jego poszła na marne... Ludzie nie potrafią kochać się nawzajem... Potrafią tylko kochać samych siebie, a innych nienawidzić... Świat jest nasz, dziewczynko malutka... Twoi bogowie ci nie pomogą... Jestem starszy od ciebie i od twoich bogów...*

– Starszy może i jesteś, diable pyszny, ale nie jesteś na tym świecie u siebie – odpowiedziała dziewczyna. – Ten świat nie jest ci domem, a jedynie jadalnią i komnatą zabaw. A ludzie starej wiary potrafią kochać. Nie wygrasz z nimi.

Radosław uważnie słuchał głosu Złego, a jednocześnie usilnie szukał pomysłu na wyjście z sytuacji i przede wszystkim uratowanie Rowenny. Dziewczyna leżała na ziemi bez sił. Jemu też czas się kończył. Krwawił. Nie był pewien, czy będzie mógł jeszcze stanąć na nogi.

– To chodź tu, diabełku, i zakończ, co zacząłeś! – zawołał prowokacyjnie Radosław.

– On tu nie może wejść, Radku. – Dziewczyna potwierdziła to, co i on podejrzewał. On ograniczył się tylko do tego, że nas stąd nie wypuści.

– *Nie jesteście jednak aż tacy głupi, ludzie... Rzeczywiście po prostu was stąd nie wypuścimy... Może więc jesteście już w stanie docenić nasz geniusz...* – Diabły

znów zaczęły monolog, który ciągnął się i ciągnął...

Rycerz nie słuchał już tych przechwałek.

– Kaju, moja kochana – wyszeptał – musimy coś zrobić! Ja zajmę czymś tego świetlistego potwora, a ty musisz wydostać się za ogrodzenie cmentarza. Jeżeli nie dasz rady, to wezwij na pomoc Peruna. Zrozumiałaś, Kaju?

– Co chcesz zrobić, Radku? – wyszeptała zaniepokojona dziewczyna.

– To, co konieczne, Kaju: musisz żyć! Kocham cię!

– Radku, nie! – niemal krzyknęła Rowenna.

– Przysięgam na wszystkich bogów starej wiary, że gdziekolwiek będziesz, ja cię odnajdę, Kaju! – Na potwierdzenie swoich słów rycerz starym zwyczajem zacisnął pięść.

– Koniecznie, Radku! Koniecznie! – wyszeptała, płacząc.

– *Dla nas nie ma żadnych granic... Nie ograniczają nas żadne zasady... Jesteśmy wszechpotężni... Bierzemy to, na co mamy ochotę... Będziemy zaspokajać się waszą krzywdą...* – Głosy diabłów wciąż odzywały się w głowie Radosława, a świetlista postać niemal tętniła potęgą.

Mężczyzna nie czekał dłużej na koniec monologu. Musiał wykorzystać moment. Chwycił mocno miecz i przełamując siłą woli ból i dramatyczną słabość swojego ciała, stanął na nogi. Możliwie szybko wykonał kilka kroków w stronę ogrodzenia i rzucił się nad nim z uniesionym mieczem, prosto w ukrytą w mroku świetlistą postać anioła.

Gdy tylko Radosław pokonał zasłonę mroku, oślepnął od blasku Luxferusa. Nie był już w stanie nic zobaczyć. Potężny żar bijący od anioła objął jego ciało. Na szczęście miał swoje trzecie, magiczne oko, więc nadal mógł lokalizować przeciwnika. Lata służby dla Swaroga, boga ognia, uodporniły go częściowo na niszczącą moc tego żywiołu, mógł więc podjąć walkę. Bił się z całym legionem demonów, najpierw używając swojego miecza, a gdy ten stopił się w piekielnym ogniu – gołymi rękami.

Był uzbrojony w miłość. Walczył o szansę przeżycia dla Kai. Stoczył wspaniałą walkę. Ostatnią w swoim ziemskim życiu.

W chwili gdy Radosław zniknął za zasłoną mroku, blask Luxferusa przygasł na tyle, że na cmentarzu znów zrobiło się ciemno. Rowenna czuła, że musi teraz wstać. Zrobić to dla Radka. Przeżyć. Przekręciła się na brzuch, zaparła się rękami i zaciskając z wysiłku zęby, stanęła na nogi. Lecz gdy tylko zrobiła pierwszy krok w kierunku ogrodzenia, potężny podmuch powietrza dosłownie porwał ją w kierunku środka cmentarza. Diabły jednak czuwały. Dziewczyna przeleciała w powietrzu kilkadziesiąt łokci, uderzyła mocno o ziemię i przeturlała się o kolejny taki odcinek. Wpadła do jakiegoś zagłębienia w ziemi i poczuła niewyobrażalny smród rozkładającego się ciała.

A więc umrę w mogile gnijącego Emanuela Schrolla – pomyślała i zwymiotowała obficie.

– Co robić, Radku, co robić? – szeptała i szukała w głowie jakiegoś wyjścia.

– *Perunie, boże powietrza i piorunów, pomóż mi* – wysłała w przestrzeń wołanie.

Czekała chwilę, próbując się uspokoić i uporządkować myśli. Żadna odpowiedź nie nadchodziła.

– *Perunie, boże powietrza i piorunów, pomóż mi!* – powtórzyła wołanie.

Ponownie nie było odpowiedzi. Domyśliła się, że kopuła mroku nad cmentarzem nie przepuszcza jej wołania, bo Perun na pewno by odpowiedział. Kiedyś jej to obiecał.

– Myśl, myśl! – szeptała do siebie. – Musisz coś zrobić! Dla Radka!

W pewnej chwili przyszedł jej do głowy szalony pomysł. Zadrzała ze strachu, ale nie zastanawiała się wiele. Wsunęła dłonie w miękką ziemię grobu, tak głęboko, jak tylko zdołała.

– *Walesie, boże wód, świata podziemnego i pozagrobowego, pomóż mi, błagam!*
– wysłała myśl z całych sił, jakie miała. – *Wiem, że całe życie służyłam Perunowi, a nie tobie, ale potrzebuję teraz twojej pomocy. Cały nasz świat jej teraz potrzebuje. Zabierz moją duszę do Nawie, twoich zaświatów, by mogła narodzić się nowa Bezcielesna i uratować świat. Błagam! Ja zawiodłam.*

– *Nie zawiodłaś, dziewico wody.* – W uszach Rowenny pojawił się cichy, jakby odległy szept. – *Zrobiłaś bardzo wiele. Teraz już widzę wszystko w twojej głowie. Wiemy teraz, co nam zagraża, dziewico wody. Nie Bóg chrześcijan, ale jego zwyrodniały pierworodny anioł. Jest jak egoistyczny, zdeprawowany nastolatek, któremu ojciec nie poświęcił uwagi. Ma już dużo sił, ma nieskończony apetyt wszelkich przyjemności i zupełnie nie wie, co to miłość do innych. Ale nie martw się już niczym, Rowenno. Widzę obie części twojej duszy. Tę należącą do mnie i tę należącą do Peruna. Mogę zabrać tylko swoją część i to, mam nadzieję, wystarczy, by utrzymać ciągłość Bezcielesnych. Niestety Twoje ciało zostanie na tym cmentarzysku razem z drugą częścią duszy. Musimy się spieszyć. Czy oddajesz mi ducha, Rowenno?*

– *Zabierz moją duszę do Nawie, Walesie, niech Raróg przeprowadzi ją na drugą stronę* – odpowiedziała dziewczyna.

– *Jest duża szansa, że dzięki tobie, dziewico wody, zostanie utrzymana równowaga tego świata. A teraz już zaśnij* – powiedział bóg.

Rowenna zasnęła nieskończenie głęboko.

Epilog

Powoli kończyli już pracę tego dnia. Marek był przemarznięty. Od rana pracowali w deszczu. Nie była to może jakaś wielka ulewa, ale ilość spadającej z nieba wody wystarczyła do tego, by przemoczyć cały jego kombinezon. Nie zważając na ból pleców, zagarniał ziemię łopata, niwelując doły po ostatnich ekshumacjach. Kończyli już pracę na tym starym cmentarzu i Marek czuł ulgę. Pracowali tu z całą miejską brygadą od kilku miesięcy, ale wciąż nie mógł pozbyć się uczucia niepokoju. Na miejscu zaniedbanego starego cmentarza, po ekshumacjach i prowizorycznych badaniach archeologicznych, miało powstać kolejne osiedle mieszkaniowe.

Klaus z pozostałymi robotnikami skończyli właśnie ładować ostatnie pokruszone kamienne płyty nagrobne. Na wielu z nich widoczne były wyryte, całkiem dobrze zachowane, choć zarośnięte grubym mchem, symetryczne proste krzyże.

– Marek, jedziemy! – usłyszał głos Klause. – Niech resztę deweloper uprzątnie sobie sam.

– Zawieźcie te kamienie i wracając, zgarnijcie mnie – odkrzyknął Marek, gdyż wygrało w nim poczucie obowiązku. Bariery otaczające wykopy zostały już zdjęte. Postanowił więc dobrze zasypać wykop, żeby nie wpadł tam żaden dzieciak.

Mężczyzna słyszał, jak ciężarówka ruszyła i powoli odjeżdżała, omijając mozolnie wielkie cmentarne dęby. Gdyby w tej właśnie chwili dokładniej rozejrzał się wokoło, zdziwiłby się, a może nawet zaniepokoił pojawiającą się jak spod ziemi mgłą, która w krótkiej chwili otuliła dęby byłego już cmentarza. Gdyby tylko się odwrócił, zobaczyłby stojącą dwa kroki za nim drobną kobiecą postać ubraną zupełnie nieadekwatnie do pory roku i obecnych czasów.

Spis treści:

Karta tytułowa

Rozdział 1. Kardynał de Cuntis

Rozdział 2. Biskup von Rappard

Rozdział 3. Bez tytułu

Rozdział 4. Rowenna

Rozdział 5. Marek

Rozdział 6. Dotyk Boga

Rozdział 7. Narada

Rozdział 8. Bez tytułu

Rozdział 9. Wspomnienia jenerała Albrechta von Sturmberga

Rozdział 10. Łysa Góra

Rozdział 11. Przesłuchanie

Rozdział 12. Marek

Rozdział 13. Dotyk Boga

Rozdział 14. Podróż do Akwizgranu

Rozdział 15. Wróżba

Rozdział 16. Atak

Rozdział 17. Marek

Rozdział 18. Synod

Rozdział 19. Bez tytułu

Rozdział 20. Podróż

Rozdział 21. Aisha

Rozdział 22. Habemus Papam

Rozdział 23. Sanktuarium Gros Raden

Rozdział 24. Lilith

Rozdział 25. Cmentarz Stolberg

Rozdział 26. Lux perpetua

Epilog

Karta redakcyjna

Biskup

ISBN: 978-83-8313-289-1

© Adam Maksymilian Grzybowski i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Anna i Paweł Pomiankowie (JęzykoweDylematy.pl)

Korekta: Agnieszka Łoza

Okładka: Grzegorz Araszewski



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek